



# DEEP IN THE DARKNESS

MICHAEL LAIMO

---

AUTHOR OF *DREGS OF SOCIETY*  
AND *DEMONS, FREAKS & OTHER ABNORMALITIES*



# MICHAEL LAIMO

## GŁĘBIA CIEMNOŚCI

(DEEP IN THE DARKNESS)

Przełożył Wojciech Szypuła



Wydawnictwo: Amber 2009

# Spis treści

Karta tytułowa

**GŁĘBIA CIEMNOŚCI**

**PROLOG**

**CZĘŚĆ I W CIEMNOŚCI – ZŁOTE OCZY**

**ROZDZIAŁ 1.**

**ROZDZIAŁ 2.**

**ROZDZIAŁ 3.**

**ROZDZIAŁ 4.**

**ROZDZIAŁ 5.**

**ROZDZIAŁ 6.**

**ROZDZIAŁ 7.**

**ROZDZIAŁ 8.**

**ROZDZIAŁ 9.**

**ROZDZIAŁ 10.**

**ROZDZIAŁ 11.**

**ROZDZIAŁ 12.**

**ROZDZIAŁ 13.**

**ROZDZIAŁ 14.**

**ROZDZIAŁ 15.**

**ROZDZIAŁ 16.**

**ROZDZIAŁ 17.**

**ROZDZIAŁ 18.**

**ROZDZIAŁ 19.**

**ROZDZIAŁ 20.**

**ROZDZIAŁ 21.**

**ROZDZIAŁ 22.**

**CZĘŚĆ II KWESTIA CZASU**

**ROZDZIAŁ 23.**

**ROZDZIAŁ 24.**

**ROZDZIAŁ 25.**

**ROZDZIAŁ 26.**

**ROZDZIAŁ 27.**

**ROZDZIAŁ 28.**

**ROZDZIAŁ 29.**

**ROZDZIAŁ 30.**

**ROZDZIAŁ 31.**

**ROZDZIAŁ 32.**

**CZĘŚĆ III POKARM DLA ROBACTWA**

**ROZDZIAŁ 33.**

**ROZDZIAŁ 34.**

**ROZDZIAŁ 35.**

**ROZDZIAŁ 36.**

**ROZDZIAŁ 37.**

**ROZDZIAŁ 38.**

**ROZDZIAŁ 39.**

**ROZDZIAŁ 40.**

**ROZDZIAŁ 41.**

**ROZDZIAŁ 42.**

**ROZDZIAŁ 43.**

**EPILOG.**

**PODZIĘKOWANIA.**

**BLURB**

Powieść nominowana do nagrody Brama Stokera

**MICHAEL LAIMO**



  
AMBER

**GŁĘBIA CIEMNOŚCI**



# PROLOG

Ciemna piwnica.

Chrapliwy oddech.

Szuranie nóg po betonowej posadzce. Nerwowe bębnienie palców o blat stołu. Woń wilgoci. Gdzieś na górze bije zegar. Przeciąg targa płomieniem świecy. Ręka wyciąga się do leżącego na stole dyktafonu. Niepewny palec szuka przycisku nagrywania. Wciska go. Przez dziesięć sekund słysząc tylko ciężki, głośny oddech. A potem głos:

*Tę niewiarygodną historię najlepiej opowiedzieć na głos. Zapisalem wprawdzie, odręcznie, wiele stron, próbując zrelacjonować to, co wydarzyło się tutaj, przy Harlan Road 17 (powinienem powiedzieć: w moim domu, ale mimo że nadal tu mieszkam, nie nazywam go już domem), teraz jednak czuję, że muszę wszystko opowiedzieć, usłyszeć i nagrać na dyktafonie.*

*Jeżeli zamierzasz wysłuchać tych nagrań do końca, przypuszczam, że zajmie ci to wiele godzin, ponieważ moja historia jest długa i skomplikowana. Będę więc numerował kolejne nagrania. To, którego właśnie słuchasz, otrzyma naturalnie numer pierwszy i zostanie opatrzone dopiskiem: „Odtworzyć na początku”.*

*Chcę opowiedzieć swoje przeżycia z domu pod numerem 17 przy Harlan Road, nie tylko po to, aby je udokumentować, ale także aby udowodnić, że nie postradałem zmysłów; abyś ty, słuchaczu, nie uznał tej opowieści za wytwór wyobraźni człowieka obłąkanego.*

*Jestem zdrowy na umyśle, a ta historia jest najszczerzą prawdą. Powiem to tylko raz; nie zamierzam przekonywać o prawdziwości swoich*



słów, podkreślając stale, że nie zmyślam. Ja, Michael Cayle, lekarz rodzinny, przeżyłem wszystko, o czym za chwilę opowiem.

*Przydarzyło mi się to, gdy mieszkałem w domu przy Harlan Road 17.*

*Wystarczy. Nie będę dłużej zapewniał, że jestem poczytalny.*

*Dodam jeszcze tylko, że nie byłem w żaden sposób zamieszany w zniknięcie mojej żony Christine i naszej córki Jessiki. Wiem wprawdzie, co się z nimi stało, nie mam jednak pojęcia, gdzie się teraz znajdują ani jak mógłbym sprowadzić je z powrotem. Wiem tylko, że moja walka jeszcze się nie skończyła i czeka mnie długa droga, zanim... zanim...*

*Ale nie uprzedzajmy faktów. Utrwalając swoje dzieje, chcę nie tylko zaskarbić sobie twoje zaufanie, ale także przypomnieć sobie każdą chwilę koszmaru, który przeżyłem. Może dzięki temu zwrócę uwagę na coś, co pomoże mi w przyszłości, choć nie zostało mi dużo czasu. Moja walka trwa.*

*To chyba najlepszy moment, aby rozpocząć relację z ostatniego półrocza. Jeśli nie przejdę do rzeczy, możesz wyłączyć dyktafon, zanim powiem coś ciekawego... Tymczasem moje zapiski bez wątpienia wyglądają jak gryzmoły wariata, którego powinno się zamknąć w szpitalu. Nie przypominają pamiętników człowieka, który chciał tylko chronić swoją rodzinę.*

*Dlatego... błagam cię, drogi słuchaczu, zaufaj mi i wysłuchaj tych nagrań... wysłuchaj ich bardzo uważnie...*

**CZEŚĆ I**

W CIEMNOŚCI  
– ZŁOTE OCZY

# ROZDZIAŁ 1.

Gdyby ktoś kilka lat temu zaproponował mi milion dolarów za wyprowadzenie się z Manhattanu, odparłbym, że prędzej Metsi i Jankesi spotkają się w finale ligi bejsbola. Boże, gdyby ktoś złożył mi taką propozycję przed miesiącem, także bym odmówił; nie zamieniłbym mieszkania w wielkim mieście na drewniany dom w sielankowej miejscinie, gdzie krów jest więcej niż ludzi, a od najbliższego sąsiada dzieli człowieka kilometr lasu. Metsi i Jankesi zegrali w finale, a ja poznałem mojego najbliższego sąsiada Philipa Deightona (który rzeczywiście mieszka kilometr ode mnie) w tym samym dniu, w którym sprowadziłem się do Ashborough w New Hampshire.

Deighton uratował życie naszemu psu. Zaraz po przyjeździe Jimmy Page, cocker–spaniel, wyskoczył z samochodu i zniknął w lesie otaczającym nasz dom z czterema sypialniami i trzema łazienkami. Page był właściwie pieskiem Jessiki, naszej córki, która dostała go w zeszłym roku na czwarte urodziny, ale wszyscy polubiliśmy sierściucha.

Ten dom chyba był nam przeznaczony. Nigdy nie planowałem kupna urządzonego gabinetu lekarskiego i przejęcia praktyki po jego właścicielu. Dom sam wpadł mi w ręce, i to wkrótce po tym, jak bez entuzjazmu zgodziłem się z Christine, że dla dobra Jessiki powinniśmy wyprowadzić się za miasto. Poinformowałem doktora Scully’ego o moich planach. Lou Scully, który zaproponował mi posadę, gdy ukończyłem staż w Columbia–Presbyterian Medical Center, traktował mnie jak młodszego brata.

Powiedziałem mu, że marzy mi się dom na przedmieściach (przez wzgląd na Jessicę), i dodałem: – Sam wiesz, jakie są te szkoły w centrum.

Pokiwał głową. Domyślał się, że nie zamierzam codziennie dojeżdżać na Manhattan kolejką podmiejską. Zdawał sobie również sprawę, że gdybym miał zaczynać od zera, oznaczałoby to gwałtowne obniżenie poziomu życia.

Dlatego opowiedział mi o doktorze Neilu Farrisie, starszym lekarzu z Nowej Anglii, który przez trzydzieści lat miał praktykę w New Hampshire, w miasteczku Ashborough.

Przyjaźnili się, dopóki Farris nie zginął tragicznie, pokąsany przez psa. Doktor dbał o formę, przestrzegał własnych zaleceń i mimo siedemdziesięciu lat prawie co rano przebiegał pięć kilometrów. Tydzień przed moją rozmową ze Scullym półtora kilometra od domu zaatakował go bezpieczny, wyjątkowo agresywny kundel. Upłynęła co najmniej godzina, zanim ktoś znalazł Farrisa, który stracił sporo krwi. Ashborough jest małą miejsciną, w której Farris był jedynym lekarzem. Trzeba go było przewieźć do kliniki w Ellenville, prawie dwadzieścia kilometrów od Ashborough. Zmarł w drodze.

Jego żona postanowiła jak najszybciej sprzedać dom i gabinet, co zrobiła tym chętniej, że mieli drugi dom w Manchesterze. Tam też studiowały ich dzieci, chciała zamieszkać bliżej nich. Pieniądze ze sprzedaży domu w Ashborough miały jej zapewnić spokojną i dostatnią starość.

– Wiesz, co ja o tym sądzę, Michael? – zapytał Scully. – Taka okazja trafia się raz w życiu: ładny dom i gabinet z pełnym wyposażeniem za półdarmo.

Naturalnie nie miałem zamiaru zupełnie zrezygnować z kulturalnych atrakcji Manhattanu: przemieszkałem tam piętnaście lat, w Metropolitan Museum of Art poznałem Christine, po ślubie zamieszkaliśmy w przytulnym mieszkaniu przy Upper East Side.

Pomijając szkoły, które jakoś mnie nie zachwyciły, Nowy Jork naprawdę miał wiele zalet. A Long Island czy Connecticut znajdowały się przecież wystarczająco blisko, byśmy nie musieli rezygnować z weekendowych wypadów, które tak lubiliśmy i uważaliśmy za bezcenne dla rozwoju naszej córki.

Ale taka okazja...

– Nie przegapia się takiej okazji – powiedział Lou. – W miasteczku jest znakomita szkoła – dodał. – Sprawdziłem.

Podał mi teczkę z dokumentami. Uśmiechnąłem się i mu podziękowałem. Miałem mętlik w głowie.

Następnego dnia skontaktowałem się z wdową po Farrisie, a w sobotę wybraliśmy się do niej całą trójką. Przyjechaliśmy tuż po dwunastej w południe. Okolica naprawdę była prześliczna, ale Christine, wychowana na Manhattanie, załapała się łzami – zapewne na myśl o tym, że będzie musiała porzucić dotychczasowe życie. Page się wściekł: tak ujądał, że musieliśmy go zamknąć w samochodzie. Emily Farris miała naprawdę uzasadnione powody, by serdecznie nie znosić wszelkich psów.

Rozmowa z wdową przebiegła znacznie łatwiej, niż się spodziewałem.

Obojgu nam zależało na szybkim załatwieniu sprawy, więc przy ustalaniu szczegółów transakcji obeszło się bez zbędnego dzielenia włosa na czworo. W parę godzin dogadaliśmy się, a następnego dnia odwoziłem rodzinę na Manhattan ze świadomością, że wkrótce będę nowym lekarzem rodzinnym w Ashborough.

Mimo stresu i nerwów towarzyszących podejmowaniu życiowych decyzji starałem się koncentrować na plusach mieszkania w Ashborough. Nie będę musiał konkurować z innym lekarzem o pacjentów. Z drugiej strony – w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów nie ma dużego miasta; zanudzimy się na śmierć. Postanowiłem jednak nie martwić się na zapas.

Najważniejsze, że będę mógł utrzymać rodzinę, a Jessica będzie chodzić do dobrej szkoły.

Kiedy zatrzymaliśmy się przed domem, teraz już naszym domem, zauważyłem, że się zmienił. Wyglądał, jakby ktoś go wykorzystał i porzucił, pomyślałem. Jak nawiedzony.

Odsunąłem od siebie tę myśl i wyskoczyłem z samochodu jak człowiek, który rozpoczyna nowe życie. Chciałem w ten sposób zagłuszyć stres i zignorować zmęczenie, które wszystkim dawało się we znaki. Jimmy Page zamknięty w klatce z tyłu wozu jazgotał jak opętany. Jessica przez całą drogę skarżyła się na ból brzucha, a Christine popłakiwała chyba trochę za często jak na osobę, która zaproponowała przeprowadzkę.

Oczywiście mój entuzjazm był udawany i z trudem sam powstrzymywałem się od płaczu. W gruncie rzeczy wcale nie podobał mi się pomysł zamieszkania na pustkowiu.

Zgoda, mierziło mnie wielkowiejskie życie, ale myślałem raczej o przenosinach na przedmieścia, w taką okolicę, gdzie chcąc pożyczyć od sąsiada szklankę mleka, nie musiałbym wsiadać do samochodu. Niewiele brakowało, żebym zaproponował wycofanie się z umowy i powrót na Manhattan, gdzie nasze stare mieszkanie mogło na nas jeszcze czekać.

Przyszło mi nawet do głowy, żeby zostawić ujadającego Page'a w lesie.

Ale cała rodzina wzięła ze mnie przykład, a Page z entuzjazmem śmignął w las przy domu. Domu, w którym mieliśmy zamieszkać na nie wiadomo jak długo. Domu, w którym jeszcze przed trzema tygodniami mieszkał poprzedni właściciel – sypiał, jadał, pracował; człowiek, który, wychodząc z domu, na pewno nie przypuszczał, że zostanie zagryziony przez psa. Zamyśliłem się ponuro. Ciekawe, czy dom ma jakieś uczucia; czy podoba mu się to, że zostaje sprzedany. Na jego miejscu wcale nie



byłbym tym zachwycony – to tak jakby wyciąć człowiekowi wszystkie organy i wszczepić nowe, kiedy stare spisywały się bez zarzutu.

Trzeba mu jednak przyznać, że był naprawdę ładny: stary, kolonialny budynek miał na parterze trzy pokoje i kuchnię z jadalnią, a na piętrze cztery sypialnie. Do tego trzy łazienki (dwie na górze, jedna na dole)... Naprawdę duży dom. Do tego dochodził jeszcze dobudowany na tyłach gabinet lekarski z biblioteką. Królewska rezydencja! Z boku znajdowało się osobne wejście dla moich przyszłych pacjentów. Jedne drzwi w małej poczekalni prowadziły do gabinetu, który podczas mojej pierwszej wizyty był w pełni wyposażony; zgodnie z umową z panią Farris całe wyposażenie miało stać się moją własnością. Przez drugie drzwi wchodziło się do biblioteki: dużego pokoju z oknami sięgającymi od podłogi do sufitu, kominkiem i regałami na książki zajmującymi dosłownie każdy wolny centymetr ścian; marzenie każdego lekarza. Wyobrażałem sobie, jak po kolacji zaszywam się tam, wyglądam przez okno na mroczny las i liczę świetliki.

Między domem i lasem ciągnął się trawnik, który już wtedy, w maju, zachwycał soczystą zielenią. Na środku stała mała betonowa fontanna, w której mogły się kąpać ptaki, dalej zaś, na skraju lasu – zamknięta na kłódkę szopa, którą wcześniej przeoczyłem. Sam las ciągnął się jak okiem sięgnąć i, jeśli dobrze zrozumiałem wyjaśnienia wdowy, nigdy nie wytyczono wyraźnej granicy oddzielającej posiadłość Farrisów od ziem stanowych. Mógłbym ewentualnie martwić się tym, że jakiś przedsiębiorca budowlany zechce postawić mi na podwórku centrum handlowe z ogromnym parkingiem, ale ryzyko było niewielkie.

Ashborough miało za mało mieszkańców.

Spojrzałem współczująco na Christine. Ocierała łzy chusteczką.

– No... – mruknąłem. – Jesteśmy na miejscu.

Trochę się denerwowałem, nogi mi drżały. Podobno zakup domu jest jednym z najbardziej stresujących wydarzeń w życiu człowieka – trzecim w kolejności po ślubie i spłodzeniu dziecka. Pierwsze dwa zniosłem doskonale, ale z niewiadomych powodów widok naszego nowego domu w New Hampshire przerażał mnie bardziej niż perspektywa narodzin Jessiki. Christine musiała się czuć podobnie.

Objęła mnie, wtulając mokre od łez policzki w moje ramię.

– Nigdy nie byłam taka szczęśliwa – szepnęła.

Kłamała, naturalnie, ale ja byłem diabelnie zadowolony, że to powiedziała. Kamień spadł mi z serca. Moja udręka była moją prywatną sprawą, z którą wiedziałem, że sobie poradzę; po prostu nauczę się znowu być szczęśliwy. Ale niepokój Christine to zupełnie co innego. Potrafiła być cholernie konsekwentna w odczuwaniu emocji. Gdyby uparła się wejść w rolę udręczonej ofiary, miałbym przerąbane. Do końca życia. Nic by jej nie odmieniło. Tak, w kwestii uczuć potrafiła być uparta jak osioł.

Omiotła wzrokiem front domu: drzwi, okna, ścieżkę na podjazd. Wydawało mi się, że prawie słyszę, jak w jej głowie obracają się trybiki, gdy planuje założenie ogródka pod wykuszowym oknem, a przy okazji obmyśla pewnie setkę innych sposobów upiększenia domu.

Gdzieś z daleka dobiegło nas szczekanie Page'a. Pierwszy raz przyszło mi do głowy, że psiak może nie trafić z powrotem do domu.

Jessica podeszła do nas i wzięła Christine za rękę.

– Mamusiu, źle się czuję – oznajmiła.

Słyszałem te słowa chyba z tysiąc razy, kiedy jechaliśmy samochodem. I jak zwykle Christine bardziej niż ja przejęła się narzekaniem naszej córeczki. Przykucnęła obok niej i zmierzwiła jej jasne loczki.

– Co się dzieje, kotku?

– Brzuch mnie boli. Chcę do domu.

Christine posłała mi smętne spojrzenie. Współczuła Jessice. Osobiście uważałem, że pięcioletnie dziecko po tygodniu, może dwóch przywyknie do nowego otoczenia, a najdalej po miesiącu zapomni o Manhattanie. W przeciwieństwie do mnie.

Przyklękłem obok Jessiki z drugiej strony. Ptaki śpiewały bardzo głośno. Muszę przyznać, że były miłą odmianą od wiecznie wyjących na Manhattanie policyjnych syren.

– To jest nasz nowy dom, kochanie – powiedziałem, wskazując ręką.

Jessica rzuciła okiem na dom.

– Czadowy – stwierdziła.

Spojrzałem pytająco na Christine i wszyscy troje wybuchliśmy śmiechem. Nie mieliśmy pojęcia, gdzie nasza córka podłapała to powiedzonko, ale na pewno brzmiało lepiej niż „zajebisty” czy „zajefajny”, a takich nauczyłyby się w przedszkolu na Manhattanie.

Właśnie dlatego się przeprowadziliśmy. „Czadowy”? Czemu nie.

Wyciągnąłem ręce do mojej żony i córki i objęliśmy się czule.

Wspaniały początek nowego życia.

## ROZDZIAŁ 2.

Szkoda, że ta chwila nie trwała wiecznie, bo potem staczaliśmy się po równi pochyłej, było gorzej i gorzej. Uwolniłem się z objęć Christine i Jessiki i sięgnąłem do kieszeni po klucze. Ledwie zdążyłem je namacać, Jessica na mnie zwymiotowała.

Christine wykrzyknęła moje imię, a potem dodała: – Jess, kochanie...

Wstała i odsunęła się od małej, która zgięta wpół wymiotowała na ścieżkę. Christine, która nie miała ochoty znaleźć się na linii ognia, cofnęła się o dobry metr, a ja po prostu stałem nieruchomo, spoglądając to na moją biedną córeczkę, to na ściekające mi po spodniach wymiociny.

W końcu spazmy ustały i Jessica się rozplakała. Była jednak przerażona, jakby znalazła w wymiocinach martwego ptaszka albo coś w tym rodzaju.

– Jessica... – zacząłem, nie bardzo wiedząc, co zrobić z zarzyganymi spodniami. – Spokojnie, nie bój się. Masz po prostu robaczka w brzuszku, to nic strasznego.

– Mój brzuszek! – zajęczała.

Jej oczy – zaczerwienione, wytrzeszczone i pełne łez – przypominały dwa pomidorki koktajlowe.

Nie wiedziałem, co robić. Przede wszystkim miałem ochotę zdjąć spodnie.

Ciężarówka z naszymi rzeczami jeszcze nie dojechała, a ja zabrałem do samochodu tylko małą sportową torbę z jedną zmianą ubrania.

– Nie stój tak, Michael! – burknęła Christine. – Zrób coś!

Jej zdaniem jako lekarz miałem cudowną zdolność zaprowadzania porządku w każdej sytuacji, niekoniecznie związanej z medycyną.

– Co proponujesz?

Wkurzała mnie. Znów pomyślałem o tym, że chętnie wróciłbym do Nowego Jorku. Najlepiej sam.

– Ściągnij spodnie, doktoru. A potem przynieś apteczkę z samochodu i daj swojej córce coś na wymioty.

Zawsze, kiedy pojawiał się jakiś problem z Jessicą – tak jak teraz – stawała się „moją” córką.

– A gdzie się mam przebrać? Nie chciałbym uświnić domu ani samochodu.

– Michael... W promieniu kilku kilometrów nie ma żywej duszy. Jesteśmy na odludziu, zapomniałeś? Po prostu ściągnij spodnie i już.

Kusiło mnie, żeby się z nią pokłócić, ale Jessicę znowu chwyciły torsje; zgięła się w pół i zalała łzami. Na sztywnych nogach poszedłem do samochodu, gdzie ściągnąłem adidasy i skarpetki. Apteczka była w schowku na desce rozdzielczej. Sięgnąłem na tylne siedzenie po ręcznik i trochę wytarłem spodnie. Zrobiło mi się niedobrze. Doszedłem do wniosku, że jednak najlepiej będzie je zdjąć. Tak też zrobiłem i tylko w bokserkach wróciłem do Christine i Jessiki. Czuję się jak wąż, który przed chwilą zrzucił skórę, bezbronny i przemarznięty.

Christine wzięła małą na ręce i zaczęła ją głaskać uspokajająco po plecach.

– Ona jest chora, Michael. Ma ciepłą skórę.

– Co jeszcze powiesz ciekawego?

– No... Na przykład to, że stoisz w gaciach na trawniku przed naszym nowym domem i nic nie robisz.

Była śmiertelnie poważna. Nie próbowała być miła ani zabawna, chociaż po cichu na to liczyłem. Wolała się wyzłośliwiać. A ja miałem ochotę uciec z wrzaskiem do domu i schować się przed tym zamieszaniem.

I naprawdę wrzasnąłem – ale nie na Christine. Nagle poczułem potworny ból, jakby bez znieczulenia amputowano mi stopę. Przyklęknąłem, żeby obejrzeć nogę, i upuściłem apteczkę.

– Co się stało? – krzyknęła Christine. – Michael?!

Postawiła Jessicę na ziemi. Mała natychmiast znów się rozplakała, jak za naciśnięciem guzika alarmowego; słyszałem ją wyraźnie przez mgłę bólu. Wyciągała bezradnie rączki najpierw do Christine, potem do mnie, ale nie miałem innego wyjścia, jak odepchnąć ją delikatnie, żeby obejrzeć stopę. Jessica klapnęła na pupę w wymiociny, co wywołało kolejną falę płaczu (córkę) i krzyków (matki).

Nie zwracałem na nie uwagi. Wykręciłem stopę do góry, tkwił w niej zardzewiały gwóźdź. Sterczał pod kątem jak stara, przekrzywiona sztacheta w płocie. Czerwony obrzęk wokół rany miał wielkość ćwierćdolarówki, krew lała się obficie. Znów krzyknąłem – z bólu, strachu, szoku... Sam nie wiem.

Krew i rzygi! – pomyślałem trochę od rzeczy.

Christine wsiadła na mnie za odepchnięcie Jessiki i musiałem podetknąć jej stopę pod nos, żeby coś do niej dotarło. Skrzywiła się z niesmakiem i cofnęła.

– Ale się porobiło... – rozległ się basowy głos za moimi plecami.

Zaraz potem usłyszałem ujadanie Page'a. Odwróciłem się i zobaczyłem obcego mężczyznę. Stał dwa metry ode mnie. Mógł mieć około pięćdziesiątki. Miał jasną skórę, był ubrany w wytarte wranglery i kraciastą koszulę, spod której sterczały mu siwe włosy na piersi. W kąciu ust trzymał przygryziony niedopałek cygara. Niósł Jimmy'ego Page'a na



rękach jak dziecko, brzuchem do góry. Ozór wisiał psu z pyska jak kawałek czerwonej wstążki.

– Słyszałem, że jest pan nowym lekarzem. A teraz widzę, że ma pan już pierwszego pacjenta: siebie.

Skrzywiłem się z bólu.

– Można tak powiedzieć – zgodziłem się.

Ciekaw byłem, co naprawdę sobie o mnie pomyślał, widząc mnie przed domem w samej bieliźnie.

– Znalazłem waszego psa – wyjaśnił.

Przykucnął i puścił Page'a, który natychmiast skoczył naprzód i zaczął obwąchiwać wymiociny Jessiki.

Spojrzałem na intruza i uśmiechnąłem się z wysiłkiem.

– Dzięki.

Nie ma to jak zrobić dobre pierwsze wrażenie, pomyślałem.

## ROZDZIAŁ 3.

Schował mokry od śliny niedopałek do kieszeni na piersi i opowiedział, jak siedział sobie na werandzie, kiedy nagle zjawił się Page i zaczął mu obwąchiwać buty. Dał się pogłaskać, zjadł plasterk indyka, a potem pozwolił wziąć się na ręce i odstawić do domu.

– Jest tu nowy, pomyślałem, że może się zgubić – wyjaśnił. – Wesoły z niego psiak.

Christine poszła do samochodu przebrać Jessicę, a ja szybkim, precyzyjnym ruchem wyciągnąłem sobie gwóźdź ze stopy. Zawyłem tylko raz. Swoim pacjentom nieraz usuwałem drzazgi i gwoździe, ale pierwszy raz sam czułem taki ból. Niewyobrażalny, prawdę mówiąc.

Ale – o dziwo – natychmiast ustąpił. W każdym razie ten najgorszy, bo rana nadal pulsowała.

Poląłem ją obficie środkiem odkażającym i zabandażowałem. Zdawałem sobie sprawę, że przez najbliższych kilka dni poruszanie się będzie męką. Trochę kiepsko, biorąc pod uwagę, że powinniśmy się w tym czasie rozpakować.

– Ciekawe, skąd taki gwóźdź wziął się u was na trawniku. – Intruz uśmiechnął się i podał mi rękę. Uścisnąłem ją z wdzięcznością. Pomógł mi wstać. – Phillip Deighton, do usług.

– Michael Cayle. Miał pan rację, rzeczywiście jestem nowym lekarzem.

– Mamusiu, co to za pan? – zapytała Jessica.

Podeszły do nas. Christine uciszyła córkę, uśmiechnęła się i przedstawiła.

– Córka źle się dzisiaj czuje – wyjaśniła. – Przydarzył jej się mały... wypadek.

Page biegał w kółko wokół nas i tylko od czasu do czasu zbaczał nieco z trasy, żeby obwąchać wymiociny.

Deighton wyjął cygaro z kieszeni i włożył je do ust, ale go nie zapalał.

– Miło mi państwa poznać. – Przykucnął przed Jessica. – A ty jak masz na imię, młoda damo?

Jessica milczała. Szepnąłem jej, żeby się przedstawiła jak grzeczna dziewczynka, na co półgębkiem wymamrotała swoje imię, po czym przytuliła się do Christine.

– Witam w Ashborough.

Wstał i uśmiechnął się serdecznie, a ja nagle uświadomiłem sobie, że śmieje się ze mnie: byłem w samej bieliźnie.

– No tak... Jak widać, rzeczywiście mieliśmy tu mały... wypadek. Przepraszam za...

bałagan.

Nie musiałem pokazywać palcem, co mam na myśli. Deighton rozłożył ręce.

– Nie przepraszaj. Każdy może mieć zły dzień, a wy na pewno jesteście podenerwowani przeprowadzką.

– Trochę tak. Początek nie jest najlepszy.

Deighton z uśmiechem spojrział na Christine. Chyba czuł się niezręcznie, rozmawiając z facetem w gaciach.

– Na razie zapraszam do mnie. Poczekacie, aż przywiozą wam rzeczy. Moja żona nie może się doczekać, kiedy was pozna. Będzie twoją stałą pacjentką; poczytasz o niej w kartotece doktora Farrisa. A poza tym u mnie w domu będziesz mógł oczyścić i opatrzyć ranę.

Przyda ci się pewnie zastrzyk przeciwtężcowy.

Zerknąłem na Christine, która wzruszyła ramionami i skinęła głową. Spieszno nam było znaleźć się w domu, ale bez mebli nie mielibyśmy nawet gdzie usiąść. Nie podłączyliśmy też jeszcze wody, a ja nie chciałem odrzucać zaproszenia gościnnego sąsiada, nawet złożonego w niezbyt fortunnym momencie.

– Zrobimy lunch – ciągnął Deighton. – Na pewno zgłodnieliście. – Oparł dłonie na kolanach i spojrzał na Jessicę. – Rosy przyrządza taką specjalną mrożoną herbatę z miodem, po której twój brzusek na pewno poczuje się lepiej. Co ty na to?

Jessica pokiwała głową i uśmiechnęła się słabo.

Faktycznie: ja byłem głodny, Christine pewnie też, a w samochodzie mieliśmy tylko paczkę chipsów. Wcześniej myśleliśmy o tym, żeby na obiad podjechać do miasta, ale wyglądało na to, że będziemy musieli zmienić plany.

– Nie odmówimy – powiedziałem. – Dzięki.

Pokuśtykałem do samochodu i włożyłem czyste spodnie. Christine dała Jessice środek na niestrawność; mała, która zdążyła już zapomnieć o torsjach, z radością chęptała lekarstwo prosto z butelki.

Wcisnęliśmy się do minivana: Deighton i jego nowy najlepszy przyjaciel Page usiedli z tyłu, Christine z przodu, z Jessicą na kolanach. Kiedy ruszyliśmy, obejrzałem się jeszcze na dom i ciągnący się za nim las.

Ciekawe, pomyślałem, jak daleko sięga.

## ROZDZIAŁ 4.

**D**roga zataczała szeroki łuk – moim zdaniem bez powodu, bo dom Deightonów tak jak nasz stał po wschodniej stronie lasu. Po lewej cały czas mieliśmy drzewa, po prawej – rozległe łąki. Dalej widzieliśmy kolejne domy, za którymi rozciągał się las.

Wjechałem na długi zwirowy podjazd. Zastanawiałem się, dlaczego poprzedni lekarze mieszkający w Ashborough nie otworzyli gabinetu w centrum miasteczka, gdzie panował największy ruch i siłą rzeczy byłoby najwięcej pacjentów. Może chodziło o to, by się skoncentrować, żyć w ciszy i spokoju. Tak to pewnie wyglądało od XVIII wieku, kiedy pierwsi mieszkańcy własnoręcznie budowali te domy. Tak jak teraz, w miasteczku był jeden lekarz, który mieszkał gdzieś na obrzeżach, i każdy, kto potrzebował jego pomocy, musiał się do niego pofatygować. Nie miałem pojęcia (i trochę mnie to niepokoiło), czy moi poprzednicy jeździli na wizyty domowe i czy podobnej usługi będą pacjenci oczekiwać ode mnie.

Czy właśnie o to chodziło Deightonowi? Czyżby stosował małą dywersję, a naprawdę chciał mnie prosić o poradę?

Powtarzałem sobie, że tego rodzaju myśli są wynikiem stresu i zmęczenia, ale jakoś nie potrafiłem sam siebie przekonać.

„Moja żona nie może się doczekać, kiedy was pozna. Będzie twoją stałą pacjentką”.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Deighton. – Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

Trzydzieści dwa lata tu mieszkam. Nie wyobrażam sobie, żeby się tak odciąć od poprzedniego życia i przeprowadzić jak wy.

Wysiadł z samochodu z zachwyconym Page'em, który skakał wokół niego i obszczekiwał go radośnie. Jessica, która przeszła zdumiewającą przemianę – z chorej i bladej zmieniła się w wesołą i dokazującą – popędziła za psem.

– Uspokój się, Jess – strofowała ją Christine. – Nie chcielibyśmy tu żadnych wypadków.

Dom Deightonów na pierwszy rzut oka bardzo przypominał mój: duży, typowy dla Nowej Anglii, tynkowany na biało, kryty ciemnym gontem. Podjazd ciągnął się wokół rozległego trawnika i – podobnie jak biegnąca do domu dróżka – nie był wybetonowany.

Cztery drewniane stopnie prowadziły na werandę. Ładna wiosenna pogoda zachęciła rosnące przy werandzie azalie, by rozkwitły, i teraz przesycaly powietrze miłym aromatem.

Wniebowzięte trzmielce krążyły wokół nich. Dom bardziej niż mój wyglądał na zamieszkania: pod okapem wisiał krowi dzwonek, a nad drzwiami obrane z ziarna kaczany kukurydzy.

Typowy widok małego miasteczka w Nowej Anglii.

Phillip wprowadził nas do środka i wskazał mi schody.

– Łazienka jest na górze, z lewej strony.

Zabrałem z samochodu apteczkę. Z lekkim rozbawieniem uświadomiłem sobie, że nigdy wcześniej nie korzystałem z niej przy robieniu zastrzyków przeciwtężcowych. W ogóle dawno do niej nie zaglądałem, bałem się nawet, że nie znajdę w środku żadnej strzykawki.

Jednak zdrowy rozsądek kazał mi zachować spokój: strzykawki i igły będą na swoim miejscu, równie prawdziwe jak zraniona stopa i groźba zakażenia.



– Dzięki.

Uśmiechnąłem się do Christine z roztargnieniem. Jessica karmiła Page’a kielbaską, którą Deighton wyjął z lodówki. Wszedłem na schody, kiedy Christine zaczęła tłumaczyć, dlaczego wyprowadziliśmy się z Manhattanu.

Przypuszczałem, że zanim skończę przemywać ranę i robić sobie zastrzyk, historia dobiegnie końca i będziemy mogli spokojnie wrócić do siebie, pod numer 17. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

Schody skrzypiały pod stopami. Na górze zgodnie ze wskazówkami gospodarza skierowałem się w lewo: dwa i pół metra ode mnie, na końcu długiego, wytapetowanego przedpokoju, znajdowały się otwarte drzwi. Rzeźbiona w kwiatowe wzorki boazeria sięgała mi do pasa i biegła przez całą długość korytarza. W powietrzu unosił się delikatny, jakby lekko stęchły zapach. Przyszły mi do głowy kulki na mole, ale równie dobrze mogło to być coś innego. Na przykład niemyte od dawna włosy.

Spojrzałem w drugą stronę, gdzie było jeszcze dwoje drzwi: jedno na wprost, drugie po stronie schodów. Domyśliłem się, że prowadzą do dwóch sypialni. Wzruszyłem ramionami, przekręciłem okrągłą klamkę i przeszedłem przez próg.

W tej samej chwili spojrzałem na zegarek: była pierwsza. Całkiem możliwe, że zareagowałem instynktownie, aby odwrócić uwagę świadomości od faktu, że wszedłem za niewłaściwe drzwi. Nie znalazłem się bowiem w łazience, tylko w sypialni gospodarzy, twarzą w twarz z panią Deighton.

Która – dzięki Bogu! – spała. Leżała wsparta na dwóch poduszkach, z głową niezgrabnie przekrzywioną, opadającą na lewe ramię. Dłonie zaczęły mi się pocić, ale nie wypuściłem apteczki z rąk. Przeciwnie, ścisnąłem ją mocniej, czując, jak serce zaczyna mi kłusować w piersi. Albo źle

skręciłem przy schodach, albo Phillip – spryciarz! – celowo wykierował nowego lekarza w Ashborough wprost do sypialni pierwszej pacjentki.

„Oto twoje nowe życie, sąsiedzie. Żebyś wiedział, czego się spodziewać”.

Pani Deighton poruszyła się przez sen: szarpnęła głową, prychnęła, poruszyła gwałtownie rękami pod skotłowaną kołdrą. Moje serce chyba przeszło z kłusa w galop; przez kilka sekund pokój wirował mi przed oczami. Stopy miałem jak przyklejone do podłogi.

Wstrzymałem oddech – niby po to, by nie zbudzić śpiącej kobiety, ale w głębi serca wiedziałem, że paraliżuje mnie strach.

Odwołałem się do swojego lekarskiego doświadczenia, żeby postawić diagnozę, i natychmiast przyszedł mi do głowy rak, przekleństwo co dziewiętnastego Amerykanina.

Ślady choroby wydały mi się oczywiste. Pani Deighton miała amputowaną dużą część zuchwy – topornie na mój gust, w pośpiechu i nierówno. Nie jestem jednak chirurgiem i nie znałem szczegółów jej choroby, nie wiedziałem więc, jak przedstawiała się możliwość leczenia operacyjnego.

Domyślałem się, że w pewnym momencie na kości zaczął rosnać złośliwy guz, o którego istnieniu nikt nie wiedział, dopóki nie rozrósł się tak bardzo, że nie dało się już uratować szczęki. Wycięto go więc z kawałkiem policzka, pozostawiając głęboką dziurę, której nikt nie powinien oglądać. Swoje widziałem, niestraszne mi otwarte rany, ale ta naprawę była okropna.

Pewnie nazwiecie mnie durniem, bo podszedłem bliżej, z chorobliwą ciekawością przyglądając się śladom makabrycznego okaleczenia; nie mogłem się powstrzymać. A już kompletnym i niepojętym dla mnie wariactwem było wyobrażanie sobie, że oglądam skórkę nadgniętego jabłka,

znalezionego na dnie jakiegoś zapomnianego kosza na owoce. Odezwał się mój lekarski nawyk, chciałem zbadać chorą... Nie, nie zbadać: chciałem się pogapić. Boże, czułem się jak dzieciak na pokazie cyrkowych dziwadeł. Co się ze mną porobiło?

Odwróciłem się i mój wzrok padł na wiszące na ścianie zdjęcie przedstawiające młodszego Phillipa, nieokaleczoną Rosy i stojącą między nimi dziewczynę, mniej więcej piętnastoletnią. Pewnie córka.

Przez drugie drzwi, otwarte, przemknąłem do łazienki. Namacałem wyłącznik i zapaliłem światło. Ostre, żółte światło wypełniło pomieszczenie, odbijając się od glazury, która sięgała aż do pomalowanego na biało sufitu. Bolesne pulsowanie w stopie się nasilało.

Pospiesznie zdjąłem bandaże. Odsunąłem zasłonę prysznicową i napuściłem letniej wody do jednej czwartej głębokości wanny, po czym zanurzyłem w niej nogę. Zakłuło, ale tylko na początku. Rana zaczęła namakać.

Stojąc tak jedną nogą w wannie, próbowałem myśleć o facetach od przewodzących, którzy pewnie właśnie zastawiali mi trawnik kartonami, i o tym, że powinienem jak najszybciej wracać do domu, żeby powiedzieć im, gdzie co postawić. Nie mogłem się jednak skoncentrować, prześladował mnie widok śpiącej za drzwiami kobiety. Wzdrygnąłem się.

Może to właśnie zaskakujące spotkanie z nią tak mnie rozstroiło. Pocieszałem się, że kiedy na dobre wejdę w rolę szanowanego lekarza rodzinnego, rutyna weźmie górę i wszystko będzie dobrze. Taką miałem nadzieję.

Po pięciu minutach wyjąłem nogę z wody i obejrzałem. Zaczątki zakażenia były oczywiste: wokół rany utworzyła się czerwona obwódka; za parę godzin zacznie się zbierać ropa, ten nektar rozkładu. Coś pięknego.

Czas na zastrzyk.

To jedna z zalet bycia lekarzem: można zaordynować albo przepisać (sobie lub członkowi rodziny) dowolny specyfik bez tracenia kilku godzin na wizyty w przychodniach i aptekach. Po chwili trzymałem strzykawkę w dłoni. Przebiłem pojemniczek z surowicą, wciągnąłem zawartość do strzykawki, a potem wstrzyknąłem sobie w udo. Zawsze krzywię się z bólu przy zastrzyku, choćby trwał tylko chwilę; miałem więc nadzieję, że teraz szybko przestanie boleć. Dwa ukłucia ostrym przedmiotem w jednym dniu to ponad moje siły.

Schyliłem się i zamknąłem apteczkę.

Coś się poruszyło.

Kątem oka dostrzegłem wydłużony cień na kafelkach. Przypominał łeb węża morskiego. Cofnąłem się odruchowo, zaplątałem w zasłonę prysznicową i zacisnąłem na niej palce, żeby nie wpaść do wanny. Trzy z plastikowych kółeczek, na których była zawieszona, pękły z trzaskiem i upadły na podłogę, na szczęście reszta wytrzymała i zdołałem złapać równowagę. Hałas był jednak wystarczający, by obudzić panią Deighton – o ile, rzecz jasna, cień, który widziałem, nie należał właśnie do niej, zwabionej dziwnymi odgłosami. Ciekaw byłem, co sobie pomyśli, widząc w swojej łazience obcego faceta, na bosaka, wtulonego w zasłonkę od prysznica. Na pewno śmiertelnie się przerazi.

Lepiej ją uprzedzić.

Podszedłem do drzwi, kuląc się instynktownie. Patrzyłem na przemian to na zanikający cień na ścianie, to na drzwi do sypialni.

– Halo? – odezwałem się półgłosem.

Cisza. Całkiem możliwe, że starsza pani niedosłyszy.

– Halo?! – powtórzyłem głośniej. – Pani Deighton? Pani mąż pozwolił mi skorzystać z łazienki.

Wszedłem do sypialni.

Pani Deighton rzeczywiście już nie spała: wstała z łóżka i w koszuli nocnej stanęła przy jedynym oknie w pokoju. Na szczęście nie patrzyła w moją stronę, więc nie musiałem oglądać jej twarzy. Wyglądała przez okno, kołysząc się lekko w przód i w tył, jak pod wpływem mocnego alkoholu.

W końcu chwiejnie odwróciła się w moją stronę, obrzucając mnie obojętnym, ale i tak przeszywającym spojrzeniem. Nie krzyknęła, nie odsunęła się ode mnie – tak jakby się mnie spodziewała. Albo nie zauważyła. Głowa jej drżała, a ponieważ patrzyłem na nią od strony dziury w policzku, widziałem luźny płat skóry zwisający jak podgardle u indyka. Pierwszy raz w swojej karierze zawodowej pomyślałem, że moja potencjalna pacjentka może nie być człowiekiem – choćby nie wiem jak bardzo niedorzecznie to brzmiało. Czuję się jak barbarzyńca, nie lepszy od ludzi, którzy ponad sto lat temu uganiaли się po Londynie za Johnem Josephem Merrickiem, człowiekiem słoniem.

Nasze oczy się spotkały. Uderzyło mnie, że jej oczy są... inne, jakby wyprane z emocji, jakby napatrzyły się na koszmary znacznie gorsze niż rak. I nagle zobaczyłem... Ciąg dalszy makabry, która nagle przesączyła się do mojego świata, zaparła mi dech w piersi i wtłoczyła falę adrenaliny do wiotczących mięśni. Prawa dłoń pani Deighton... zniknęła. W połowie przedramienia kikut ręki kończył się węzlastą masą blizn. Brakowało połowy prawego bicepsa: była w nim dziura w kształcie U. Całe ciało kobiety – ręce, szyję, podudzia i stopy – pokrywały blizny.

To nie był rak. I nie trzeba było lekarza, żeby się tego domyślić. Nie, tę kobietę zaatakowało jakieś krwiożercze zwierzę. Może nawet niejedno.

Nie chciałem dłużej z nią przebywać. Przecież w ogóle nie powinno mnie tam być.

Zachodziłem w głowę, po co Deighton skierował mnie do łazienki przy sypialni; przecież na pewno mieli tu więcej niż jedną łazienkę.

Oczywiście, Michael. Muszą mieć jeszcze jedną. Ty w swoim nowym domu masz trzy. Ale przecież sam się już domyśliłeś: stary, dobry Phil Deighton chciał ci pokazać, co cię czeka, kiedy otworzysz gabinet.

Sapnąłem nerwowo. Powinienem coś powiedzieć.

– Pani Deighton...? Jestem Michael Cayle, nowy lekarz...

– Nie możesz mi pomóc – przerwała mi.

Zabrzmiało to jak „Nie mowef mi pomóf”. Kropla gęstej śliny spłynęła jej z kącika ust i rozciągnęła się w powietrzu w długie pasemko.

Zrobiłem krok do przodu. Cofnęła się niepewnie i znów odwróciła do okna, oparła barkiem o szybę. Podniosła ocalałą rękę i przesunęła dłonią po szkle, które zazgrzytało piskliwie pod poźółkłymi, za długimi paznokciami.

– Pani Deighton... – próbowałem się bronić. – Zrobię, co w mojej mocy...

– Przyjdą po ciebie tak jak po mnie i po doktora Farrisa. Przyjdą po wszystkich w tym przeklętym mieście!

Zacząła półgłosem, ale z każdym wypowiedzanym bełkotliwie słowem jej głos nabierał mocy i pod koniec tej dziwacznej przemowy przypominał warczenie.

Oddychałem coraz szybciej, coraz gwałtowniej, jakby płuca miały mi eksplodować.

Chciałem ją pocieszyć, może pomóc jej się położyć do łóżka... Ale nie mogłem się zmusić, żeby jej dotknąć. Bałem się jej. Nawet nie tyle jej samej (widywałem już podobne obrażenia), co raczej jej wzroku i tej pustki w jej twarzy. Przyprawiała mnie o zawroty głowy. Bałem się tego, co ją spotkało.

„Przyjdą po ciebie tak jak po mnie i po doktora Farrisa”.

– Czy doktora Farrisa nie pokąsał pies? – zapytałem.

Jej obrażenia i historia poprzedniego lekarza dały mi do myślenia.



Nie odpowiedziała. Patrzyła za okno, postukując żółtymi paznokciami w szybę: puk, puk, puk.

Ależ oczywiście, że tak, pomyślałem. Dlatego właśnie trafiłem do Ashborough.

Doktor Farris zmarł, pogryziony przez psa, a ja wprowadzam się do jego domu i przejmuję jego praktykę. Rany boskie, sytuacja, która z początku wyglądała na dar niebios, z każdą chwilą stawała się coraz bardziej makabryczna. Może doktor Farris miał szczęście? W przeciwieństwie do pani Deighton, która wprawdzie przeżyła atak psa, ale została okropnie okaleczona.

Oderwałem od niej wzrok i przeszedłem przez pokój, oddychając głęboko i powoli, aby zwalczyć zawroty głowy. Musiałem się uspokoić, wyciszyć nerwy rozedrgane od strachu.

Wyszedłem na korytarz i oparłem się o ścianę. Biłem się z myślami. Co mnie tak przeraziło, na Boga? Może z powodu stresu związanego z przeprowadzką jestem tak nadwrażliwy? Kiedy pierwszy raz usłyszałem, jak zginął doktor Farris, byłem wstrząśnięty i obawiałem się, jak to będzie, gdy przyjdzie mi zająć jego zaszczytne stanowisko w miasteczku, gdzie wszyscy znają się jak łyse konie i pozdrawiają uprzejmym „dzień dobry”.

A teraz pani Deighton, moja nowa sąsiadka... Przeżyła podobny koszmar. Mój niepokój zmienił się w przerażenie.

Czy w Ashborough grasują dziczące psy?

Otrząsnąłem się z tej nieprzyjemnej myśli, ale zanotowałem sobie w pamięci, żeby podrażnić tę sprawę, kiedy już się zadomowimy. Stałem u szczytu schodów i skręciłem do pierwszych drzwi w korytarzu – po prawej stronie.

Łazienka. W pełni wyposażona. Z wanną.

## ROZDZIAŁ 5.

Phillip zamienił cygaro na fajkę i właśnie ją nabijał, kiedy zszedłem na parter. Bałem się, że mógł usłyszeć, jak jego żona na mnie warknęła, ale jej głos najwyraźniej nie dotarł na dół. Phillip staranie złożył prostokątną paczuszkę z tytoniem i położył ją na stole razem z fajką. Widocznie zostawiał sobie tę przyjemność na później, kiedy już pójdziemy.

– Ano tak – powiedział, popijając mrożoną herbatę. – Bardzo się z Neilem przyjaźniliśmy. Szkoda, wielka szkoda, że tak skończył.

Trzy szklanki stały na kuchennym stole przykrytym kraciastym obrusem. Na kuchence stał szklany dzbanek do połowy napełniony zieloną herbatą z cytryną. Słoik z miodem, w kształcie niedźwiadka, przycupnął obok dzbanka jak tulące się do niego dziecko. Na stole znalazły się też ogromne kanapki z serem i indykiem; Christine zjadła już połowę swojej, nawet Jessica trochę skubnęła. Mój żołądek natychmiast obwieścił, że jest głodny, usiadłem więc na wolnym krześle i poczęstowałem się. Christine i Phillip rozmawiali o Ashborough – sklepach przy rynku i rozległych trawnikach parku Beaumonta. Rzadko się odzywałem, pochłaniając kanapkę; po kilku kęsach poczułem się trochę lepiej. To niewiarygodne, jak łatwo o irracjonalne zachowania, kiedy człowiek jest głodny. Spotkanie z panią Deighton nie wydawało mi się już wcale takie straszne – chociaż w dalszym ciągu uwierała mnie świadomość przebywania z nią pod jednym dachem, a perspektywa przyszłych wizyt domowych nie budziła entuzjazmu.

– Opatrzyłeś nogę, Michael? – zainteresował się Phillip.

Pokiwałem głową.

– Chyba obejdzie się bez amputacji – odparłem.

Parsknął śmiechem. Christine nie pierwszy raz słyszała ten mój żarcik, więc tylko przewróciła oczami. Jessica pociągnęła łyk zielonej herbaty (jak na herbatę miała dziwnie intensywny kolor) i jęknęła przeciągle: – Taaato...

Też nie uważała, żebym był zabawny. Ale co mi tam, żart i tak był przeznaczony tylko dla gospodarza.

Phillip przez chwilę wpatrywał się w swoją szklanę, zanim przeniósł wzrok najpierw na Jessicę, a potem na Christine. Miałem nadzieję, że uda mi się spojrzeć mu w oczy, może dostrzec w nich cień odpowiedzialności za skierowanie mnie do niewłaściwego pokoju na piętrze. On jednak ze stoickim spokojem zaczął opowiadać o doktorze Farrisie: – Farrisowie mieszkali tu już na długo przed tym, jak my się sprowadziliśmy, a to było dwadzieścia siedem lat temu. Farris spędził w Ashborough czterdzieści lat i z tego co mi wiadomo, zastąpił lekarza, który również przemieszkał kawał czasu przy Harlan Road 17. Jak widzicie, ten dom co najmniej od stu lat jest siedzibą lekarzy. Całkiem możliwe, że zawsze mieszkał tam lekarz... No, ale to tylko moje domysły. Emily Farris była dobrą kobietą, bliską przyjaciółką mojej żony. Wpadała do nas co drugi dzień, żeby się przywitać i zapytać, co u Rosy. Nie muszę chyba mówić, że Rosy bardzo się zmartwiła tym, co się ostatnio wydarzyło.

Kiedy zmarł Neil Farris, straciła w Emily nie tylko sąsiadkę, ale i jedyną przyjaciółkę.

– Twoja żona... – wtrąciłem. Deighton pierwszy raz spojrział mi w oczy.

– Rosy... – ciągnąłem. – Tak ma na imię, prawda?

– Ano tak, po babce. To zdrobnienie od Rosalia.

Pokiwałem głową.

– Mówiłeś wcześniej, że bardzo chce mnie poznać.

– No bo chce... ale teraz śpi – uciął ostrym, trochę nieprzyjemnym tonem, jakby oskarżał mnie o potajemne zakradanie się do ich sypialni i szukanie Rosy.

Zapanowała krępująca cisza, co rzadko się zdarzało, kiedy Jessica i Page znajdowali się razem w jednym pomieszczeniu.

– Ja też chętnie ją poznam – powiedziałem w końcu.

Kłamczuch! – pomyślałem.

Deighton się uśmiechnął – nieszczerze, moim zdaniem – i odparł: – Muszę jej zanieść leki.

To był sygnał dla nas. Nasze zielone światło, jeśli wolicie.

– A my musimy wracać do siebie – stwierdziłem i spojrzałem na Christine. – Faceci od przeprowadzek pewnie już zastawili nam pół domu kartonami, a my im jeszcze nie pokazaliśmy, gdzie postawić meble.

Zostawiliśmy niedojedzone kanapki i niedopitą herbatę, wstaliśmy i obeszliliśmy stół, żeby pożegnać się z Phillipem.

– Spodoba się wam tutaj – zapewnił nas. – Tak jak mówiłem, mieszkamy tu od dwudziestu siedmiu lat. Moją przyszłą żonę poznałem w Bostonie, pobraliśmy się i po roku sprowadziliśmy tutaj. Dostałem pracę w fabryce po drugiej stronie miasta. Odpracowałem swoje ćwierć wieku i trzy lata temu odszedłem na wcześniejszą emeryturę. Ktoś musiał się zająć Rosy.

– I padło na ciebie – domyśliłem się.

– Ano tak. Co miałem zrobić?

Jessica z Page'em wyszli już na werandę. Christine przytrzymała mi drzwi.

– Nie powiedziałaś nam, co się stało Rosy – zagadnąłem.

Zawsze uważałem, że wypytywanie ludzi o problemy ze zdrowiem jest nietaktowne, zwłaszcza kiedy spotykaliśmy się na gruncie towarzyskim, a

nie w moim gabinecie, ale jako że pani Deighton miała być moją pacjentką miałem chyba prawo wiedzieć.

– Rak.

Kłamał. Nie musiałem patrzeć mu w oczy, żeby to wiedzieć.

– No, czas na was, moi drodzy. Rozpakuj się spokojnie. My jesteśmy cały dzień w domu, późno kładziemy się spać, a Rosy jest w najlepszej formie zwykle w porze kolacji...

Ale zapraszamy, kiedy tylko będziecie mieli ochotę. W lodówce zawsze znajdzie się mrożona herbata. Poza tym Rosy to świetna kucharka. – Mrugnął do Jessiki, która nadal była trochę blada. – A gdyby Page zgłodniał, to też może wpaść coś przekąsić.

– Page jest zawsze głodny – odparła Jessica.

– Wpadniemy, Phil, na pewno – skłamałem.

Lunch był smaczny, ale niespieszno mi było prosić o dokładkę. Wciąż nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że Deighton chciał, żebym rzucił okiem na jego żonę. Psuło mi to humor.

Zeszliśmy z werandy i stanęliśmy przy samochodzie.

– Miło było was poznać, doktorze Cayle – powiedział Deighton.

Na widok błysku w jego oczach pomyślałem, że dobrze wie, co chodzi mi po głowie.

Uśmiechnąłem się.

– Nam ciebie również, Phillipie.

Wgramoliliśmy się do minivana i ruszyliśmy w drogę. Patrzyłem, jak Deighton wraca do domu: poruszał się ciężko, powoli, jak schorowany osiemdziesięciolatek.

## ROZDZIAŁ 6.

**G**dy byliśmy u Deightonów, przyjechała ciężarówka z naszymi rzeczami. Większość dnia zajęło nam zainstalowanie się w nowym domu. Wcześniej tylko raz widzieliśmy nasze lokum, więc nie byliśmy jeszcze zdecydowani, gdzie co postawić, ale w końcu meble stanęły na swoim miejscu. Ja i Christine zajęliśmy największą sypialnię na górze, Jessica zamieszkała w sąsiedniej, nawet Jimmy Page dostał swój pokój, obok łazienki.

Uporaliśmy się ze wszystkim około pół do jedenastej w nocy. Jessica doszła przez ten czas do siebie i spokojnie usnęła. Page zwinął się obok niej na materacu i cicho pochrapywał.

Otaczały ich pudła z ubraniami małej, niezliczonymi zabawkami, lalkami, książkami i innymi skarbami, bez których dziecko nie może się obejść, a które po roku czy dwóch staną się zbędne.

Przez cały dzień Christine zarządzała otwieraniem kartonów, przesuwaniami stołów i krzeseł i rozstawianiem bibelotów, ja zaś narzekałem na erupcję jej zapału dekoratorskiego.

Tłumaczyłem (z każdej godziny dobry kwadrans zabierały nam sprzeczki), że powinniśmy się lepiej zorganizować i najpierw rozstawić meble, zanim zaczniemy wieszać kinkiety i uchwyty pod doniczki. Oczywiście przegrałem tę bitwę i Christine robiła swoje, a ja swoje. Od czasu do czasu wchodziliśmy sobie w drogę, zwłaszcza przy kwestiach niewyjaśnionych – takich jak to, gdzie postawić lodówkę turystyczną pełną zabawek Page'a.

Kiedy w końcu pokonało nas zmęczenie, przekonałem ją, że kieliszek wina na dobranoc dobrze nam zrobi. Otworzyliśmy przywiezioną z Nowego Jorku butelkę merlota, przeprosiliśmy się z krakersami z serem, które jedliśmy już na kolację, i stuknęliśmy się kieliszkami, siedząc po przeciwnych stronach kuchennego stołu.

– Za nasz nowy dom – powiedziałem, kosztując wina.

– Za nasz nowy dom.

Uśmiechnęła się. Była wykończona; miała podkrążone i zaczerwienione oczy, kosmyki włosów wymykały się jej z koka.

– Powinnaś iść spać.

– Aż tak źle wyglądam?

– Nie powiedziałem, że źle wyglądasz...

– Ty też nie prezentujesz się najlepiej. – Uśmiechnęła się złośliwie. –

Posłuchaj własnej rady, doktoru.

– Boję się, że nie zasnę. Za dużo się wydarzyło.

Zacząła się śmiać. Wino pociekło jej na brodę. Otarła je chusteczką.

– No co? Co cię tak ubawiło?

– Przypomniałam sobie, jak stałeś przed domem w samych majtkach i próbowałeś być uprzejmy dla naszego sąsiada.

Znowu parsknęła śmiechem.

Ja też się roześmiałem. Ależ to musiał być widok: półnagi facet zalatujący rzygowinami w rozmowie z Phillipem Deightonem.

– Nie ma gość wyczucia czasu, co?

– Za grosz.

– Pomyśl: ja jestem goły, Jess rzyga, jak daleko widzi, a on jeszcze nas do siebie zaprasza.

– Wiesz; co? W pierwszej chwili pomyślałam, że chce, żebyś obejrzał jego żonę.

Przyznałem, że i ja miałem podobne wrażenie, i chociaż nie bardzo chciałem do tego wracać, opowiedziałem Christine o moim spotkaniu z Rosy (pomijając to, co do mnie powiedziała) i podzieliłem się moimi podejrzeniami, że Phillip celowo wprowadził mnie w błąd.

– Myślę, że gdyby o to mu chodziło, powiedziałby wprost. Nie wygląda mi na faceta, który bawi się w takie podchody. To na pewno był przypadek. Może źle go usłyszałeś.

– Nie, jestem pewien, kazał mi skrócić na górze w lewo.

– Może ta druga łazienka była brudna albo coś się w niej popsuło. Mógł mieć różne powody, żeby cię do niej nie kierować.

Wzruszyłem ramionami. Może rzeczywiście przesadzałem z analizowaniem tej sytuacji; może faktycznie byłem uprzedzony, jak wcześniej stwierdziła Christine.

Ale wtedy przypomniałem sobie jeszcze coś.

– Pamiętasz, jak powiedział, że jego żona ma raka?

– Tak, słyszałam to. Straszne...

– Widziałem Rosy Deighton, ona nie ma raka. Owszem, na początku tak pomyślałem, ale kiedy przyjrzałem jej się bliżej... Pokąsało ją jakieś dzikie zwierzę, bez dwóch zdań. Pewnie pies, a gdybym miał się wypowiadać jako lekarz, to psów było więcej niż jeden.

– Jesteś pewien?

– Całkowicie.

– Trochę to przerażające, jak człowiek pomyśli, co się przytrafiło Farrisowi.

– Otóż to.

Christine jednym haustem dopiła wino. Milczenie się przedłużało, temat został wyczerpany.

– Wystarczy mi jak na jeden dzień. Idę do łóżka. Ty też się kładziesz?



- Raczej nie... Rozejrzę się w gabinecie. Jeszcze tam nie zaglądałem.
  - Michael, gabinet nie ucieknie...
  - Jestem bardzo podekscytowany. Poza tym ciekawi mnie, jaki sprzęt zostawiła mi pani Farris. To potrwa tylko chwilę.
  - Powiedziała, że zostawia wszystko.
  - Wiem o tym... Chciałbym po prostu zobaczyć, co to „wszystko” oznacza.
  - Nie siedź za długo. To pierwsza noc w nowym domu, będę podskakiwać na każdy hałas i skrzypnięcie desek.
  - Nie martw się, migiem zaśniesz.
- Pocałowałem ją na dobranoc.

## ROZDZIAŁ 7.

Poczułem się jak kot, który pierwszy raz zakradł się do spizarni. Wytrzeszczając oczy w ciemności, macałem po ścianie w poszukiwaniu wyłącznika światła w korytarzu, aż w końcu znalazłem go po prawej stronie. Oblepiona kurzem goła żarówka rzucała bladą poświatę na wyblakłe zielone ściany. Korytarz – długi na półtora metra i jak ogromna tętnica łączący dom z gabinetem lekarskim – był pusty jak więzienna cela. Tynk na ścianach popękał, a przejścia strzegły stalowe drzwi z podwójnym zamknięciem: zasuwką i łańcuchem. Wydało mi się dziwne, że Farris postanowił zainstalować w tym miejscu takie solidne drzwi: ciężkie i trudne do sforsowania przez złodzieja. Zanotowałem sobie w pamięci, żeby wymienić je na inne, drewniane, takie jak drzwi do pokoiów i schowków w całym domu.

Wszedłem do poczekalni. To tutaj pacjenci mieli zapisywać się na wizyty i siedząc jak na szpilkach, czekać, aż ich przyjmę. Dwie małe kanapy z kraciastymi obiciami tuliły się do ścian. Kolejne drzwi prowadziły na zewnątrz: to było wejście dla pacjentów. Naprzeciwko znajdowało się przepierzenie, za którym przy ścianie stało małe biurko. Tutaj miała pracować moja żona: witać gości miłym uśmiechem i wpisywać ich dane do komputera, który miałem nadzieję zainstalować w najbliższych dniach.

Z prawej strony za przepierzeniem znajdowały się drzwi do gabinetu. Ściany miały ten sam dziwny odcień zieleni, który znałem już z korytarza. Pomyślałem, że dobrze będzie położyć świeżą warstwę śnieżnobiałej farby, żeby trochę zmienić ten przyprawiający o mdłości wystrój. Gabinet mierzył

trzy na trzy i pół metra. Ścianę zdobiły tablica okulistyczna z literami i trójwymiarowy szkic ludzkiego układu nerwowego. Na wprost wejścia stał lekarski stół z nierdzewnej stali, pod którym walała się napoczęta rolka ręcznika papierowego. Takie ręczniki zawsze przywodzą mi na myśl sprzedawane w delikatesach włoskie kanapki z serem i wędliną.

Zamknąłem oczy i próbowałem sobie wyobrazić swój pierwszy dzień pracy. Pacjenci będą tu zupełnie inni od tych, którzy odwiedzali klinikę doktora Scully'ego na Manhattanie.

Tam byłem lekarzem rodzinnym ludzi biednych, ze świeżutkimi zielonymi kartami, objętych rządowym programem opieki zdrowotnej. Przyjmowałem nastoletnie matki i chorych z objawami grypy, które albo wynikały z odstawienia środków przeciwbólowych, albo sygnalizowały pierwsze stadium żółtaczki. To było coś. W Ashborough czekała mnie rutyna corocznych wizyt kontrolnych, od czasu do czasu jakaś grypa, katar albo złamanie u dzieciaka w wieku szkolnym. Za pół roku będę znał większość mieszkańców, których – według ostatniego spisu – było około tysiąca dwustu. Większość, nie wszystkich, ponieważ zawsze trafia się jakiś odsetek ludzi, którzy z jednego z dwóch powodów nie chcą iść do lekarza: albo czują się odporni na choroby, albo tak się boją, że wolą nie znać prawdy. Ci sami pacjenci przychodzą później na kolanach i proszą o cud – zawsze o dzień za późno i zawsze bez grosza przy duszy. Przykro mi, Charlie. Nie jestem Bogiem.

Dwa kroki od wejścia do gabinetu były jeszcze jedne drzwi, o dziwo również stalowe.

Prowadziły do mojego przyszłego azylu: biblioteki. Chyba wystarczająco jasno dałem już wyraz wątpliwościom, jakie targają mną przy podejmowaniu decyzji o przeprowadzce na wieś, ale ten pokój... Powiem tak: ten pokój pozwalał mi zapomnieć o większości zastrzeżeń.

Ściana naprzeciw wejścia jest cała przeszklona, podzielona na okna sięgające od podłogi do sufitu – wysokiego i łukowato wysklepionego, zaczynającego się na wysokości trzech i pół metra i dochodzącego do pięciu i pół. Czułem się jak w kościele; żebrowane sklepienie i łuk nad drzwiami celowo wzmacniały to wrażenie, skłaniały do myślenia o niebie i napawały mnie lękiem wobec dyskretnej obecności bóstwa. Trochę to było przerażające, ale zapierało dech w piersi. Piękny pokój z widokiem – i nie tylko.

Tak, to był mój azyl. Tu czułem się bezpiecznie.

Emily Farris najwyraźniej uznała za stosowne zostawić mi całe męzowskie zapasy, które wypełniały dwie olbrzymie dębowe szafy po prawej stronie. Znalazłem tam wszystko, czego mógłbym potrzebować podczas leczenia, łatania i stawiania na nogi moich pacjentów, a także zarządzania gabinetem i wypełniania wszelkich innych lekarskich obowiązków; zapasy narzędzi i medykamentów były duże. Gdyby była taka potrzeba, już następnego dnia mogłem rozpocząć pracę. Wdowa tak bardzo chciała zapomnieć o mężu i jego lekarskiej profesji, że gabinet zostawiła nietknięty. I nie mówię tu tylko o pełnej kartotece i promocyjnych opakowaniach lekarstw, ale także o wyposażeniu, w którego skład (oprócz szaf, o których już wspomniałem) wchodziły stojące przy oknie duże biurko z wiśniowego drewna oraz robione na zamówienie regały, wypełnione mnóstwem poradników i encyklopedii lekarskich. Przy drzwiach znalazło się miejsce na wieszak, a na ścianie, w której były drzwi, wisały obrazy.

Nie zapominajmy także o kominku, obudowanym złocistymi ceglami aż po sufit.

Odziedziczyłem nawet mosiężne przybory kominkowe. Wspaniale.

Powiodłem wzrokiem po grzbietach książek i usiadłem w obitym skórą fotelu przy biurku. Próbowałem wyciągnąć szuflady, ale były pozamykane;

pomyślałem, że trzeba poszukać klucza. Z prawej strony, przy kominku, stał barek. Nie był zamknięty: w środku znalazłem trzy szklaneczki i spory wybór alkoholi. Wybrałem brandy, wróciłem do biurka i nalałem sobie drinka. Sącząc trunek, patrzyłem za okno i chłonałem atmosferę wiejskiej rezydencji. Przypomniało mi się, jak marzyłem o liczeniu światełek w letnie noce na tle mrocznego lasu na tyłach domu.

Uśmiechnąłem się. Alkoholowe ciepło roztopiało narastające przez cały dzień napięcie. Może jednak nie będę tęsknił za wielkim miastem...

Upłynęło dziesięć minut. Dopijając brandy, pomyślałem, że to dobry moment, żeby pójść spać. Odstawiłem szklankę na biurko i spojrzałem w mrok. W głębi lasu mignęło złociste światełko. Podszedłem do okna i przysunąłem twarz do szyby, zasłaniając rękoma odbłaski. Światło zgasło. Czyżby pierwszy światełko przyleciał mnie odwiedzić?

Odwróciwszy się od okna, zobaczyłem stojącą w kącie małą lodówkę. Wcześniej jej nie zauważyłem, była wciśnięta w kąt między regałem a jedną z szaf. Podszedłem do niej i pociągnąłem drzwiczki, ale się nie otworzyły. Na biurku znalazłem już wcześniej kluczyki, które – jak zakładałem – pasowały do barku. Teraz włożyłem pierwszy z nich do zamka w lodówce. Cicho szcęknął.

W środku znajdowały się próbki krwi, opisane nazwiskami. W tym, że Farris kolekcjonował krew pacjentów, nie było jeszcze nic niezwykłego, mógł przecież wysyłać próbki do laboratoriów – ale kolekcja była pokaźna. A poza tym dostrzegłem w niej coś naprawdę niezwykłego.

Farris gromadził próbki zakażonej krwi. Opisy na etykietkach brzmiały: *Hantawirus*, *HIV+*, *Malaria*, *Dżuma*. Nie miałem pojęcia, skąd je wziął i do czego można by ich użyć.

Czy to możliwe, żeby pacjenci zgłaszali się do niego z takimi chorobami? HIV – to zrozumiałe. Hantawirus – niewykluczone. Ale

malaria? Dżuma?

Zamknąłem lodówkę na klucz i zanotowałem w pamięci, żeby przy jakiejś okazji poszukać odpowiedzi w pozostawionej przez Farrisa kartotece.

W domu panowała cisza. Zajrzałem do Jessiki; wyglądało na to, że ani ona, ani Page nie poruszyli się nawet, odkąd widziałem ich dwie godziny wcześniej. Poczułem głęboką miłość do mojej córeczki, tak wszechogarniającą, że aż przerażającą. Może sprawiło to nowe otoczenie, w którym widziałem japo raz pierwszy, śpiącą spokojnie, jakby ułożyła się w pierwszym wygodnym miejscu, jakie znalazła po całodziennym tułaczce.

Przeszedłem do sypialni, rozebrałem się i wśliznąłem na swoją połowę łóżka – gołej metalowej ramy z dwoma sprężynowymi materacami i narzuconą na nie matą. Elementy drewnianego stelaża łóżka stały przy ścianie jak widmowe drzewa. Leżałem tak dziesięć minut, czując, jak spływa ze mnie napięcie i słuchając, jak Christine oddycha płytko i czasem zgrzyta zębami. Sen wydawał mi się równie odległy jak moje życie na Manhattanie.

Dźwignąłem się, oparłem na łokciach i wyjrzałem przez okno. Była pełnia. W świetle księżyca widziałem fontannę, szopę na skraju lasu i sam las, który nadal ciągnął się w nieskończoność, mimo że oglądałem go z pewnej wysokości, a nie z poziomu ziemi.

Było zupełnie cicho. Zbyt cicho.

W gąszczu znów błysnęło złote światelko i tak jak za pierwszym razem szybko zgasło.

Pół godziny później, kiedy wciąż nie mogłem zasnąć, coś sobie uświadomiłem – świetliki pojawiają się dopiero w lipcu.

## ROZDZIAŁ 8.

Następne trzy tygodnie – okres przejściowy w naszym życiu – okazały się bardziej pracowite, niż mogliśmy oczekiwać. Gabinet otworzyłem już tydzień po przeprowadzce. Nie miałem wyboru. Nie zamierzałem zaczynać tak szybko, ale gdy tylko podłączyliśmy telefon, dzwonił bez przerwy. Po dwudziestu czterech godzinach miałem automatyczną sekretarkę zapchaną wiadomościami od starych pacjentów doktora Farrisa (czyli moich nowych pacjentów), którzy uparli się, żeby umówić się na kontrolę albo poskarżyć na jakieś dolegliwości.

Po przejrzeniu ich kart i niezobowiązujących rozmowach zdałem sobie sprawę, że chcieli po prostu pierwsi poznać nowego lekarza i zamienić z nim dwa słowa. Tego wymagała małomiasteczkowa etykieta. Kto chce mieć dużo znajomych, musi o nich dbać. A kiedy ja zabawiałem się w burmistrza, Christine objęła władzę w gospodarstwie.

Jessica świetnie się bawiła, odkrywając wszystkie zakamarki i pomagając matce w pracach domowych. Nigdy wcześniej nie przejawiała takiego entuzjazmu. Teraz zaś robiła wszystko, o co się ją poprosiło, pod warunkiem że przy okazji Christine opowiadała jej o czekających ją ekscytujących zabawach w zerówce i zapewniała, że będzie najmądrzejszą dziewczynką w grupie, bo przecież urodziła się i wychowała w wielkim mieście. Nie podobała mi się ta forma przekupstwa – komplementy w zamian za pracę – nawet jeśli spełniała swoją funkcję. Miałem nadzieję, że zanim nastanie wrzesień, Jessica zapomni o matczynych pochwałach i zachwytach.

Jeszcze kilka razy zjadłem lunch z Phillipem i wkrótce potem zostałem oficjalnie przedstawiony Rosy Deighton. Okazało się, że nie pamięta naszego spotkania w sypialni, co nie zmieniło tego, że nadal podejrzewałem jej męża o kierujące nim wówczas ukryte motywy.

Jej widok nadal był trudny do zniesienia (pewnego dnia nawet dołączyła do nas przy lunchu; daruję sobie szczegóły), ale była miłą osobą i starała się nie tracić pogody ducha, mimo że jej najlepsze lata życia minęły.

Zaintrygowany jej obrażeniami (i pewny, że rak nie miał z nimi nic wspólnego), zawzięcie szukałem jej karty w gabinecie Farrisa, ale niczego nie znalazłem. Nie miałem okazji poznać Farrisa osobiście i niewiele wiedziałem na jego temat, kiedy zaczynałem go zastępować w Ashborough. Szybko jednak stwierdziłem, że był pedantem. Kartotekę prowadził perfekcyjnie, posegregowaną według nazwisk i stanu chorych. Czternaścioro mieszkańców Ashborough cierpiało na raka (tylu w każdym razie zwróciło się do niego z prośbą o pomoc); Rosy Deighton się do nich nie zaliczała. Ba, jeśli wierzyć kartotece, w ogóle nie była pacjentką Farrisa.

Nie powiedziałem Phillipowi, że nie ma karty jego żony; uznałem, że o tym akurat nie musi wiedzieć. Ostatnią rzeczą, o jakiej marzyłem, byłaby konieczność znalezienia jej, kiedy patrzy mi na ręce. Skończyło się na tym, że przebadalem Rosy podczas jednego z proszonych lunchów (w tej kwestii również nie miałem wyboru) i przepisałem jej – oprócz środków przeciwbólowych, które już wcześniej przyjmowała – średnio mocny lek uspokajający, który powinien złagodzić związane z kalectwem dolegliwości psychiczne. Na tym właśnie polega różnica między lekarzem starej daty a tym, który stosunkowo niedawno ukończył studia: Farris, człowiek po siedemdziesiątce, z reguły nie przepisywał środków uspokajających i antydepresantów z obawy przed ich działaniem uzależniającym; często



wspominał o tym w kartach pacjentów. Pan doktor z małego miasteczka nie miał pojęcia, że jak Ameryka długa i szeroka ludzie połykają xanax i zolofit garściami jak tik-taki.

Wiedziałem, że mój specyfik rozjaśni Rosy w głowie (jej niespodziewany wybuch w sypialni sklasyfikowałem jako przypadek lunatyzmu i przepisałem jej ambien, żeby nie wstawała za dużo z łóżka), ale było mi żal, że nic więcej nie mogę dla niej zrobić. Była skazana na kalectwo do końca życia i jeśli się z nim nie pogodzi, dożyje swoich dni w pokoju bez klamek.

Kiedy przy innej okazji Christine poznała Rosy, starała się skierować uprzejmą rozmowę na ziołowe herbatki, świece zapachowe i aromaterapię. Okazało się, że pani Deighton ma coś ze zwolenniczki New Age. Moja żona chwyciła się tego i z zapalem rozprawiała o leczniczych właściwościach jaśminu, drewna sandałowego i innych cudownościach. Rosy wspomniała wprawdzie, że uwielbia dzieci, ale Christine uznała, że lepiej będzie nie przedstawiać jej Jessice, a ja przyznałem jej rację. Dla pięcioletniego dziecka Rosy byłaby po prostu monstrum. Dla wielu dorosłych również.

W trzecim tygodniu po przeprowadzce zrobiłem sobie jedno wolne popołudnie, żeby obejrzeć przyszłą szkołę Jessiki i zapisać małą do zerówki. Na widok rozbrykanych starszych dzieci – na pierwszy rzut oka trzecioklasistów – zerknęła na mnie niepewnie, jakby chciała zapytać, czy będzie miała coś do powiedzenia w kwestii chodzenia do szkoły. Nagle okazało się, że wbrew temu, co obiecywała jej Christine, zerówka wcale nie będzie pasmem zabaw i rozrywek.

Spotkaliśmy się z dyrektorem – krągłym, łysym jegomościem nazwiskiem Goodwin Clarke, który w pierwszych słowach poskarżył się na artretyzm i krwotoki wywoływane przez środki przeciwzapalne. Christine z

najwyższym trudem powstrzymała się od parsknięcia śmiechem, ja zaś zakończyłem temat, umawiając Goodwina na sobotę.

W domu Jimmy Page zerknął znacząco na wiszącą w kącie smycz. Podbiegł do wyjścia, spojrzął na mnie, na drzwi, znowu na mnie... Pojąłem aluzję i wyprowadziłem go na spacer, zanim zaczął skomleć. Od początku upodobał sobie ptasią fontannę i zielsko otaczające jej postument uszło.

Praca lekarza rodzinnego na prowincji była spokojna, zupełnie inna niż w Nowym Jorku, gdzie człowiek skakał z gabinetu do gabinetu jak piłka. Spacerowałem po naszej działce, oglądałem trawę, gąszcz chwastów, niekończące się morze drzew. Bez względu na to, ile miałem czasu dla siebie między wizytami pacjentów – czasem kilka minut, kiedy indziej całe pół godziny – zawsze była to dla mnie prawdziwa wyprawa i za każdym razem odkrywałem przy domu coś nowego, jakieś drobiazgi: pochowane w trawie zawory do spryskiwaczy albo rządki krzewów białych róż, posadzone wśród drzew, trzy metry w głąb lasu. W któreś niedzielne popołudnie (już niedługo, obiecywałem sobie w duchu) zamierzałem poświęcić kilka godzin na wyprawę do lasu. Nie pytajcie, co spodziewałem się tam znaleźć, ale po tym, jak większość życia spędziłem na betonowych chodnikach, wizja zbadania leśnego gąszczy wydawała mi się ogromnie kusząca.

Resztę dnia spędziliśmy w typowy dla Cayle'ów sposób: Jessica biegała z Page'em po okolicy, Christine porządkowała nasze rzeczy i przygotowywała kolację, a ja malowałem przedpokój i gabinet na biało, tak jak uznałem, że będzie najlepiej. W którymś momencie Jessica wparowała do gabinetu, aby z dumą pokazać mi świeżo otarte kolano. Posmarowałem skaleczenie bacitracyną, zalepiłem plastrem i mała niezdara wróciła do zabawy.

Po kolacji usiedliśmy w salonie – pierwszy raz na spokojnie, całą rodziną. W dodatku przy wyłączonym telewizorze, co też nie zdarzało się często. Jessica leżała na brzuchu na spiralnie tkanym dywaniku i czytała książeczkę Doktora Seussa. Ja kończyłem przeglądać kartotekę Farrisa i poznawać ostatnie historie choroby mieszkańców Ashborough. W pewnym momencie Christine spojrzała na mnie znacząco. Siedziała na sofie przy oknie z widokiem na frontowe podwórko. Oczy jej się zaszklily. Natychmiast spuściła wzrok, jakby wstydziła się tych łez, ale ja już wiedziałem, co jest grane.

Jezu Chryste, pomyślałem. Chce mieć drugie dziecko, jak nic. I to szybko. Moje wytłumaczenie, że mamy za mało miejsca, straciło sens. Państwo Cayle'owie nie muszą się już gnieździć w ciasnym mieszkaniu. W takim domu można by spokojnie wychować trójkę, czwórkę dzieci. Na jedno będę musiał się zgodzić.

– Michael... – odezwała się w końcu. – Chciałabym z tobą porozmawiać.

Podszedłem do niej i pocałowałem ją, wiedząc, że tym razem będę musiał ulec. Powie, że chce mieć drugie dziecko. A zacznie od tego, że ma trzydzieści cztery lata i się starzeje.

Ja też się starzałem. I też chciałem mieć drugie dziecko. No, w pewnym sensie.

– Poczekajmy, aż Jess pójdzie spać. Wtedy pogadamy.

Uśmiechnęła się i pokiwała głową. Dobrze wiedziała, że wygra tę potyczkę.

Godzinę później Jessica – zupełnie nieświadoma matczynych pragnień – smacznie spała na podłodze. Christine spojrzała na mnie sponad „Better Homes and Gardens”.

– Michael... – Znów miała ten szklisty wzrok. – Jestem coraz starsza. A sam wiesz, że Jessica powinna mieć rodzeństwo.

Zawsze, ale to zawsze zaczynała w ten sposób. W ten sposób próbowała nie wyjść na egoistkę. Coś się jednak zmieniło: odkąd zamieszkaliśmy przy Harlan Road, zaczynałem przyznawać jej rację. Wobec braku dzieci w okolicy – ba, wobec braku jakichkolwiek ludzi! – braciszek albo siostrzyczka rzeczywiście przydaliby się Jessice.

– Połóżmy ją – zaproponowałem. – Wtedy porozmawiamy.

Jak zwykle starałem się odwlec ten moment.

Wziąłem Jessicę na ręce i ruszyłem do jej sypialni. Księżyc malował schody snopami srebrnej poświaty. Kiedy znalazłem się na górze, przypomniała mi się Rosy, a właściwie nie Rosy, którą później poznałem, tylko kobieta, którą pierwszego dnia spotkałem na piętrze u Deightonów. Przypomniałem sobie jej niezrozumiałe słowa o jakichś „onych”, którzy przyjdą po mnie, tak jak po wszystkich w tym przeklętym mieście. Nikomu o tej groźbie nie wspomniałem, ba, sam usilnie starałem się o niej zapomnieć, ale nie dawała mi spokoju – tak jak wspomnienie Rosy, jej zdeformowanej twarzy i żółtych paznokci wystukujących rytm na szybie, kiedy przestrzegała mnie przed bliżej niesprecyzowanym zagrożeniem.

To wspomnienie mnie przerażało.

Stałem na podeście schodów przez minutę, może nawet dłużej, trzymając na rękach Jessicę, tuląc ją mocno, tak jakby w mrocznych zakamarkach naszego domu groziło jej namacalne niebezpieczeństwo. Poruszyła się lekko, a ja poczułem, jak mdląca fala strachu wypala mi dziurę w żołądku. Zamęt, jaki miałem w głowie, potęgował moje lęki.

Tu wydarzyło się coś złego, podszeptowała mi podświadomość. Dręczący mnie strach stawał się nie do zniesienia. Oddychałem ciężko i szybko, serce waliło mi jak szalone. Nogi miałem jak z waty. Czułem mrowienie w dłoniach i stopach, jakby cała krew odpłynęła z nich do mózgu, przyprawiając mnie o zawroty głowy. Ciało ludzkie potrafi bardzo

gwałtownie reagować na domniemane zagrożenie; objawy są równie rzeczywiste, jak gdyby z ciemności wyłonił się prawdziwy napastnik, mierząc do nas z pistoletu. Tu jednak nie było żadnego intruza, żadnego niebezpieczeństwa.

W takim razie czego się tak cholernie boję? Czy to podświadomość próbuje mi coś powiedzieć? A może powinienem zacząć brać leki tak jak moi pacjenci, którzy wychodzą ode mnie, ściskając w spoconych dłoniach receptę na xanax?

Coś huknęło w pokoju Jessiki.

Aż podskoczyłem (tłumacząc sobie, że przesadzam z tymi lękami). Dla uspokojenia próbowałem oddychać wolno i głęboko, wciągać powietrze przez nos i wypuszczać przez usta. Dostałem gęziej skórki – i znów musiałem sobie powtarzać, że nie mam się czego bać.

Takie odgłosy nie są niczym nadzwyczajnym w domu, po którym buszuje cocker–spaniel.

Żadnych „a jeśli to...”; żadnych pytań do roztrzęsionego umysłu, który nigdy nie udziela sensownych odpowiedzi.

Zaniosłem Jessicę do jej pokoju i delikatnie położyłem na łóżku. Chłodny wiatr zawiewał przez drucianą siatkę w oknie, poruszając koronkową firankę. Wydęty materiał wyglądał jak duch uwięziony w okiennej ramie, który próbował zakraść się do domu. Na podłodze obok komody leżała jedna z wielu plastikowych lalek Jessiki; wyglądało na to, że rzucił ją nie wszędobyłski Page, lecz po prostu podmuch wiatru. Główka lalki oderwała się od korpusu i poturlała w głąb pokoju. Szkliste oczy wpatrywały się we mnie bez zmrużenia powiek, jakby się dopominały: Michael, daj żonie drugie dziecko. Potrzebuję nowego towarzysza zabaw.

Podniosłem ją i spróbowałem przymocować jej głowę, ale nic z tego nie wyszło.

Tylko plastikowe powieki poruszały się, gdy nią potrząsałem. Pozostałe lalki siedziały w szeregu na komodzie. W jednym miejscu była luka, przywodząca na myśl dziurę po wyrwanym zębie. Odstawiłem lalkę na miejsce, obok misia, któremu wypadło jedno oko i trzymało się na wywleczonej nitce. Położyłem mu głowę lalki na kolanach. Odsłoniłem okno i wyjrzałem na dwór. Nocą las był ciemny jak ocean. Ogromny. Groźny. Prawdziwy potwór.

Czułem się tak, jakbym stał na krawędzi wszechświata albo podązał za gigantyczną falą przyływu.

To tylko twoja bujna wyobraźnia, Michael. Daj spokój, myślałem.

Zamknąłem okno, z wysiłkiem przełknąłem ślinę i otuliłem Jessicę kocem. Delikatnie przesunąłem palcem po jej czole, odgarnąłem blond loczek i pocałowałem ją na dobranoc.

Zatrzymałem się jeszcze przy drzwiach: nie mogłem nie spojrzeć jeszcze raz na moją śpiącą królową.

Zszedłem na parter porozmawiać z Christine o powiększeniu rodziny państwa Cayle'ów o drugie dziecko.

## ROZDZIAŁ 9.

**W** czwartą niedzielę po przeprowadzce postanowiłem wreszcie włożyć solidne buty i przejść się po lesie. Christine zabrała Jessicę do miasta na lunch, do fryzjera i może na jakieś małe zakupy (w Ashborough był sklep z zabawkami, o którym Jessice musiała podpowiedzieć intuicja), a ja siedziałem na składanym leżaku przed domem, sącząc mrożoną herbatę (przyrządzoną według przepisu Rosy) i napawając się czerwcowym słońcem. Kiedy dopiłem napój, pojawił się Phillip Deighton. Page, który drzemał w cieniu leżaka, szczerknął parę razy, oblizał się i wrócił do snów o smakowitych kościach i krwistych stekach.

– Cześć, Phillip. Siadaj. Leżak może nie jest bardzo nowy, ale czyściutki. Znalazłem go w garażu.

– Wyglądasz, jakbyś się gdzieś wybierał – odparł.

Miał na sobie szorty z licznymi kieszeniami, wysokie buty i koszulę z krótkim rękawem. Spod rozpiętej koszuli jak zwykle wystawał gąszcz włosów.

– Chciałem się trochę rozejrzeć po lesie.

Phillip pokiwał głową.

– No tak. Nie zgubisz się? Tak pytam, bo wiesz, tu można łatwo zabłądzić.

Uśmiechnął się od ucha do ucha. Równie dobrze mógł po prostu spytać wprost, czy może się przyłączyć.

– Nie wiem, jeszcze się tam nie zapuszczałem. W każdym razie nie głębiej niż na dziesięć metrów.

– No to się dobrze składa, że włożyłem porządne buty. W lesie bywa grząsko. A poza tym jest tam coś, co pewnie chciałbyś zobaczyć.

Zanosiło się na to, że nie uniknę jego towarzystwa. Nie żebym miał coś przeciwko temu: odkąd się sprowadziliśmy do Ashborough, Phillip był świetnym kumplem. Na dobrą sprawę stał się moim jedynym przyjacielem.

– Przyda mi się przewodnik – przyznałem.

– Tam, gdzie gąszcz jest mniejszy, jest trochę wydeptanych ścieżek. Najlepiej będzie się ich trzymać. Trzy, cztery razy do roku jakieś dzieciaki się tam gubią i ludzie szeryfa przeczesują cały las. Zresztą nie tylko dzieciaki, dorosłym też się zdarza.

– Jeśli to nie kłopot...

– Żaden kłopot.

– No to chodźmy.

Zabrałem z domu dwie butelki z wodą. Pięć minut później zagłębiliśmy się w las i straciliśmy dom z oczu. Teren się wznosił, weszliśmy na wzgórze i zeszliśmy z drugiej strony jedną ze wspomnianych przez Phillipa ścieżek. Z zainteresowaniem patrzyłem, jak las, zwykle dosyć gęsty, rzednie od czasu do czasu i przechodzi w polany porośnięte wysoką trawą i kolczastymi krzewami. Drzewa jednak cały czas były bardzo blisko, gałęzie wyciągały się w naszą stronę i muskały nas jak delikatne palce, trącane łagodnym wiatrem liście szeptały swoje pieśni. Był to ten szczególny czas w roku, kiedy wiosna ustępuje pola latu, składając na wilgotnej skórze ciepłe pocałunki, które na mojej koszuli odznaczały się ciemnym pasmem potu na piersi, a na koszuli Phillipa – na plecach. Oto skutek obcowania z naturą. Jakie to poetyckie.

Phillip skręcił w lewo. Suche gałązki trzasnęły mu pod stopami.

– Chodź tędy.

– Ale nie oddalajmy się za bardzo od ścieżki. Nie chciałbym zabłądzić.



– Znam tę okolicę, Michael. Trzymaj się mnie i nic się nie bój.

Ziemia była usłana oślizłymi liśćmi i sosnowymi igiełkami, co trochę spowalniało nasz marsz, ale bardzo mi odpowiadało, bo planowałem przecież niespieszny spacer w towarzystwie matki natury – a teraz znalazłem się z nią sam na sam (pomijając trafiające się czasem puszki i butelki o etykietach równie bezbarwnych jak włosy na piersi Phillipa).

Według moich szacunków uszliśmy jakieś pół kilometra, z tego ponad połowę po płaskim terenie. W końcu przystanęliśmy, żeby odsapnąć.

– Powiedziałeś, że chcesz mi coś pokazać – przypomniałem.

– Ano chcę... – Phillip napił się wody, otarł usta i zmienił temat: – Wiesz, gdzie jesteśmy?

– Nie wziąłem kompasu, Phil.

– Tam jest północ. – Wskazał kierunek. – Sześć kilometrów stąd zaczyna się nasze miasteczko. Jeśli pójdziesz stąd na zachód, wylądujesz na czymś podwórku za domem. A na południe... No, tam to tylko las i las, przez dobre sześćdziesiąt kilometrów.

Coś poruszyło się między drzewami, jakieś trzy metry od nas. Przestraszyłem się trochę, ale wyteżyłem wzrok, a kiedy Phillip przykucnął, zrobiłem to samo. Przytknął palec do ust (w których znów trzymał niedopalone cygaro) i wyciągnął rękę przed siebie.

Spojrzałem we wskazanym kierunku: z prawej strony w kępie paproci stała piękna łąka: gładka, orzechowa, z szeroko otwartymi wilgotnymi ślepiami, czujna i ostrożna skubała młoda samosiejka. Marzenie każdego myśliwego. Napawałem się tą częścią bożego tortu stworzenia. Niesamowite.

Jednym skokiem zniknęła nam z oczu.

Phillip stęknął i wstał.

– No, to było coś pięknego...

– To właśnie chciałeś mi pokazać? – spytałem półzartem.

Uśmiechnął się i ruszył dalej.

– Chodź.

Przeszliśmy kolejne mniej więcej pół kilometra. Nogi trochę mnie pobolewały na krótkich podejściach – zapewne na skutek braku kondycji, postanowiłem więc, że posłucham własnych porad i zacznę dbać o formę. Może i nie wyglądałem najgorzej, ale powinienem wrócić do biegania.

Neil Farris biegał codziennie. I jak skończył?

Ścieżka, którą teraz szliśmy, skręcała w dół, wijąc się między wiekowymi sosnami, które po chwili przeredziły się i znaleźliśmy się w gąszczu krzewów. Korzenie sterczały nad ziemię jak macki, jakby chciały nas złapać za nogi. Ziemia zrobiła się grząska, w jednym miejscu wdepnąłem po kostki w błoto, potem jednak ścieżka wspięła się wyżej, sosny odzyskały teren i grunt stwardniał. Gałęzie nad naszymi głowami nie spletały się zbyt gęsto i dawały niewiele cienia w prostopadłych promieniach słońca. Pot perlił mi się na czole. Tętno miałem jak podczas biegu.

– Dokąd idziemy? – zapytałem.

Nagle zdałem sobie sprawę, że Phillip wyprowadził mnie na absolutne pustkowie.

– Już prawie jesteśmy na miejscu – uspokoił mnie.

Nie miałem pojęcia, co to za „miejsce”.

Wspięliśmy się na kolejny pagórek i zeszliśmy w dół na sporą polanę otoczoną porośniętymi bluszczem dębami. Zaniemówiłem. Widok dosłownie zapierał dech w piersi.

Powiedziałem, że polana była „otoczona” dębami – i nie ma w tym cienia przesady, ponieważ drzewa tworzyły idealny okrąg. Zacząłem wręcz podejrzewać, że nie jest wcale tworem naturalnym: doskonały kształt

zdradzał ingerencję człowieka. Była duża, miała dobre dwadzieścia metrów średnicy, a drzewa na jej obrzeżu przywodziły na myśl wartowników na straży. Ale to nie jej regularny kształt był najbardziej niezwykły. Mój wzrok przykuł widok jeszcze bardziej niewiarygodny, jeszcze bardziej... złowieszczy.

Na polanie było pełno kamieni. Nie mam na myśli niniejszych lub większych kamyków, tylko potężne monolity z niezwykłego kamienia, ogromne bloki skalne ustawione w sposób kojarzący się z ołtarzem albo świątynią. Ależ muszą być stare, pomyślałem.

Przypomniało mi się Stonehenge. I Wyspa Wielkanocna. Niektóre stały na sztorc, wznosząc się na trzy metry nad ziemią. Inne wystawały zaledwie na metr ponad poszycie, ale wcale nie wyglądały przez to mniej złowrogo. Jeszcze inne leżały płasko, ale wszystkie zdawały się tworzyć jakiś przemyślany wzór, który byłby zapewne oczywisty dla obserwatora patrzącego z góry. Obejrzenie polany z wysoka byłoby jednak niemożliwe, ponieważ drzewa rosnące wokół niej wyciągały nad nią swoje konary i przesłaniały niebo. W ich cieniu krzewy i mniejsze drzewka zajadle walczyły o każdą odrobinę światła i skutecznie zasłaniały prastarą budowlę.

Jeszcze bardziej niesamowite wrażenie robiła symbioza natury z tym sztucznym tworem. Ziemia wokół kamieni była gęsto zasłana liśćmi i igłami – ale na samych monolitach nie widziałem ani jednego liścia, ani jednej szpileczki. Zupełnie jakby ktoś się nimi opiekował i regularnie omiatał zerodowane powierzchnie. Co oczywiście było niemożliwe.

Im dłużej przyglądałem się głazom, tym bardziej skłaniałem się ku podejrzeniu, że jestem świadkiem niezwykle harmonijnego współdziałania sił natury i jakiejś innej, metafizycznej mocy. Pomysł ten wydał mi się trochę dziwaczny, ale jakoś nie mogłem się pogodzić z myślą, że to

człowiek tak dba o to miejsce. Było zbyt odosobnione. Zbyt straszne. Zbyt idealne.

Zbyt... Długo mógłbym tak wyliczać.

– Nie do wiary... – powiedziałem.

Szedłem od kamienia do kamienia, podziwiając ich gładkie powierzchnie i potężne bloki. Policzyłem je szybko: było ich około trzydziestu. Rany boskie, pomyślałem. Skąd one się tu wzięły? Phillip usiadł na jednym z monolitów i przypalił cygaro.

– Wiedziałem, że ci się tu spodoba.

– To niesamowite!

Przechyliłem głowę, próbując ogarnąć wzrokiem tworzoną przez monolity kompozycję, ale starałem się też nie puszczać zanadto wodzy fantazji. Miejscowi miłośnicy historii z pewnością od lat łamali sobie głowy nad przeznaczeniem tych monolitów.

Jak wspomniałem, były idealnie omiecione (w pewnym momencie zobaczyłem samotny listek, który kołysząc się leniwie, opadał z góry, gdy nagle jak za sprawą magii zmienił tor lotu, wyminął kamień i spadł na ziemię), ale na niektórych dało się rozeznaczyć toporne płaskorzeźby, a na największym, leżącym płasko na samym środku polany, z dala od swoich mniejszych braci, dostrzegłem brunatne plamy, jakby wyjęte z metody Rorschacha.

Krew.

Podszedłem, żeby przyjrzeć się z bliska; miałem nawet ochotę powąchać (to lekarski nawyk), ale się powstrzymałem. Plamy były suche jak sam kamień, ale raczej nie aż tak stare.

Rozsądek sugerował, że ślady krwi (jeśli to faktycznie krew) powinny z biegiem czasu zostać zmyte przez deszcz i wyblaknąć. Skoro tak się nie stało, musiały być świeże. Niepokoiło mnie to.

Wygląda mi to na jakiś pogański ołtarz.

Odwróciłem się do Phillipa, który przez ten czas wstał i wyszedł poza kamienny krąg, za nim snuła się smuga dymu. Ręce mu się trzęsły, twarz miał pooraną głębokimi zmarszczkami. Martwi się o żonę. Na jego miejscu też bym się martwił. Rosy Deighton, wbrew jego powtarzanym stale zapewnieniom, nie padła ofiarą raka. (Nadal nie natrafiłem na jej kartę choroby i zaczynałem godzić się z faktem, że nigdy nie istniała). Intuicja podpowiadała mi, że zaatakował ją pies, może nawet dwa. Albo trzy. Tak jak Neila Farrisa.

I co z tego? – pomyślałem, próbując się uspokoić. Bez względu na przyczyny kalectwo pozostało trwałe, makabryczny ślad w psychice Rosy, z którym będzie się musiała zmagać, póki śmierć jej nie zabierze.

Pokiwałem uspokajająco głową. Phillip mrugnął do mnie i zaciągnął się cygarem.

– Ile to ma lat? – zapytałem. Przez głowę przelatywały mi setki pytań.

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Z tysiąc? Chodź, pokażę ci coś jeszcze.

Podeszliśmy do samotnie stojącego monolitu, ustawionego pod kątem prostym do pozostałych. Palusznik krwawy całymi kępami czepiał się jego podstawy, gałązki bluszczu wiły się po ziemi. Na górnej połowie mierzącego dwa na trzy metry kamienia wyryto podobne do hieroglifów piktogramy, teraz już nieczytelne.

Czy coś podobnego odkryto poza Egiptem?

U dołu dostrzegłem rząd krótkich prostych kresek, jakby przed wiekami ktoś coś tutaj podliczał. Były dzielone na grupki po pięć, więc tym łatwiej je policzyłem. Osiemdziesiąt trzy.

– Ciekawe te nacięcia, co? – spytał Phillip, kiedy przesunąłem po nich palcem. – Czteryście lat temu ludzie składali tu ofiary. Każdy karb to jedno

takie wydarzenie.

– Wydarzenie?

– Ano tak. Jedna ofiara.

– Jaka... ofiara?

Włożył ręce do kieszeni.

– No, jeśli wierzyć legendom... takim lokalnym... Wspominam o tym, bo nikt tak na sto procent nie wie, jak daleko poza Ashborough rozeszły się te opowieści. Stara pani Zellis, ta to umie opowiadać... Oczy by ci na wierzch wyszły, jakbyś jej posłuchał. Zna wszystkie miejscowe legendy, od Ashborough aż po Blacksburgh i jeszcze dalej. Bo widzisz, każde miasteczko ma własną legendę, która się w nim rodzi i zwykle w nim zostaje. Folklor sąsiadów nikogo nie interesuje, nikt też nie lubi opowiadać na prawo i lewo lokalnych historii. Można by powiedzieć, że to taka duma ze swojego miasteczka. Ale mniejsza z tym. Grunt, że kiedyś mieszkali tu tubylcy, ale nie Indianie: zupełnie inny lud, który osiadł tu w odosobnieniu na długo przed tym, jak przyszli biali i zagarnęli kraj dla siebie. To było pustkowie, którego nawet Indianie unikali. Nasi przodkowie, którzy zjawili się w Nowej Anglii, posłuchali ich ostrzeżenia i też się tu nie pchali.

– Jakiego ostrzeżenia?

Phillip się zawahał. Spojrzał mi w oczy.

– Że każdy, kto się tu zapuści, padnie ofiarą dzikich Izolantów.

– Izolantów?

– Tak ich nazwali Indianie. Tych prymitywnych tubylców.

Zapadła cisza. Popijałem wodę, przetrawiając słowa Phillipa. Dzicy Izolanci.

Przeniosłem wzrok na wielką białą płytę upstrzoną brązowymi plamami. Przywodziła na myśl gigantyczne serce w skamieniałej piersi dawno umarłego dinozaura. Znowu uderzyło mnie, że monolity są dziwnie

zadbane i kompletnie nie przypominają zapomnianych ruin sprzed tysiąca lat. To było naprawdę niepokojące.

– Tak, tak... Stara pani Zellis opowiedziałaby to o wiele lepiej, ale ostatnio coraz trudniej ją spotkać. Unika ludzi, nie wychodzi z domu. Kogokolwiek byś o nią zapytał, powie ci, że staruszce już chyba brakuje piątej kleпки, i ja się z tym zgadzam. Ale historię okolicy zna jak nikt inny. Tak w każdym razie ludzie gadają. Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy się poznaliśmy. Opowiedziała mi o Izolantach i o miejscu, w którym składali ofiary. To było trzydzieści dwa lata temu, zaraz po tym, jak sprowadziliśmy się do Ashborough. Miałem dwadzieścia parę lat, a pani Zellis już wtedy była stara.

Phillip postawił stopę na jednym z kamieni i wsparł przedramię na kolanie.

– Sprowadziliśmy się tydzień wcześniej. Była jesień, zimny, naprawdę zimny wieczór. Potrzebowaliśmy drewna do kominka, więc wziąłem siekiere i poszedłem do lasu, żeby narąbać polan. Mogłem pewnie załatwić to szybciej, ale przyjemnie było oddychać rześkim powietrzem, więc szedłem przed siebie i szedłem, aż zapuściłem się w las na jakieś dwieście metrów. I wtedy pojawiła się pani Zellis, znikąd, jakby to były jakieś czary. Słyszałem o niej już wcześniej od ludzi w mieście. Niektórzy mówili o niej dobrze, inni upierali się, że to zła kobieta. Ja jej jeszcze nie spotkałem, więc nie mogłem sobie wyrobić zdania, ale na pierwszy rzut oka poznałem, że musi mieć w zanadrzu niejedną niespodziankę. Szemrana jest. W każdym miasteczku się tacy trafiają; każdy coś tam na ich temat sobie ubzdura, chociaż wcale ich nie zna. Pani Zellis mieszka sama, samiuteńka, nie wychodzi i tylko czasami siada po południu na werandzie. Co się tyczy jej przeszłości... Niewiele wiadomo, ale ludzie gadają, że dawniej mieszkała z matką, starą Cyganką, która jeździła czasem na północ i kupowała wosk na

świece. Podobno po nocy używały tych świec do odprawiania jakichś czarów w piwnicy. Jakbyś tak obejrzał stare drzewa w lesie na tyłach ich domu, to nawet jeszcze dzisiaj zobaczyłbyś wycięte takie znaki jak na tym kamieniu. Podobno matka zmarła, kiedy pani Zellis miała dwanaście lat... He, he, ciekawe, czy wtedy też już była stara. Za domem jest grób, podobno właśnie matkę tam pochowała; widać go z drogi. Ale ludzie nawet dzisiaj nie lubią o niej rozmawiać. Mówią, że wszystko widzi i słyszy, chociaż całymi dniami przesiaduje sama w domu. Gadają też, że ma czarne serce i jak jej kto za skórę zalezie, to ten mrok w jej duszy wżera się człowiekowi w myśli i plugawi chrześcijańską krew.

Phillip umilkł. Czekałem, co jeszcze powie.

– O czym to ja... Ano tak, byłem w lesie. Ściemniało się. Sowy zaczynały pohukiwać, zerwał się wiatr i liście na drzewach wzdychały jak duchy. Obszedłem takie jedno duże drzewo i nagle stanąłem twarzą w twarz z kobietą, która wydała mi się stara jak świat. Miała na sobie czarny płaszcz z kapturem, a w rękach trzymała laskę, chociaż nie przypominam sobie, żebym kiedyś ją widział chodzącą o lasce. Pamiętam, że zahipnotyzowała mnie spojrzeniem swoich okrągłych oczu, brązowych, złoto nakrapianych, jakby lekko świecących w ciemności. Jest niska, najwyżej metr pięćdziesiąt, w dodatku trochę się garbi, więc wydaje się jeszcze niższa. Skórę miała bladą i pobrużdżoną, jakby wiatr ją marszczył. Właściwie brakowało tylko, żeby napłynęła mgła i ją okryła, ale nic takiego się nie wydarzyło.

– Bałeś się?

– Chyba tak. Nie pamiętam dokładnie, co wtedy czułem, chociaż na pewno nie byłem zachwycony tym spotkaniem. Gapiła się na mnie bez słowa, jakby zbierała się na odwagę, żeby wyskoczyć z jakąś zwariowaną niespodzianką. Chciałem się cofnąć, ale nie mogłem się ruszyć. W końcu



zrobiła krok w bok i takim wysokim, piskliwym głosem powiedziała tylko „chodź”.

– Poszedłeś za nią.

– Nie miałem wielkiego wyboru. Czułem się, jakby rzuciła na mnie urok, chociaż pewnie mógłbym jej wtedy zwać. Ale to bez znaczenia, bo tak naprawdę to ja chciałem za nią pójść. Strach mnie obleciał i bardziej bałem się tego, co się wydarzy, jeśli będę się jej stawiać. Przyproceedziła mnie tutaj. Po drodze cały czas mówiła; do dziś pamiętam ten grobowy głos więdźmy. Opowiedziła mi o Izolantach i o tym miejscu, gdzie składali ofiary. Twierdziła, że zabijali je na tym kamieniu, który leży na środku, bo jest największy, a poza tym krew w niego wsiąkała i nie spływała, więc ziemia była nieskażona. Jedli potem to ofiarne mięso, najczęściej jelenia albo łosia. Przez noc polowali, a potem o świcie odprawiali tu ceremonię. Z czasem ich przybywało, aż w końcu zabrali ziemię Indianom. – Phillip zawiesił głos. – A ponieważ rozmnożyli się szybko, zaczęli w końcu polować także na Indian. Łapali ich i składali w ofierze.

– I... zjadali?

– Zimy były surowe, oni nie budowali domów, jedzenia było niewiele... Szybko się zorientowali, że o wiele łatwiej złapać człowieka niż jelenia: stary i schorowany Indianin w sam raz wystarczał na jeden dzień. Nie zapominaj, że to byli dzicy. Robili wszystko, żeby przeżyć. My w ich sytuacji zachowalibyśmy się tak samo. A potem nagle się rozplakałem, bez powodu. Łzy same mi popłynęły po policzkach, a przed oczami stanęła mi wizja tych nieszczęsnych prymitywów, jak przekopują ziemię w poszukiwaniu robaków i gryzoni, które mogliby zjeść. Z powodów, których nadal nie rozumiem, zrobiło mi się żal ludzi, którzy dopuszczali się kanibalizmu i stali się wyrzutkami, ponieważ byli zbyt prymitywni, aby żyć w harmonii z rdzennymi mieszkańcami tych ziem. Boże, miałem wrażenie,

jakbym przez nią znalazł się w transie, w którym czuję rzeczy... jakich normalnie nie powinienem czuć. Zacząłem współczuć łajdakom. Ocierałem łzy, a ona mówiła dalej. Indianie, którzy najwyraźniej nie potrafili obronić się przed swoimi dzikimi, sprytniejszymi kuzynami, musieli poświęcać pobratymców, żeby przetrwać jako rasa. Coraz więcej czasu tracili na polowania, a i tak często chodzili głodni, bo musieli oddawać zwierzynę Izolantom. Dopuszczali się świętokradztwa, bo zamiast chować zmarłych, podrzucali ich wrogowi, tutaj, na ten kamień, i rozpruwali trupom brzuchy, żeby woń krwi zwabiła dzikich. Czasem czekali w pobliżu polany, ukryci w lesie, aż Izolanci upomną się o zdobycz. W ten sposób żegnali się ze swoimi umarłymi.

– Jezu... – mruknąłem. – Ale to tylko bajka, prawda? – spytałem niepewnie. – Gadanie starej baby?

– Legenda – poprawił mnie Phillip.

– Słucham?

– Legenda. Nie żadna bajka.

– A co to za różnica?

– Legendy nie umierają.

Ciarki przebiegły mi po grzbiecie. Dopilem resztkę wody.

– Co to niby ma znaczyć?

– Staruszka nie kłamała. To wszystko wydarzyło się naprawdę, a ona miała zadanie do wykonania. Musiała chronić mieszkańców Ashborough. Byłem nowy, więc należało mnie oświecić. I chronić.

– Przed czym?

Spuścił wzrok, spojrzął w głąb lasu i znów odwrócił się do mnie.

– Przed Izolantami.

– Zaraz, chwileczkę.

Dlaczego ja tego słucham? Phillip robi sobie ze mnie jaja, bo jestem nowy w mieście, tak samo jak ta stara zakpiła z niego trzydzieści lat temu, kiedy się tu sprowadził. O ile w ogóle jakaś pani Zellis istnieje! Albo Deighton mnie wkręca, albo ma nierówno pod sufitem.

– Chyba żartujesz – stwierdziłem.

Miałem ochotę odwrócić się na pięcie i pójść sobie w cholerę, ale stałem jak wrośnięty w ziemię i słuchałem jak...

Jak w transie.

Phillip udał, że mnie nie słyszy i mówił dalej: – Ja patrzę, a ona sięga ręką za kamień i wyciąga stamtąd oposa. Był otępiały, jakby czymś naszprycowany, ale żył, tego jestem pewien, bo niemrawo próbował się wyrywać, a w świetle księżycy ślepa świeciły mu jak dwa reflektorki. Pogłaskała go i położyła na tym kamieniu na środku polany. Przycupnął nieruchomo, jakby z własnej woli godził się wziąć udział w tym barbarzyńskim spektaklu. I powiem ci, Michael, że jeśli coś z tego, co przeżyłem, ma przejść do legendy, to właśnie to wydarzenie, strzęp mojej osobistej historii. Tak jak dawno temu przeszły początki konfliktu między Indianami a Izolantami.

– Ty chyba nie...

Pokiwał głową.

– Właśnie że tak. Nie miałem wyboru. Oczy staruchy świeciły takim nieziemskim złotym światłem; zahipnotyzowała mnie. Nie mogłem się poruszyć, dopóki nie podeszła i nie podała mi noża. Nie pytaj, skąd go wzięła. Po prostu pojawił się w jej ręce znikąd, tak samo jak wcześniej ten błysk w oczach. Kazała mi podejść do kamienia. Zanim zdążyłem zaprotestować, zaczęła dziwnie śpiewać. Chwilę później klęczałem na tym głazie, trzymałem wijącego się oposa za kark i dźgałem go nożem tak długo, aż przestał piszczeć.

– Rany boskie, Phillip...

Słowa nie chciały mi przejść przez gardło. Niedzielny spacer po lesie okazał się znacznie mniej relaksujący, niż sobie wyobrażałem. Nerwy zadrgały mi jak dzwonki alarmowe. Obiecałem sobie w duchu, że wrócę do domu i nie wrócę do lasu, póki będę mieszkał w Ashborough. Nie chciałem być źle rozumiany – nie chodziło wcale o tę historię o Izolantach, starej pani Zellis i kanibalizmie. Przeraził mnie sam Phillip. Facet miał naprawdę źle w głowie.

– Długo klęczałem nad zabitym zwierzakiem – ciągnął. – Aż w końcu zlałem z głazu. Cały czas trzymałem w ręce nóż, martwy opos leżał na kamieniu i tylko starej kobiety nigdzie nie widziałem, jakby w ogóle jej tam nie było. W lesie zrobiło się cicho jak w próżni, jakby po śmierci oposa cały obumarł. Sowy nie pohukiwały, świerszcze przestały cykać. To była cisza absolutna, Michael. Słyszałem tylko własny oddech i przenikliwy syk powietrza ulatującego z podziurawionego ciała oposa. Spuściłem wzroki zobaczyłem krew – wszędzie: na rękach, na koszuli, na spodniach. Spojrzałem na zegarek. Odkąd wyszedłem z domu, minęła ponad godzina. Rosy zamartwiała się już pewnie na śmierć, stała w oknie i gryzła paznokcie; pamiętam, że przyszło mi do głowy, że mogła spanikować i zadzwonić po szeryfa – ale kiedy słaniając się na nogach, wróciłem na podwórko za domem, w środku było ciemno. Wszedłem przez kuchnię i zastałem Rosy śpiącą na sofie przed telewizorem. To też musiała być sprawka starej pani Zellis. Mogłem bez przeszkód przemknąć do łazienki, wziąć prysznic i spakować zakrwawione ciuchy do torby, żeby potem wyrzucić je na śmietnik.

Zerknąłem na plamy krwi na kamieniu.

– Nie powiedziałeś Rosy, prawda?

– Nie, nie powiedziałem. Położyliśmy się do łóżka. W ogóle nie rozmawialiśmy. Rosy po prostu naciągnęła kołdrę na głowę i dalej spała. Ale ja nie mogłem zasnąć. Leżałem z zamkniętymi oczami, chwilami nawet czułem, że przysypiam, ale za każdym razem natychmiast się budziłem. Jakbym miał jeszcze coś do załatwienia.

– To musiała być najdłuższa noc w twoim życiu.

Phillip parsknął śmiechem.

– Mało powiedziane. W końcu wstałem z łóżka i wyjrzałem przez okno. Za domem fruwały światełki. Wydało mi się to dziwne, by był przecież październik, ale przypomniałem sobie oczy starej pani Zellis, jak błyszczały złotym światłem w kulminacyjnych chwilach rytuału. Kiedy znów wyjrzałem na dwór, światełka zniknęły już w lesie. Sześć, może osiem par. Przy świetle księżyca ubrałem się i zszedłem na parter. Przekopałem wszystkie kuchenne szuflady w poszukiwaniu latarki; jak wiesz, wprowadziliśmy się zaledwie przed tygodniem i nie nauczyłem się jeszcze, gdzie co leży. W końcu znalazłem ją w szafce nad zlewem, której drzwiczki oczywiście zaskrzypiały tak, że martwego by to obudziło. Wzdrygnąłem się i nastawiłem uszu. Bałem się, że skrzypnięcie obudzi Rosy, ale w domu było zupełnie cicho. Mogłem mieć problem ze znalezieniem latarki, ale dobrze wiedziałem, gdzie trzymamy alkohol, więc przed wyjściem golnąłem sobie kielicha. Nic tak nie uspokaja jak kropelka czegoś mocniejszego, ale tym razem nie podziałało: dwa łyki bourbona, a ja dalej byłem śmiertelnie przerażony. Skończyło się na tym, że zabrałem ze sobą całą butelkę. Szedłem tak i szedłem bez końca, chyba z pół nocy. Nie miałem pojęcia, dokąd właściwie idę, na pewno czasem zbaczałem ze ścieżki, aż w końcu zobaczyłem te złote światełka. Świeciły w ciemności, jakby mnie wołały. Poszedłem za nimi w głąb lasu.

Druga wzmianka Phillipa o światełkach przypomniała mi, że ja również je widziałem, i to więcej niż raz, przed kilkoma tygodniami: najpierw siedząc przy biurku, a potem w nocy, z okna sypialni. Uznałem, że to świetliki i o nich zapomniałem.

Jezu... Serce podeszło mi do gardła. Nie chciałem dłużej słuchać historii Phillipa, nagle stała się zbyt znacząca i przerażająca. Czy to może być prawda?

– Szedłem przez las, popijałem bourbona, trochę się naprułem. Parę razy się przewróciłem; te wystające korzenie nawet za dnia trudno czasem zobaczyć, a co dopiero po północy. W końcu dotarłem do kamiennego kręgu. Było całkiem cicho. Poświeciłem latarką, z początku niczego nie zauważyłem, ale jedno ci powiem. Ten las w nocy to najbardziej przerażające miejsce na świecie. Nie chciałbyś się tu znaleźć. Za dnia wygląda inaczej: piękne widoczki, miłe zwierzątka... A w nocy? Sowy pohukują, ptaki jazgoczą, ale tak dziwnie, strasznie, zupełnie inaczej niż w ciągu dnia. Poza tym wszędzie szwendają się zwierzęta, szeleszcząc w zaroślach, i człowiek co pięć sekund aż podskakuje. Nawet pełnia księżyca i bezchmurne niebo niewiele pomagają, tu i tak się robi ciemno jak pod ziemią. A robactwo? No, jak się zrobi ciemno, lepko, wilgotno, to wszystko co żywe wyłazi, żeby się zabawić. I potem śmigają ci koło uszu jak małe helikopterki. Poświeciłem na ten kamień pośrodku, gdzie zabiłem oposa, patrzę, a on dalej tam leży. Chyba się spodziewałem, że zniknie, i to nawet nie że zabierze go jakiś Izolant, ale sowa porwie czy coś... Podeszedłem bliżej. Wokół truchła kłębiły się roje robactwa, i jeszcze ten zapach... Paskudny, jakby smród gnijących jarzyn. Pociągnąłem z flaszki, snop światła przesunął się w bok i zobaczyłem oczy.

– Oczy oposa? – domyśliłem się.

Przysiadłem na leżącym monolicie. Doszedłem do wniosku, że próby zakończenia tej rozmowy mijają się z celem. Phillip najwyraźniej był zdeterminowany, żeby doprowadzić ją do końca, a mnie, prawdę powiedziawszy, złote światełka zaintrygowały do tego stopnia, że chciałem się dowiedzieć, czy to, co widziałem (albo wydawało mi się, że widziałem), było czymś więcej niż zwykłymi świetlikami.

Świetliki w maju? Michael...

– Chciałbym, żeby tak było. – Phillip wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Ale nie: to były oczy żywej istoty. I świeciły złoto jak żółte światło na skrzyżowaniu.

– Stara pani Zellis?

Pokręcił głową.

– Nie. To były oczy Izolanta.

Uśmiechnąłem się – po trochu z niedowierzaniem, po trochu z niepokojem. Nie chciałem mu wierzyć, ale jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mi, że powinienem. Obiecałem sobie drinka po powrocie do domu. Może nawet bourbona, byłby w tej sytuacji bardzo stosowny.

– Podkraść się do głazu z drugiej strony. Na początku zobaczyłem tylko rękę: długie, spiczaste palce złapały oposa jak lalkę. Potem mignął mi łeb. Uśmiechnął się do mnie; oczy błysnęły mu w mroku jak dwie złote lampy. Miałem wrażenie, że wiedział o mojej obecności i wyczekiwał najlepszego momentu, kiedy mi się pokaże i tak mnie nastraszy, że zsikam się w spodnie. Co też zresztą zrobiłem, ale zauważyłem to dopiero po godzinie. Kiedy udało mi się oderwać wzrok od tych makabrycznych świecących ślepi, zobaczyłem resztę twarzy. Też wyglądała strasznie. Przypominała twarz starego mężczyzny: zbrązowiała i pomarszczona jak zmięta papierowa torba, którą ktoś próbował trochę wygładzić. Czoło i policzki miał umazane sokiem z nadpsutych jeżyn, w ręce trzymał zaostrowany

kawałek łupku. Wycelował go we mnie i dźgnął powietrze, jakby ostrzegając: „Podejź do mojego jedzenia, a cię oskalpuję, skurwysynu jeden”. Oczywiście ani drgnąłem. Ze strachu nawet trochę otrzeźwiałem i spałem się, gotowy uciekać na pierwszą oznakę zagrożenia. Wlazł na kamień i, nie spuszczać mnie z oka, sięgnął po zdobycz. Pierwsze, na co zwróciłem uwagę, to to, że nosił ubranie, choć bardzo prymitywne: w pasie owinał się jakimiś łachmanami. Tułów, ręce i nogi miał chuderlawe i porośnięte szorstką sierścią, skórę grubą, stwardniałą i pokrytą brodawkami. Znajdował się na tyle blisko, że czułem jego woń: wstrętny odór brudu i rozkładu. Coś strasznego, mówię ci. Nadział oposa na ten łupkowy szpikulec i wyszczerzył zęby, duże, brązowe. A potem... Potem się zaśmiał. Michael, ten stwór zaśmiał się ze mnie, zarechotał gulgoczące To nie był przypadek.

Wzdrygnąłem się, gdy ta scena stanęła mi przed oczami. Bardzo starałem się nie wierzyć Phillipowi.

– Stanął na tylnych łapach i podniósł oposa nad głowę, jakby chciał się nim bawić. Miał nie więcej niż metr trzydzieści od czubka głowy do końców palców u nóg. A później jak błyskawica zeskoczył z kamienia, aż mnie przeraził, i uciekł w las. Pędził jak spłoszona wiewiórka.

Przyszło mi do głowy, że może z Phillipem jest po prostu coś nie w porządku. Zgoda, ani przez chwilę nie wątpiłem, że przed laty naprawdę coś mu się tu przytrafiło. Sam przecież widziałem złote światełka, a kiedy patrzyłem mu w oczy, widziałem w nich autentyczny smutek. On naprawdę wierzył, że tak było. Gdybym jednak ja również uwierzył w jego historię... Nie, musiałbym zwariować. Wolałem wmówić sobie, że padł ofiarą wyjątkowo realistycznego snu na jawie, lunatykował albo nawet miał halucynacje po ziołowych herbatkach Rosy.



– Nie pamiętam, jak wróciłem do domu, ale jakoś mi się udało. Chyba urwał mi się film, może przez alkohol, ale ja raczej podejrzewam czary tej staruchy. W każdym razie obudziłem się rano w łóżku, w ubraniu i w butach. Rosy tygodniami łajała mnie jeszcze za błoto, którego naniosłem do domu.

– Ale o niczym się nie dowiedziała?

– Nie. – Pokręcił głową. – Nigdy jej nie powiedziałem. Taka była umowa. Stara pani Zellis kazała mi zachować ceremonię w tajemnicy przed rodziną, żeby Izolanci nie zrobili im krzywdy.

– Jak w tej indiańskiej legendzie...

– Właśnie. Jak w tej legendzie.

Nagle uświadomiłem sobie, co przed chwilą powiedział.

– Zaczekaj... Powiedziała „im”? I „w tajemnicy przed rodziną”.

Chodziło jej o Rosy czy...

Phillip pokiwał głową. Łzy napłynęły mu do oczu.

– Pewnie się zastanawiasz, po co cię przyprowadziłem, Michael?

– Zastanawiałem się, ale teraz... zaczynam rozumieć.

– Michael... Cholernie trudno mi o tym mówić. Przez te wszystkie lata nie puściłem pary z ust. Możesz zapytać o tę sprawę kogo chcesz w miasteczku. Potraktują cię jak czubka, jak starą panią Zellis, ale uwierz mi: będą cię doskonale rozumieli. O niektórych sprawach lepiej po prostu nie mówić. To jedna z nich.

– To dlaczego mi powiedziałaś?

– Z tego samego powodu, dla którego stara pani Zellis powiedziała mnie.

– Dla mojego bezpieczeństwa? – spytałem z udawanym niedowierzaniem.

– Jesteś teraz mieszkańcem Ashborough. Twoi nowi władcy mieszkają tutaj, w tym lesie, Michael. Radzę ci, bądź posłuszny ich prawom.

– To jakiś obłąd...

– Bynajmniej.

Phillip pokręcił głową. Wyjął z kieszeni nowe cygaro i wsunął je do ust. Ręce mu się trzęsły.

Parsknąłem śmiechem, nie mogłem się opanować.

– Rany, Phil... Bałem się, że wyciągniesz z kieszeni zdechłego oposa!

Uśmiechnął się szeroko. Wydawało mi się, że zaraz roześmieje się serdecznie i zacznie ze mnie kpić, jak udało mu się mnie wkłócić, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Zwierzę musi być żywe, Michael – powiedział. – Żeby można je było złożyć w ofierze.

Dotknął twarzy, jakby poczuł nagły ból. Cygaro wypadło mu spomiędzy warg.

Niepokój natychmiast wziął we mnie górę nad paranoją. Doskoczyłem do niego.

– Co się stało? Phil, nic ci nie jest?

Opuścił ręce. Twarz miał mokrą od łez.

– Nie posłuchałem jej, Michael – wychrypiał. – Nie posłuchałem. To był błąd.

– Kogo...?

– Starej pani Zellis. – Ledwie dawało się go zrozumieć. – To miejsce... Wydało mi się tak wyjątkowe, że nie potrafiłem zachować jego istnienia w tajemnicy. Dręczyło mnie całymi tygodniami, całymi latami, dniem na jawie i nocą we śnie. Nie było przed nim ucieczki. Czepiało się mnie, chwytalo, aż wrosło we mnie na dobre... jak nieuleczalny wirus. – Usiadł i rozszlochał się na dobre. Wyglądał teraz jak schorowany staruszek, który

czeka już tylko na to, aż przyjdzie Kostucha i pogrzebie go w ziemi. – Przepraszam, Michael... Tak mi przykro, że ci to zrobiłem, ale... nie miałem wyboru. To mój obowiązek. Wiem, w tej chwili nie bardzo wiesz, o czym mówię, ale z czasem zrozumiesz.

– Chyba już rozumiem... – skłamałem.

Nie umiałbym wyrazić słowami przerażających wizji przebiegających mi wtedy przez głowę. Nie znałem też sposobu na to, by ulżyć Philowi w cierpieniu. Musiałem jednak coś powiedzieć i nie były to słowa, które zmniejszałyby mój strach: – Powiedziałeś komuś jeszcze, prawda? O tamtej nocy, o Izolantach... Mam rację?

Lekko skinął głową.

– Nigdy nie wspominałeś o córce, Phil. Nie zająknąłeś się ani słowem. Ale w ten dzień, kiedy się sprowadziliśmy i poszedłem u was na piętro, żeby opatrzyć skaleczenie, widziałem w sypialni jej zdjęcie.

Nadal milczał i szlochał, chociaż trochę się już uspokoił.

– Jeżeli mam ci uwierzyć, a muszę przyznać, że nie przychodzi mi to łatwo, to... Chcesz powiedzieć, że Izolanci zabili ci córkę?

Pokiwał głową.

– I skrzywdzili Rosy?

– To nie rak.

– Domyśliłem się, jestem lekarzem... – Zawiesiłem głos. – I jako lekarz stwierdzam, że powinieneś poszukać fachowej pomocy. Przyda ci się, jeśli masz sobie poradzić z traumą, jaką była strata dziecka. Wydaje mi się, że masz zespół stresu pourazowego.

– Nie wierzysz mi, prawda?

Zacząłem się irytować. Sapałem głośno. Rozmowa, która zaczęła się całkiem rozsądnie, przerodziła się nagle w szarpiącą nerwy wymianę zdań. Panowie Phillip i Michael byli zmęczeni i mieli dosyć tej dyskusji.

Nie mogłem powiedzieć mu prawdy. Szczerze mówiąc, sam już nie wiedziałem, w co wierzę. Zaproponowałem, żebyśmy wrócili do domu. Nie rozmawialiśmy. Myśli kłębiły mi się w głowie. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że to przedstawienie – wizyta w kręgu dębów, opowieść Phillipa o Izolantach i starej pani Zellis – było przećwiczone, wyreżyserowane, za bardzo poukładane jak na zwykły przypadek. Powtarzałem sobie, że choć natura jest niezgłębiona, nie jest aż tak chaotyczna, aby mógł to być zbieg okoliczności.

Na podwórku ostatni raz obejrzałem się przez ramię. Dopiero dużo później, już leżąc w łóżku, mogłem szczerze odpowiedzieć Phillipowi.

Nie, Phil, pomyślałem. Nie wierzę ci. Ani trochę.

## ROZDZIAŁ 10.

Następnego dnia udawałem, że tej rozmowy nie było. Powiedziałem Christine, że byłem na spacerze w lesie i przez dwie godziny kręciłem się bez celu. Nie wspomniałem o Phillipie, kamiennym kręgu ani – tym bardziej – dziwnych legendach związanych z Ashborough. Tylko w ten sposób mogłem dochować tajemnicy. Zresztą dzięki temu utwierdzałem się w przekonaniu, że ta historia jest po prostu bujną, w którą wierzą tylko najstarsi mieszkańcy miasteczka.

Miałem sporo pacjentów, co pozwoliło mi zapomnieć o niedzielnych wydarzeniach.

Przez mój gabinet przewinęło się siedemnaście osób uskarżających się na drobne dolegliwości fizyczne i psychiczne. Koncentrując się na nich, mogłem nie myśleć o niczym innym. Przynajmniej dopóki nie przyszła Jessica.

Tak jak to miałem już w zwyczaju, na koniec dnia siedziałem przy biurku, przeglądałem wypełnione w ciągu dnia karty i oddzwaniałem do ludzi, którzy próbowali się ze mną skontaktować, kiedy byłem zajęty. Christine nie wciągnęła się jeszcze w obowiązki sekretarki, zbyt wiele czasu i energii pochłaniały jej zwykle codzienne zajęcia. Zaczynałem rozumieć, że urządzanie i prowadzenie domu są jak praca na pełny etat, zwłaszcza kiedy dochodzi do tego opieka nad dzieckiem. Dopiero kiedy mała pójdzie do szkoły, miała znaleźć czas na prowadzenie sekretariatu, gdzie najbardziej jej potrzebowałem.

Odwróciłem się, słysząc za plecami kroki Jessiki. Szła powoli, jakby czymś zmartwiona. Odłożyłem trzymaną w rękach teczkę na biurko – i przez moment stanęła mi przed oczami wizja emerytury na Florydzie, z dorosłymi dziećmi, mieszkającymi gdzieś daleko i zajętymi własnymi sprawami. Ciszę mącił tylko dobiegający z lasu świergot pierwszej tego wieczoru cykady.

– Cześć, maleńka. Co porabiasz?

– Szukam... Page'a – powiedziała.

Po jej minie poznałem, że kłamie: spuściła niepewnie wzrok, górna warga jej drżała.

Oparła się o biurko. Była w koszulce i spodniach z dzianiny, które zdawały się mówić: „Może i jestem mała, ale umiem owinąć sobie tatusia wokół palca”. Pachniała lawendą; musiała dosłownie przed chwilą wyjść z kąpieli.

– A ty co robisz? – zapytała.

– Kończę pracę – odparłem i nagle poczułem, że muszę się napić. Uszczknąć odrobinę z zapasów Neila Farrisa.

– Ojej. To nudne.

– W pewnym sensie... Ale przynajmniej mamy z czego żyć.

Podążający tropem lawendy Jimmy Page trafił do gabinetu. Pokręcił mi się chwilę pod nogami, zwinął w kłębek pod biurkiem i ułożył do snu. Jessica cofnęła się przed nim gwałtownie, w pośpiechu, jakby odstręczał ją czymś albo nawet przerażał. Wydało mi się to dziwne, bo przecież była w psiaku zakochana. Podeszła do regału, przesunęła kciukiem po grzbiecie medycznych periodyków, jakby naprawdę umiała odczytać ich tytuły, i zapytała: – Tatusiu? A duchy istnieją?

Ledwie to usłyszałem, zrozumiałem, że czekają mnie długie godziny pocieszania i wyjaśniania. Usłyszała gdzieś o duchach (niech diabli wezmą

telewizyjne talk-show! Postanowiłem przy najbliższej okazji porozmawiać o tym z Christine) i stale o tym myślała.

– Oczywiście, że nie, kotku. Gdzieś ty słyszała o duchach?

– W Scooby Doo – wyjaśniła rzeczowo.

Dziękujemy państwu pięknie.

Chciało mi się śmiać. Szlag trafił moją teorię złych mass mediów.

– Scooby Doo... To ten pies z kreskówki?

Pokiwała głową – a potem powiedziała coś, co prawie zważyło mnie z nóg: – Scooby zawsze umie zwęszyć duchy, zanim się pojawią. Page też. Wyczuwa duchy w nocy w moim pokoju.

Dostałem gęziej skórki, słysząc te słowa z ust mojego dziecka. Nie chodziło nawet o to, że w ten sposób wyrażała – powszechny przecież u dzieci – lęk przed ciemnością. Znacznie bardziej niepokoił mnie fakt, że to jej pies miał wyczuwać czające się w jej sypialni potwory.

– Posłuchaj, skarbie. Page nie może wyczuwać duchów, ponieważ, jak mówiłem, duchów nie ma. Nie istnieją. To znaczy istnieją, ale tylko w kreskówkach i filmach, a nie w sypialniach małych dziewczynek i innych prawdziwych miejscach.

– No dobrze... Może Page'owi się pomyliło.

Umilkła, a ja z uśmiechem podziwiałem jej naiwność. Poniosła ją wyobraźnia. Stres wywołany przeprowadzką dał w końcu znać o sobie i solidnie wytarł jej nerwy.

– Szczeka w nocy? – spytałem. – Budzi cię?

Nie słyszałem, żeby Page ujadła po nocach, przyszło mi więc do głowy, że może po prostu jej się to przyśniło. Dopóki nie odpowiedziała: – Szczeka. Przy oknie. Na te światełka.

– Na... światełka?

W pokoju rozległ się szelest: to Page wiercił się przez sen. Strach zatętnił mi w żyłach, a muśnięcie ogona na odsłoniętych kostkach spotęgowało moją reakcję. Te trzy słowa – „Na te światełka” – które wypowiedziało dziecko, uosabiały najczystsza grozę. Znów musiałem stawić jej czoło.

Jessica się rozplakała, czym przypomniała mi Phillipa Deightona.

– Ja się ich boję! To duchy! Page na nie warczy!

Przytuliłem ją. Czułem, jak jej łzy wsiąkają mi w koszulę. Christine musiała coś usłyszeć, bo właśnie stała w progu, oparta o drzwi, ze zdumioną miną. Kołysałem delikatnie Jessicę, wiedząc, że na razie nie ma mowy, abym ukoił jej lęk; chwilowo był nie do pokonania. Uświadomiłem sobie nagle, że wszyscy ludzie – i dzieci, i dorośli – mają cudowny, chociaż wielce szkodliwy talent do przekształcania wszystkiego co nieznanego w jednoznaczne odpowiedzi, które, niestety, bywają ponure i odpychające. Duchy w lesie? Doskonałe (dla dziecka) wyjaśnienie tajemnicy robaczek świętojańskich i nerwowej reakcji psa.

A Izolanci, Michael? Może te światełka to zdeformowani niby–ludzie, którzy czekają, aż nowe dziecko złoży im ofiarę? Trudno by się było dziwić Page’owi, że się wścieka.

Jessica odsunęła się ode mnie, popłakując. Z tymi wielkimi, wilgotnymi oczami wyglądała wprost prześlicznie. Emanujące z niej wahanie skutecznie zacierało dręczące mnie czarne myśli: Izolanci? Nie chrzań. Sam pomysł, że coś takiego mogłoby istnieć, jest niedorzeczny. Wioskowe bujdy. Nie, zaraz... Nie bujdy, tylko legendy. Phillip tak powiedział.

Ponoć w każdej legendzie jest ziarnko prawdy. A moja córka właśnie próbowała nadać legendzie materialne kształty.

– Jess... – powiedziałem. – To nie duchy, tylko świetliki, takie małe świecące robaczki, które widać tylko nocą. W mieście ich nie ma, ale na



wsi są ich tysiące. Page też ich nigdy nie widział, więc nic dziwnego, że jest trochę rozdrażniony.

Miałem ochotę kopnąć się w tyłek za wymyślenie tej bajeczki. Nie miałem przecież pewności, że te światełka to naprawdę robaczki świętojańskie, a obiecałem sobie kiedyś, że jako ojciec nie będę okłamywał dziecka. A tu proszę: tak bardzo chciałem odwołać się do zdrowego rozsądku Jessiki, że postanowiłem wymyślić wytłumaczenie dla złotych światełek w lesie – światełek, które widziałem już przed miesiącem, kiedy się wprowadziliśmy. Tych samych światełek, o których nasz sąsiad twierdził, że są oczami prastarej rasy mieszkańców lasu, zwanych Izolantami. Tych samych światełek, które moja córka uważała za duchy z filmów o Scooby Doo.

– Świetliki? – powtórzyła z ulgą.

Pociągnęła nosem.

Przytaknąłem, przytuliłem ją i czekałem, aż przestanie płakać. Zerknąłem na Christine, która – nieznająca historii Phillipa i nieświadoma istnienia złotych światełek – uśmiechała się do mnie niewinnie i czule. Oczy jej błyszczały. Widziałem w nich nieme błaganie o kolejne dziecko, którego lęki też pewnego dnia będziemy mogli wspólnie rozwiewać.

Ja też się uśmiechnąłem i wyjrzałem przez okno. Niczego nie zobaczyłem, czułem jednak, że coś może czaić się w ciemności. I nas obserwować.

# ROZDZIAŁ 11.

**G**odzinę i dwie bajki później Jessica spała już w swoim łóżku, Page chrapał obok niej, a Christine parzyła w kuchni bezkofeinową kawę. Wyjęła z szafki dwa kubki i uśmiechnęła się do mnie słabo.

– Nasza córeczka jest troszkę nerwowa... Chyba po tatusiu – stwierdziła oschle, jakbym ja wystraszył Jessicę.

Udałem, że nie słyszałem złośliwej uwagi.

– Rozumiem, że wiesz mniej więcej, o czym rozmawialiśmy?

– Owszem. Większość słyszałam. Coś ci powiem. – Zniżyła konspiracyjnie głos. – Ja też słyszałam, jak Page warczał. Wczoraj w nocy.

– Poważnie? – Uśmiechnąłem się, na wpół rozbawiony, na wpół zdenerwowany.

– Poważnie. Obudził mnie. Zdziwiłam się, że tak się awanturuje po nocy. Usłyszałam, że Jess wierci się w łóżku, chciałam nawet wstać i do niej zajrzeć, ale zaraz znowu zasnęłam.

– Wygląda na to, że Jess boi się duchów, które, jak twierdzi, są u niej w pokoju. Kiedy ją zapytałam, skąd jej przychodzą do głowy takie niemądre pomysły, powiedziała, że z filmu o Scooby Doo. Nie uważasz, że to bez sensu? Żeby dziecko bało się kreskówek?

– To są objawy stresu – stwierdziła Christine. – Bardzo przeżyła przeprowadzkę na wieś. Mieszkamy tu od miesiąca, a ona nie ma nowych kolegów ani koleżanek. W dodatku od września idzie do zerówki. Sporo jak na pięciolatkę, nie sądzisz?

– Nie musisz mi tego mówić. Ja to wiem.

– No to pomóż jakoś swojej córce.

Proszę bardzo. Znowu jest moją córką.

– Dzisiaj chyba dobrze mi poszło. Udało mi się ją uspokoić.

Christine pokiwała głową, nie patrząc na mnie, co oznaczało, że jej zdaniem poszło mi co najwyżej przeciętnie. Nie zamierzała mnie za to pochwalić.

– Nie chcę, żebyś zabierał ją do lasu – zastrzegła, kiedy w milczeniu naląła kawy nam obojgu. – Tam są dzikie zwierzęta, insekty, trujący bluszcz i diabli wiedzą co jeszcze. Wyprawy do lasu są niebezpieczne.

Wzdrygnąłem się. Przyszło mi do głowy, że Christine mogła usłyszeć od Rosy tę samą legendę, którą mnie opowiedział Phillip. Wyjrzała przez kuchenne okno w stronę lasu.

– Chris, nigdy nie byłem z nią na spacerze w le...

– Nie mówię, że byłeś. Po prostu proszę cię, żebyś tego nie robił. Nie wiadomo, czy ten pies, który pogryzł doktora Farrisa, dalej nie włóczy się w okolicy.

Ależ oczywiście, odpowiedział mi wewnętrzny głos. Tylko że to nie jest zwykły agresywny kundel.

Zdrowy rozsądek nie chciał się jednak z tym głosem zgodzić.

– Nie martw się, nie będziemy chodzić do lasu – obiecałem.

Są takie chwile w małżeństwie, kiedy nie wiadomo, w co właściwie małżonek pogrywa, choćby znało się go jak zły szeląg. Christine postanowiła właśnie zmienić strategię i zamiast rzucać mi łatwe piłki, zaczęła puszczać zdradzieckie bomby prosto w moją głowę.

Nie pozostawiała mi miejsca na błąd, jeśli nie chciałem wyjść z tego starcia z wielkim siniakiem wstydu na gębie – a takie rany nigdy się nie goją.

– Nie podoba mi się ten las – podkreśliła. I zaczęła płakać.

– Co się dzieje, Christine?

Ogarnęło mnie uczucie *déjà vu*, tyle że z solidną dawką realizmu. Godzinę wcześniej pocieszałem płaczącą córeczkę, a teraz szlochała żona. Dwa doły w jedną noc. Nie ma to jak być ojcem rodziny.

Pokręciła głową i spojrzała na mnie mokrymi od łez oczami. Z kieszeni wyjęła test ciążowy.

– Jestem w ciąży.

Spochmurniałem – nie dlatego, że byłem z tego powodu nieszczęśliwy, ale dlatego, że nie odczytałem oznak ciąży: tygodnie zachowań obsesyjno-kompulsywnych połączone z nagłymi wybuchami płaczu. Miałem wszystko podane jak na tacy, a mimo to ja, Michael Cayle, lekarz, który kosi sporą kasę właśnie za dostrzeganie takich symptomów, przegapiłem je.

Wziąłem test do ręki. Wynik był pozytywny.

– Christine... To cudowna wiadomość.

Starłem się uśmiechnąć najczulej jak potrafię, mimo że byłem trochę zdezorientowany.

– Zależy, jak na to spojrzeć – odparła z irytacją.

– Nie rozumiem...

Wybuchnęła płaczem.

– Nawet się nie staraliśmy. Wiem, że o tym rozmawialiśmy, ale sam pomyśl, ile razy odkąd tu mieszkamy, kochaliśmy się? Trzy? Cztery? Jak mogłam zajść w ciążę?

– Nie trzeba lekarza, żeby to wyjaśnić. Metody zabezpieczenia przed ciążą są zawodne.

– To żadne wyjaśnienie! – Zaczęła walić pięściami w kuchenny blat. – Minęło pięć miesięcy, zanim zaszłam w ciążę z Jessicą, odkąd zdecydowaliśmy się na dziecko. Teraz, Michael, kochaliśmy się tylko kilka razy, a ty używałeś gumek, do cholery!

Pokiwałem głową. Miała rację.

– Jak to się stało, Michael? Jak?

– Nie wiem... Może prezerwatywa pękła. Co za różnica? Znowu będziemy rodzicami.

Przecież tego właśnie chciałaś, prawda?

Chciałem położyć jej uspokajająco dłoń na ramieniu, ale cofnęła się gwałtownie.

– Nieważne – burknęła pogardliwie i ukryła twarz w dłoniach. – Ty tego nie zrozumiesz.

Pomału przestawała szlochać, zupełnie jak Jessica.

– Jestem lekarzem, więc rozumiem. Rozumiem nie tylko to, jak zmienia się twoje ciało, ale i to, co dzieje się w twojej głowie. W każdym razie teraz już rozumiem.

Zrobiłem wypróbowaną zranioną minę: przymrużone oczy, zmarszczone brwi...

Nawet na mnie nie spojrzała.

– Nie próbuj mnie ugłaskać. Twoje ciało nie zmienia się tak jak moje...

Z impetem odstawiła kubek, kawa chlapnęła na blat. Christine usiadła przy stole, popłakując.

– Chris...

– Nie chcę już o tym rozmawiać.

Teraz ja się wkurzyłem. Pieprzyć zmiany. Właśnie odłożyła kij i wybrała jakąś nową, zupełnie inną grę. Dla wariatów. Jak rollerball. Musiałem się bronić.

– Ta „rozmowa” była raczej monologiem. Może teraz ja coś powiem.

Zdałem sobie sprawę, że nadal trzymam w ręce test ciążowy. Wycelowałem go w nią, uświadamiając sobie jednocześnie, że muszę być ostrożny.

Bez kija ciężowego nie podchodź.

– Mamy już śliczną, bystrą, grzeczną córeczkę. Teraz będziemy mieli drugie dziecko. Na Boga, Christine, rozmawialiśmy przed paroma tygodniami o tym, że się starzejesz i że czas postarać się o drugie dziecko. To błogosławieństwo.

Tym razem to ja wyrznięłem w blat testem ciężowym.

– Idź do diabła, Michael! – krzyknęła.

Cofnąłem się. Potrąciłem kubek, który spadł i się stłukł. Kawa bryznęła na wszystkie strony.

– Psiakrew... – mruknąłem bez przekonania, nie patrząc Christine w oczy.

Uklęknałem i zacząłem zbierać skorupy. Przez sześć lat małżeństwa nigdy tak na mnie nie wrzeszczała. A ja przecież nie zrobiłem nic złego. Chyba.

Z piętra dobiegł płacz Jessiki, a chwilę później także ujadanie Page'a.

– Pięknie, kurwa, pięknie – mruknęła Christine. – Zaraz obudzi pół okolicy.

Zerwała się od stołu i ruszyła na górę. Złapałem ją za ramię. Spojrzeliśmy sobie w oczy: moje pałały złością, jej płonęły cierpieniem – psychicznym, fizycznym, hormonalnym.

Piękna kombinacja.

– Co w ciebie wstąpiło? – zapytałem, chociaż nie zamierzała mnie słuchać. – I dlaczego przeklinasz? Zamierzasz tak mówić przy Jessice? Na pewno będzie potrzebowała pomocy psychologa. Prawdziwego psychologa, nie konowała takiego jak ja, który umie tylko nalepić plaster i wytrzeć nos.

Wyrwała mi się.

– Nie dotykaj mnie – prychnęła.

Oprócz złości dostrzegłem w jej szklistych oczach zmieszanie, jakby nie rozumiała, dlaczego traktuje w taki sposób człowieka, którego – najprawdopodobniej – kocha.

Mężczyznę, którego dziecko nosi w brzuchu.

– Idę się zająć moją córką.

Jak to się szybko zmieniło. Teraz Jessica była już jej córką. Kobiece emocje nigdy nie przestaną mnie zdumiewać.

– Christine!

– Skończyłam tę rozmowę, Michael.

Pobiegła na górę, a ja zostałem w kuchni sam ze skorupami z kubka, plamą gorącej kawy i echem naszych głosów. Na piętrze zrobiło się cicho, ale Christine już nie wróciła na dół. Posprzątałem, nie mogąc się nadziwić, że takie idiotyczne kłótnie potrafią się wziąć zupełnie z niczego. Zwykła różnica zdań albo zawirowanie emocjonalne prowadzą do nieuniknionego i bezlitosnego okładania się po głowach. Tak samo wygląda to w wypadku dwojga ludzi, jak i całych narodów. Ale jakieś rozstrzygnięcie musi zapaść: dobre, złe albo brzydkie. Wszystko kiedyś się kończy. Byłem zatem przekonany, że i przy Harlan Road 17 kurz w końcu opadnie i będzie spokojnie zalegał po kątach, dopóki jakieś nieprzewidziane zdarzenie znów nie wzbije go w powietrze.

## ROZDZIAŁ 12.

Posprzątałem i przez godzinę oglądałem telewizję. Było jeszcze wcześnie i sen wydawał mi się równie obcy jak pobliski las w dniu, kiedy pierwszy raz się do niego zapuściłem. Bijąc się z myślami o tyradzie (i ciąży) Christine, lękach Jessiki i moim rychłym ponownym ojcostwie, złapałem się na tym, że wstaję ze stołka, aby wyrzeć przez kuchenne okno na las. Wypatrywałem światełek. I zobaczyłem je, ale były bardziej zielone, mniejsze i leniwie krążyły w powietrzu, umieszczone na owadzich odwłokach.

Robaczki świętojańskie.

Może wmawiając sobie, że złote światełka są świetlikami, najzwyczajniej w świecie zaprzeczałem faktom. Widziałem je tylko dwa razy, ale w moich wspomnieniach były większe, wielkości piłek golfowych, i kryły się wśród drzew.

To nie były świetliki.

Więc co?

Izolanci? Nie, Michael, pewnie jakiś szop, opos albo inny zwierzak prowadzący nocny tryb życia. A ślepia świeciły im na żółto, bo odbijała się w nich lampa przy tylnym wejściu.

Mimo wczesnej pory postanowiłem jednak się położyć. Spodziewałem się, że Christine jeszcze nie śpi, chociaż było mało prawdopodobne, żeby chciała mi wybaczyć – co bardzo mi odpowiadało. Nadal biłem się z myślami i nie miałem ochoty na godzenie się.



Zajrzałem do Jessiki: łóżko było puste, pościel skotłowana. W pierwszej chwili spanikowałem, ale pocieszałem się (modliłem, prawdę mówiąc), że za to w naszym łóżu małżeńskim zastanę nadkomplet. Przeszedłem przez przedpokój i wetknąłem głowę za drzwi sypialni – i rzeczywiście: Christine, Jessica i Page leżeli skuleni na materacu. Ktoś cicho pochrapywał. Pewnie Page.

Mogło zdarzyć się tak, że Christine obudzi się dręczona wyrzutami sumienia; z samego rana przytuli mnie, wyciągnie i przeprosi. Mogło, ale nie musiało. Nie miałem więc innego wyjścia, jak szykować się na najgorsze i mieć nadzieję na najlepsze. Zdarzały nam się w przeszłości mniej poważne kłótnie, po których następowały dwa, trzy dni dąsów i spoglądania wilkiem; czasem ja byłem winny, czasem ona. Tym razem do żadnego z nas nie można było mieć pretensji.

Naszym małym światem zatrzęsła niewidzialna trzecia siła, która pojawiła się nie wiadomo skąd. Któż mógł wiedzieć, co nas teraz czeka? Ja chciałem tylko zakończyć tę sprawę, zapomnieć o smutku i frustracji, nawet gdybym musiał pierwszy wyciągnąć rękę na zgodę.

Mógłbym ją obudzić.

Miałem jednak przecucie, że nie byłby to najlepszy pomysł.

Rozebrałem się więc, wykapałem, ogoliłem i łyknąłem dwa ibuprofeny, żeby odpędzić nadciągający nieuchronnie ból głowy. Miałem dość wrażeń jak na dwa dni i młoty pod moją czaszką zaczynały się rozgrzewać. Kiedy wślizgiwałem się do łóżka Jessiki, głowa pękała mi z bólu. Mogłem śmiało założyć, że prędko nie zasnę. Mój mózg gonił wspomnienia, odtwarzając wydarzenia z ostatnich dwóch dni jak kiepski film. Phillip Deighton. Izolanci. Składanie ofiar. Stara pani Zellis. Jessica. Duchy. Złote światełka.

Świetliki. Jestem w ciąży. Christine. Idź do diabła, Michael.

Po tych wizjach przyszły obrazy zrodzone z czystego lęku. Rosy Deighton w szczękach potwora. Miała oderwaną rękę, krew z kikuta tryskała w rytmie jej przerażonych krzyków. Próbowала się wyrwać, ale wtedy ostre kły wyszarpywały jej kawałki ciała, a uzbrojona w potężne pazury łapa jednym machnięciem oderwała pół twarzy. Neil Farris, człowiek, którego miejsce zająłem. Wyobrażałem sobie, jak wije się z bólu na ziemi, jak się wykrwawia, czekając na pomoc, która nadejdzie zbyt późno. Przypomniałem sobie pierwszą rozmowę z Lou Scullym. Powiedział mi, że pogryzionego przez bezdomnego psa Farrisa próbowano przewieźć do Ellenville, ale zmarł, zanim dotarł do kliniki. Wdowa po lekarzu potwierdziła tę wersję. Dokładnie, niemal słowo w słowo.

Jakby się umówili.

Odepchnąłem od siebie tę myśl. Mój przemęczony umysł zaczynał snuć złowrogie scenariusze, pasujące do mojej rosnącej paranoi. Rosy. Neil. Izolanci. Odkąd się wprowadziliśmy, nie widziałem w okolicy ani jednego psa, czy to na łańcuchu, czy biegającego bez smyczy – nie licząc Page'a.

Przeszedł mnie dreszcz. Jakie to miało znaczenie? Neil Farris nie żył, a ja odziedziczyłem po nim fantastyczną praktykę z gronem wiernych pacjentów. Można by powiedzieć, że znalazłem się we właściwym miejscu w odpowiednim czasie, nawet jeśli wahałem się, czy spadek po Farrisie to błogosławieństwo, czy przekleństwo. To co jednego zgubiło, drugiemu przyniosło korzyść.

Po godzinie bokowania się z myślami wstałem i zszedłem na parter. Zegar w salonie wybił jedenastą. Zrobiłem kanapkę z masłem orzechowym (w kuchni ciągle unosił się aromat kawy; pewnie dopiero zmycie podłogi amoniakiem pozwoliłoby go wywabić), nalałem sobie mleka i poszedłem do biblioteki.

W recepcji wisiała nieduża tablica korkowa, na której przypinałem notatki i przypomnienia – nic ważnego, głównie telefony do pacjentów, którzy nagrali mi się na sekretarkę. Spojrzałem na telefon. Światelko automatycznej sekretarki się nie świeciło. To miłe.

W bibliotece było cicho jak w kostnicy. Usiadłem przy biurku, zacząłem jeść i porządkować papiery. Przerobiłem instalację elektryczną w taki sposób, żeby przełącznik przy drzwiach włączał tylko lampę na biurku. Uzyskiwałem w ten sposób miłą poświatę, która nie rozlewała się poza obszar, w którym pracowałem, dzięki czemu nawet nocą mogłem swobodnie wyglądać przez wysokie okna. Światło lampy przy tylnym wyjściu padało na trawnik ciągnący się aż do skraju lasu. Wyobraziłem sobie, że jestem jedną z dziewiętnastowiecznych sław, która w blasku świec pracuje nad swoim najnowszym dziełem, przyszłym klasykiem. Jak Charles Dickens. Albo może Edgar Allan Poe.

Wypatrywałem złotych światełek za oknem, ale zamiast nich widziałem tylko betonową fontannę dla ptaków i starą szopę, w której jeszcze nigdy nie byłem. Jakoś mnie nie zainteresowała.

Aż do teraz.

Wróciłem do domu, przebrałem się w dżinsy i bluzę i z trzymanej pod zlewem skrzynki z narzędziami wyjąłem latarkę i młotek. Tak wyposażony (miałem nadzieję, że zardzewiała kłódka podda się po paru uderzeniach młotka) wyszedłem z domu przez poczekalnię. Nocne powietrze było cudowne, orzeźwiało i chłodziło. Świetliki szybowały od niechcenia, ćmy kłębiły się wokół lampy przy drzwiach, gromady żuków czepiały się drucianej siatki w oknach, przywodząc na myśl aplikacje na batikowej koszuli. Prawdziwe owadzie święto.

Las tętnił życiem. Wiatr niósł odgłosy wydawane przez cykady, świerszcze, sowy i inne nocne ptaki, tłumione kojącym szmerem morza

suchych liści. Na tle bezchmurnego nieba kołysały się monstrualne korony drzew, podświetlone padającą od strony domu poświatą. Blask księżycowego sierpa padał na podwórko, gwiazdy jak mikroskopijne ogniki przepalały czarne sklepienie. Wrażenie bliskości natury było wszechogarniające; po życiu w mieście nadal nie mogłem się do tego przyzwyczaić.

Ruszyłem przez trawnik w stronę szopy. Wiatr tarosił na mnie ubranie. Nie włączyłem latarki, nie musiałem, gdyż księżyc i lampa przy wejściu wystarczająco oświetlały mi drogę. Wyschnięta trawa dopominała się o przycięcie; źdźbła łaskotały mnie po kostkach jak owadzie odnóża.

Zatrzymałem się przy szopie, na skraju lasu, i nasłuchiwałem. Poruszone wiatrem konary drzew pojękiwały niespokojnie. Wiekowe deski szopy skrzypiały i zgrzytały, jakby była żywą istotą. Serce podeszło mi do gardła, nagle poczułem się jak szaleniec, który szykuje się do popełnienia jakiegoś diabelstwa. Odwróciłem się i spojrzałem w stronę domu.

Wyglądał trochę strasznie i niesamowicie, oblany widmową poświatą księżycy. Za dnia udawał niewiniątko, pysznił się tą swoją kolonialną elegancją, rabatkami stokrotek i malowanymi okiennicami, które witały gości roześmianymi kolorami. Za to nocą wychodziła na jaw jego prawdziwa natura. Był mroczny, wilgotny i pękał w szwach od skrywanych tajemnic. Wystarczyłoby wystawić przed drzwi lampion z dyni i Halloween gotowe. Tak po prostu.

Skrob... skrob...

Obróciłem się gwałtownie w stronę szopy. Coś usłyszałem. Dźwięk dobiegał z wnętrza szopy, tak jakby ktoś paznokciami próbował wydłubać drzazgę z przesuszanej deski.

Włączyłem latarkę i poświeciłem w centymetrową szparę między deskami. Światło nie docierało jednak daleko i nic nie zobaczyłem.

Skrob... skrob...

Znowu. Mimo że drapanie było ciche, prawie podskoczyłem, jakby tuż obok mnie zawyła syrena alarmowa. Cofnąłem się, ściskając w drżących rękach latarkę i młotek.

Chciałem zawołać, spytać, czy ktoś tam jest. Rozsądek podpowiadał, że to niemożliwe, skoro szopa jest zamknięta na kłódkę od zewnątrz, chyba że oczywiście...

Chyba że ten ktoś (lub to coś) został zamknięty wbrew swojej woli.

To możliwe.

Wzdrygnąłem się i przekląłem w duchu za głupie pomysły. Kłębiące się w mojej głowie myśli były równie irracjonalne jak nagły lęk Jessiki przed Page'em i wywieszonymi przez niego duchami. Powtarzałem sobie w duchu, że muszę wziąć się w garść, być silny, zachować się jak przystało na głowę rodziny i osobnika, który nosi spodnie. Musiałem okazać siłę, determinację i odwagę.

Przełożyłem latarkę do lewej ręki, w prawą wziąłem młotek. Las pociemniał nagle i wydał mi się martwy, mimo nieustającego koncertu owadów. Wiatr się wzmógł, ale kiedy zadygotałem, nie był to dreszcz spowodowany chłodem, lecz poczuciem samotności, które ogarnęło mnie ze wzmożoną mocą.

Obejrzałem kłódkę. Wisiała na zardzewiałym skoblu jak maleńka szklana bombka, która tylko czeka na to, żeby ją roztrzaskać. Zamachnąłem się lekko młotkiem i puknąłem.

Zadźwięczała metalicznie. Dźwięk poniósł się daleko. Las odpowiedział kolejnym przeszywającym powiewem wiatru.

Poświeciłem latarką. Kłódką była na swoim miejscu, ale skobel trochę się poluzował.

Jedna przerdzewiała śruba przepadła bez śladu. Zamiast uderzać drugi raz, postanowiłem spróbować wyłuskać drugi wkręt rozwidlonym końcem obucha – równie sprawnie, a na pewno o wiele dyskretniej. Zahaczyłem o skobel, podważyłem go i pociągnąłem. Ani drgnął.

I wtedy... Nowy odgłos. Wstrzymałem oddech, nasłuchując wszelkich dźwięków głośniejszych niż bicie mojego serca. Ten również dobiegł z szopy, ale nie przypominał delikatnego skrobania, które słyszałem wcześniej. To był przytłumiony, miękki stukot, jaki mogłyby wydawać kopnięte grudy suchej ziemi.

– Halo?! – zawołałem prawie szeptem.

Na Boga, naprawdę oczekiwałem odpowiedzi? Wstrzymałem oddech i delikatnie postukałem młotkiem w drzwi. I tym razem doczekałem się reakcji. Chrobot, szuranie i stukot, jakby coś, co znajdowało się w środku, przypadkiem uderzyło o ścianę.

Boże święty... Tam naprawdę coś było. Coś żywego.

– Halo, tam w środku? – powiedziałem nieco głośniej, ale i tak z mojego gardła dobył się tylko chrapliwy skrzek. – Słyszysz mnie?

Żadnej odpowiedzi. Żadnego dźwięku. Tylko fala woni, moczopodobnego odoru, jaki kojarzy mi się z tunelami nowojorskiego metra w sierpniu. Wziąłem wdech, oczy zaczęły mi łzawić od smrodu, i podważyłem skobel. Szarpnąłem raz, drugi. Za trzecim razem drewno się rozszczepiło i pozostałe wkręty wyskoczyły. Czwarte pociągnięcie nie wymagało już wielkiej siły. Kłódka i skobel stuknęły głucho o ziemię.

Ze środka znowu dobiegło skrobanie. I kolejny głuchy łomot. Odskoczyłem na dwa metry, omal się przy tym nie wywracając. Zakręciło mi się w głowie, jakby cały świat nagle się przekrzywił. Z trudem odzyskałem równowagę, rozkładając szeroko ręce z młotkiem i latarką.

Spojrzałem na szopę. Do diabła, co tam jest w środku? Człowiek? Zwierzę? Izolant?!

Nie, to niemożliwe. Nie powinienem dopuszczać do siebie takich makabrycznych wizji. Znajdę tam pewnie jakiegoś ptaka albo wiewiórkę, która przecisnęła się do środka przez szparę przy ziemi i nie mogła się wydostać, aż nagle usłyszała odgłosy, które mogły zwiastować jej uwolnienie.

Powtarzając sobie (po raz kolejny), że nie ma się czego bać, podszedłem bliżej i chwyciłem zardzewiały uchwyt na drzwiach. I otworzyłem je, najpierw tylko odrobinę, a potem na oścież.

Poświeciłem do środka.

W pierwszej chwili dostrzegłem tylko jakiś spory kształt w półmroku, nie rozróżniłem żadnych szczegółów. Kiedy jednak oświetliłem go latarką, nogi ugięły się przede mną ze strachu.

Smród uderzył mnie ze zdwojoną siłą, jak coś namacalnego, jak ręce zaciskające mi się na szyi. Usłyszałem makabryczne beczenie. Mięśnie zmieniły mi się w galaretę na widok tego, co zobaczyłem. W szopie nie zastałem człowieka, Izolanta, wiewiórki ani ptaka.

Znalazłem zwierzę.

Po ścianą leżała dorosła łania, która właśnie drugi raz wydała to dziwne niby–beczenie, niby–ryk (które przy otwartych drzwiach zabrzmiało znacznie głośniej), a kiedy światło latarki omiotło jej łeb, jej wilgotne, wytrzeszczone oczy obróciły się w moim kierunku jak jajka we wrzątku. W boku zwierzęcia była paskudna rana, lśniąca fala szkarłatu spływała na podłogę pod rozdygotanym ciałem. Łania próbowała wstać, ale tylko bezradnie wierzgnęła, zahaczając jedną nogą o ścianę szopy.

Zacząłem się cofać. Próbowałem zebrać myśli, odgadnąć, jakim cudem zwierzę dostało się do środka.

Przecież wiesz, Michael. Ktoś je tu zamknął. Najpierw dźgnął je w brzuch, a potem wyszedł i zamknął drzwi na kłódkę. Dziękuję, do widzenia.

Nadal pozostawało pytanie – kto to zrobił? I po co?

Przeszedł mnie dreszcz, jakby od umierającej łani buchnęła fala zimna. Przypomniał mi się jeleni, którego widzieliśmy z Phillipem na spacerze: wyrósł jak spod ziemi, tak jakby Phillip wiedział, że tam będzie, aby dopełnić sielanki. Zniknął w lesie równie szybko, jak się pojawił.

Zastanawiałem się, przestraszony, czy nie jest to przypadkiem to samo zwierzę, na które się wtedy natknęliśmy. Wzdrygnąłem się na tę myśl, a wtedy łania dźwignęła się na nogi. Znów się cofnąłem, właściwie zatoczyłem do tyłu, na zewnątrz szopy. Smród moczu, odchodów i brudu odpychał mnie równie skutecznie jak strach.

Przypomniałem sobie o młotku. Nadal trzymałem go w ręce.

Zastanów się, Michael... chłopak z miasta, rzucony na głęboką wodę... ale z czymś takim sobie poradzisz, to kaszka z mleczkiem... Tutejsi ludzie na pewno umieliby zahipnotyzować zwierzaka, żeby jadł im z ręki jak szczeniaczek... Zrób tak. Wyobraź sobie, że to bandzior, który na rogu Ósmej i Czterdziestej Trzeciej próbuje wyrwać twojej ciężarnej żonie torebkę...

Mojej ciężarnej żonie.

Zahaczyłem ręką o bezlistny krzew. Odskokczyłem i upuściłem latarkę, ale młotek ścisnąłem coraz mocniej, gotowy do ciosu, na wszelki wypadek, tak po prostu na wszelki wypadek...

Zaczął się pojedynek na spojrzenia. Kto kogo przetrzyma. Łania miała pysk ubrudzony ziemią, krew i ropa pieniały jej się na dziąsłach, oddychała płytko i gwałtownie.

Pokręciła stanowczo głową, zabeczała ze złością i rzuciła się na mnie.



Instynktownie przeniosłem ciężar ciała na wysuniętą do przodu nogę i walnąłem młotkiem w łeb zwierzęcia tuż nad lewym uchem. Trzask, kiedy metal zdruzgotał kość... był zarazem makabryczny i zdumiewający. Przypominał perfekcyjne uderzenie kija bejsbolowego w piłkę. Z gardła i nozdry jelenia dobył się ohydny świst. Młotek wypadł mi z ręki, przekoziółkował w locie i z głuchym stukotem odbił się od ściany. Leżał obok kłódki.

Odkoczyłem od osuwającego się zwierzęcia. Wybełkotałem odruchowo „O Boże...” i poczułem ciepły bryzg krwi na twarzy, na rękach, przesiąkła mi nawet przez bluzę. Łania zwała się na ziemię, ale jeszcze przez chwilę przemieszczała się w kierunku lasu. Fontanna krwi z rozłupanej czaszki zalśniła w świetle księżyca.

Jeleń znieruchomiał.

Jakiś czas upłynął w głuchej ciszy, zanim uświadomiłem sobie, że nogi nie utrzymały mojego ciężaru i leżę na plecach z przekreśloną na bok głową. Oparłem dłonie o ziemię, aż wilgotny mech mlasnął mi między palcami, i usiadłem. Coś oślizłego przemknęło mi po ręce; nie patrząc, strząsnąłem to z obrzydzeniem. Sięgnąłem po oblepioną błotem latarkę, namacałem wyłącznik, zanim palec mi się z niego ześliznął, i oświetliłem zwierzę.

Ohyda. Gdybym miał wtedy dość siły w nogach, zerwałbym się, uciekł, schronił się w ciepłym, przytulnym domu i więcej już nie wyszedł. Ale byłem w stanie tylko klęczeć na wilgotnej ziemi i drzeć na widok skutków swojej ślepej furii, która ogarnęła mnie w ułamku sekundy, gdy instynkt wziął górę nad rozumem w sytuacji „działaj albo giń”, tak jak chwilę wcześniej u łani. Miałem wrażenie, że unoszę się poza swoim ciałem i spoglądam na jakiegoś szaleńca, który jeszcze przed momentem był na wpół obłąkany ze strachu, a teraz – gdy dokonał swojego mrocznego dzieła i zaspokoił zwierzęcą żądzę krwi – powoli się uspokajał.

A przecież byłem zwyczajnym człowiekiem, który bronił się przed subiektywnie odczuwanym zagrożeniem.

Odetchnąłem głęboko kilka razy, otrząsnąłem się, wstałem i podszedłem do łani.

Tylko jeden krok. Spojrzałem w prawo, w stronę otwartych drzwi, próbując przebić wzrokiem panujący w szopie mrok.

W świetle latarki widziałem tylko zakrwawioną podłogę: stare, próchniejące deski poprzerastane trawą, chwastami i psimi grzybkami pieniącymi się gęsto po kątach. Ledwie zbliżyłem się do wejścia, ze środka buchnął dławiący, przyprawiający o mdłości smród.

Wytrzymałem go jednak, ale gdy już, już wydawało mi się, że wymioty mi nie grożą kanapka z masłem orzechowym i mleko wróciły wezbraną falą. Stałem bez ruchu, z rękami opartymi o kolana, i czekałem, aż torsje się skończą. Kiedy było po wszystkim, zacisnąłem zęby i zmusiłem się, żeby wejść do szopy i oświetlić tę jej część, która do tej pory pozostawała niewidoczna.

Ogarnęło mnie obrzydzenie grożące atakiem paniki. Musiałem wstrzymać oddech, żeby znowu nie zwymiotować.

Na podłodze leżało jeszcze jedno zwierzę, mały jelonek. Nie żył od dawna.

Ścisnąłem latarkę obiema drżącymi dłońmi. Plama światła skakała po ścianach jak snop z reflektora w nocnym klubie i kilkanaście sekund zajęło mi doprowadzenie jej na nieruchomy cel. Rozkładające się truchło było niewielkie, miało niespełna metr długości.

Orzechowej barwy sierść pokryły już ciemne pląty mchu, kłębiły się w niej larwy, a nad cuchnącą masą unosiły się roje owadów. Nogi były objedzone do kości, a łeb zdeformowany, pozbawiony oczu i nosa. Na szyi jelonek miał wielką ranę.

Widok nie pozostawiał złudzeń. Ktoś zabił małego jelenia, a następnie podrzucił do szopy z jakiegoś nieznanego mi, lecz z pewnością niedorzecznego powodu.

Było oczywiste, że ciało jelenka przeleżało w szopie już sporo czasu i przyszło mi do głowy, że zostało podrzucone celowo, tak samo jak żywa łania, już po naszym wprowadzeniu się, czyli nie dalej niż przed miesiącem. Ktoś zakradł się na nasz teren i dopuścił się tej ohydy, kiedy ja już tu mieszkałem! Nie była to „pamiątka” zostawiona przez doktora Farrisa lub wdowę po nim.

Wybiegłem z ciasnej, zawilgoconej szopy; moje buty plaskały donośnie w rozmokłej ziemi przy wejściu. Księżyc schował się za cienką warstwą chmur i żółtawa poświata lampy na werandzie wydawała się mocniejsza niż przedtem. Modliłem się w duchu, żeby Christine i Jessica przespały cały ten czas, i zastanawiałem się, jak to możliwe, że Page nie słyszał, jak hałasowałem. Otarłem czoło z potu. Postanowiłem zataić wszystko przed rodziną.

Niektóre sprawy lepiej przemilczać – i to była druga z nich. Pierwszą była rozmowa, jaką odbyłem z Rosy Deighton w dniu przeprowadzki.

Przez kilka minut stałem przed szopą, zanim wziąłem się w garść. Musiałem jakoś usunąć truchła obu zwierząt. Ale jak się do tego zabrać?

Michael? A co ty na to, żeby zanieść je do lasu i złożyć na ołtarzu Izolantów? No wiesz, na tym zakrwawionych gładzie?

Pokręciłem energicznie głową, aby pozbyć się tej zwariowanej myśli, i przeciwstawiłem jej równie niedorzeczny argument: Phillip mówił, że składane w ofierze zwierzę musi być żywe.

– Czyś ty zwariował?! – wychrypiałem na głos.

Ciężkim krokiem zacząłem obchodzić dom z lewej strony, kierując się do wolno stojącego garażu. Wszedłem bocznymi drzwiami, błogosławiąc w

duchu suche, duszne wnętrze (które w dodatku znajdowało się daleko od lasu), i z półki, na której Christine trzymała narzędzia ogrodnicze, wziąłem rękawice robocze. W kącie, obok kosiarki, znalazłem niebieską foliową płachtę, którą przykrywałem podłogę podczas malowania.

Żołądek podchodził mi do gardła, gdy myślałem o tym, co zamierzam. Starąłem się zwalczyć mdłości, ale w grę wchodziły dodatkowe, niezależne ode mnie czynniki, takie jak niesiony wiatrem od strony szopy odór zgnilizny, nieustępliwy jak remora uczepiona rekina.

Czułem go nawet w garażu. W połączeniu z wizją cuchnących, przelewających mi się przez ręce zwierzęcych zwłok, które będę musiał zawinąć w folię, przyprawiał mnie o bolesne skurcze w brzuchu, zwłaszcza kiedy pomyślałem o rojącym się pod truchłem jelonka robactwie, które rozpierzchnie się, gdy po wielu dniach zburzę ich spokój i odbiorę im bezcenny skarb.

Wetknąłem złożoną płachtę pod pachę i wyszedłem z garażu, za wszelką cenę próbując otrząsnąć się z obrzydliwych wspomnień, które miały mnie jeszcze długo prześladować. Powoli szedłem w stronę szopy. Mijając wysokie okna biblioteki, żałowałem, że nie siedzę przy biurku, przy którym w dyskretnym świetle lampki do czytania mógłbym spokojnie zajadać następną kanapkę i przekładać papiery. Czas włókł się w nieskończoność – możliwe, że celowo przeciągałem swój powrót, ale w końcu dotarłem na miejsce zbrodni.

Miejsce, w którym dobiłem dorosłą łanię.

Powtarzałem sobie, że wszystko będzie dobrze, że ja, głowa rodziny, poradzę sobie z tą nieprzewidzianą trudnością. Zawinę dwa martwe zwierzaki w folię i wywlokę je sto metrów w las, gdzie będą mogły spokojnie sobie gnić, a ja zacznę wymazywać z pamięci tę paskudną noc.

Ale stało się inaczej.

Folia wypadła mi z rąk, twarz wykrzywiła się w bolesnym grymasie, jakby ktoś wyrznął mnie w kolano. Upuściłem też latarkę, ale wcześniej zdążyłem wszystko zobaczyć i zorientować się, że od tej pory nic, ale to zupełnie nic nie będzie już dobrze.

Oba truchła zniknęły.

## ROZDZIAŁ 13.

**D**o rana nie zmrużyłem oka, co było do przewidzenia. Jak mogłem zasnąć po tym, co się wydarzyło? Samo spotkanie z jeleniem przyprawiłoby człowieka o bezsenność, a makabryczna tajemnica znikających zwierzęcych zwłok mogła mi zapewnić długie lata nocnych koszmarów. Chyba że znajdę dla niej jakieś racjonalne wytłumaczenie.

Dopiero o wpół do trzeciej wróciłem do domu. Wziąłem drugi tego wieczoru prysznic, bardzo długi. Nie mogłem przestać myśleć o tym, co się wydarzyło. Mój umysł odpływał swobodnie w bezgraniczną pustkę wielkiej bzdury. Potem wyciągnąłem się na wznak na sofie w salonie, cały obolały; mięśnie rąk i nóg drżały mi z wysiłku. Miałem ochotę wyjść znowu na dwór i jeszcze raz rozejrzeć się w szopie, upewnić się, że nie ma w niej martwego jelonka – nawet jeśli wiedziałem doskonale, że go tam nie znajdę. Sprawdzałem to pięć albo sześć razy, zaglądając na przemian to do szopy, to do lasu, ale znalazłem tylko ślad znaczony kroplami krwi, zaczynający się w miejscu, gdzie zostawiłem zabita łąnię. Kiedy potworność sytuacji w pełni do mnie dotarła, pogodziłem się z porażką i wróciłem do domu, chociaż umysł walczył jeszcze z ciałem, a teraz, na sofie, ewidentnie wygrywał nocną batalię.

Kiedy wstałem rano, nie miałem ochoty najedzenie, ale postanowiłem mimo to przyrządzić rodzinne śniadanie: jajka, bekon, kawa, sok, tosty. Kiedy Christine zeszła na parter, potraktowała mnie raczej oziębło (poniekąd słusznie, bo na śmierć zapomniałem o jej wieczornej przemowie

i kłótni), ale na widok nakrytego stołu trochę złagodniała. Najwyraźniej cięża wzmogła jej apetyt i pełny talerz sprawił jej przyjemność.

– Domyślam się, że w ten sposób chcesz się pogodzić – stwierdziła chłodno.

Wzruszyłem ramionami, potwierdzając jej domysły. Prawdę mówiąc, miałem świeżo w pamięci gwałtowność naszej wieczornej sprzeczki i byłem oszołomiony łatwością, z jaką przeszła nad nią do porządku dziennego. W przeszłości po niniejszych kłótniach na długo zapadały ciche dni. Wyglądało jednak na to, że tamta dyskusja została oficjalnie zakończona, za co byłem Christine wdzięczny. Miałem ważniejsze sprawy na głowie.

Takie jak znikające martwe zwierzęta. Nie mogły przecież wstać i pójść...

Na schodach rozległo się tup, tup drobnych stopek i Jessica zjawiała się w kuchni w towarzystwie płaczącego się jej pod nogami Page'a. Postawiłem przed nią talerz, a ona bez słowa zaczęła pałaszować. Page przemknął do miski, żeby skubnąć psich chrupek, niepokieszony, że nie załapał się na jajka i bekon.

Przygotowując śniadanie, miałem nadzieję, że uda mi się pogadać chwilę z Christine o jej... o naszych planach na przyszłość, związanych ze spodziewanym powiększeniem rodziny.

Teraz jednak uświadomiłem sobie, że taka rozmowa będzie musiała poczekać. Na wszystko jest odpowiedni czas i miejsce, a to nie był najlepszy moment, żeby o wszystkim informować Jessicę. W tej kwestii zgadzaliśmy się z Christine bez słów.

Siedziałem więc przy stole, pogryzając tosty i patrząc na jedzące w milczeniu żonę i córkę (oraz psa). Christine pierwsza skończyła, podjechała do mnie na krzesło i mnie objęła.

– Przepraszam, że byłam wczoraj taka wredna. I dziękuję za śniadanie, było przepyszne.

– Nie ma za co.

Odwzajemniłem uścisk. Czułem się trochę niezręcznie. Christine nie należała do ludzi, którzy łatwo podkulają ogon, przynajmniej dopóki nie postawią na swoim. Tymczasem dzisiaj obeszło się bez żadnych warunków wstępnych. Coś takiego zdarza raz w życiu.

Farciarz ze mnie.

Jessica wybiegła z kuchni do przedpokoju i zaczęła szukać swoich adidasów w szafce z butami.

– Chodź, Page! – zawołała.

Wytrzeszczyłem oczy.

– Gdzie idziesz?

– Obiecałam jej wczoraj, że zabiorę ją do parku Beaumonta – wyjaśniła Christine. – Miałam nadzieję, że zapomniła.

– Żartujesz? W takiej nudnej miejscinie takich obietnic się nie zapomina.

Jessica włożyła buty i kurtkę, zupełnie nie przejmując się tym, że mama siedzi przy stole w pizamie: ciepłych szortach, starej koszulce i siatce na włosach.

– Zaczekaj chwilę, kochanie. Mamusia musi się przebrać.

– Dobrze! – zawołała Jessica. Przypięła smycz do obroży Page'a i podeszła do drzwi wyjściowych. – Czekamy na dworze.

Christine odstawiła talerz do zlewu.

– Mam nadzieję, że się nie obrazisz, jeśli nie pomogę ci zmywać.

Nie oczekiwałem tego od niej. Uśmiechnąłem się.

– Pewnie, że nie. Bawcie się dobrze.

Tak naprawdę to chciałem ją zapytać przede wszystkim o to, kiedy zacznie pracować w recepcji. Z papierkową robotą na razie jakoś sobie



radziłem, ale zabierała mi więcej czasu, niżbym chciał. Poza tym miło by było, gdyby pacjentów witała jakaś sympatyczna, przyjazna twarz, a nie pusta poczekalnia. Biorąc pod uwagę, że spodziewaliśmy się dziecka, zaczynałem się liczyć z tym, że będę musiał nająć kogoś do pomocy, zanim utonę w papierach. Rany... Ni stąd, ni zowąd Christine przeobrażała się w etatową mamusię. I szlag trafił nasz mały plan.

– Dzięki. Lunch zjemy w mieście, po spacerze.

Pocałowała mnie i sytuacja wróciła to normy, jakby nic między nami nie zaszło.

A może jedzie do miasta na badania? – pomyślałem. Nie zdziwiłbym się.

Chciałem coś na ten temat powiedzieć, ale uznałem, że to może poczekać. Zawarliśmy rozejm i nie chciałem psuć tej chwili. Jako lekarz wiem o zmianach nastroju kobiet w ciąży.

Możecie mi wierzyć, trzeba się cieszyć z momentów względnego spokoju. Postanowiłem nie wywoływać wilka z lasu i tylko pomachałem do żony z uśmiechem, kiedy poszła na górę się przebrać.

Pięć minut później wyszła z domu i zostałem sam.

Wyszedłem na werandę. Christine wyprowadziła samochód na koniec podjazdu, skręciła w lewo i zniknęła mi z oczu za zakrętem. Została po niej tylko snująca się za autem smuga spalin niczym ogon dzina z lampy Aladyna. Niebo było błękitne, dzień niewiarygodnie suchy, a termometr na werandzie wskazywał dwadzieścia sześć stopni. Mimo niewyspania podziwiałem ten piękny letni dzień. Bywało, że kontrast między Manhattanem a Ashborough przerażał mieszczucha we mnie (tak jak ubiegłej nocy), ale zdarzały się też chwile takie jak teraz, w których mogłem się nim cieszyć do woli. Wciągałem powietrze głęboko w płuca i nie myślałem o przejściowych życiowych problemach – dopóki zegar w saloniku nie wybił dziewiątej i nie wyrwał mnie z zadumy. Za piętnaście

minut miałem przyjąć pierwszą pacjentkę. Wróciłem do domu i wypłem kawę, zerkając na stertę brudnych naczyń w zlewie.

Odkręciłem kran i wyjrzałem przez okno.

Foliowa płachta leżała na ziemi, zahaczona o narożnik szopy, drzwi szopy były otwarte, a krwawy trop prowadził w głąb lasu.

## ROZDZIAŁ 14.

Obejrzałem listę zapisanych na ten dzień pacjentów. O dziewiątej piętnaście, a więc już za pięć minut, miała się zjawić Lauren Hunter – po trzydziestce, z farbowanymi na blond włosami, drogą biżuterią i gładką skórą. Badałem ją już raz wcześniej i dość jednoznacznie dawała mi do zrozumienia, że jest bardziej niż chętna: kakaowe oczy, przymglone i cały czas utkwione we mnie, głęboki dekolt, uśmiech szeroki na kilometr, jak z reklamy pasty do zębów. Broniłem się przed nią, obnosząc się z oznakami mojego szczęśliwego małżeństwa – czyli mówiłem o dzieciach i rodzinnych wakacjach, na które nigdy się nie wybraliśmy.

Dolegliwości żołądkowe Lauren Hunter ustąpiły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, gdy tylko doszła do wniosku, że nowy lekarz jest raczej niedostępny. Zastrzegam się, że tylko „raczej”, ponieważ jednak umówiła się na drugą wizytę. Ciekaw byłem, czy tym razem naprawdę coś jej dolega.

Dzień miał być niezbyt pracowity: druga wizyta po lunchu, potem jeszcze dwie późnym popołudniem. Przeglądając kartotekę Farrisa, zwróciłem uwagę, że latem nie ma w gabinecie wielkiego ruchu – i po intensywnym okresie wizyt zapoznawczych ja również nie narzekałem na nadmiar pacjentów. Do końca tygodnia też miałem mieć względny spokój.

Odczekałem do pół do dziesiątej, kiedy to doszedłem do wniosku, że Lauren Hunter jednak nie przyjdzie, i wymknąłem się przez poczekalnię. Podszedłem do domu od frontu, zerkając na drogę, aby upewnić się, czy jednak się nie spóźni. Na horyzoncie nie było nikogo (mój ojciec tak

mawiał, kiedy byłem małym chłopcem i przychodził sprawdzić, czy w mojej sypialni nie kryje się po ciemku jakieś straszycło), wziąłem więc z garażu grabie (które, jak mi się wydawało, najlepiej się nadawały do zatarcia krwawych śladów) i żwawym krokiem ruszyłem do szopy. Rozejrzałem się.

W szerokim kręgu zdeptanej trawy została brunatna plama krwi. Z bliska stwierdziłem, że wygląda świeżo, jakby ktoś wylał w tym miejscu jeszcze litr albo więcej posoki, tyle że później, długo po tym, jak wróciłem do domu. Szeroki krwawy szlak wiódł w głąb lasu, ale po paru metrach rozdzielał się na pojedyncze ścieżynki, a potem nagle się urywał, tuż obok kępy młodych samosiejek. Ostrożnie zajrzałem do szopy. Nawet teraz, w środku słonecznego dnia, w szopie panował mrok. Na szczęście między próchniejącymi deskami nie brakowało szpar, a i przez otwarte drzwi wpadało dość światła, abym mógł stwierdzić, że nie ma tam martwego jelonka. Została tylko brązowawa plama. Ktokolwiek zabrał stąd zwierzę, zrobił to szybko i sprawnie. Nie chciał, żeby go widziano.

Do tego momentu dzień był miły, cichy i spokojny. Typowy poranek w Ashborough.

Ptaki wyśpiewywały serenady, liście drzew szeptały poruszone lekkim zefirkiem.

Wyszedłem z szopy, oparłem grabie o ścianę i na miękkich nogach podszedłem do betonowej fontanny. Powrót na miejsce zbrodni wyprowadził mnie z równowagi. Aby nie poddać się tej chwilowej słabości, próbowałem układać listę wszystkich spraw do załatwienia (musiałem, na przykład, wypełnić formularze ubezpieczeniowe i druki zamówień na leki), ale nic mi z tego nie przyszło. W mojej głowie było miejsce na wszystko.

Basenik był pusty; nic dziwnego, od tygodni nie padało. Odkąd się wprowadziliśmy, pamiętałem tylko jeden deszcz, a właściwie

popołudniową burzę, która nadała niebu paskudny odcień węgla drzewnego i śmiertelnie wystraszyła Page'a, który odszczekiwał się jej spod łóżka Jessiki. Dotknąłem figurki cherubinka, pogrążony w myślach; właśnie doszedłem do wniosku, że druga filiżanka kawy dobrze by mi zrobiła, kiedy ciszę rozdarł przeraźliwy krzyk.

Włosy stanęły mi dęba. Okręciłem się na pięcie, jakbym cały czas tylko czekał, aż wydarzy się coś okropnego.

(Złotookie straszyla? Martwe zwierzęta znikające z mojego podwórka? Tak, to mogło mieć coś z tym wspólnego).

Nic nie zobaczyłem, ale zza domu znowu dobiegł wrzask, wysoki i przenikliwy jak wizg gilotyny. Chwilę później dał się słyszeć głuchy łoskot, jakby coś uderzyło o ścianę.

Obiegłem dom i zobaczyłem krew. Była wszędzie i było jej mnóstwo: na dróżce, na trawie, na ścianie obok wejścia do poczekalni. Dopiero wtedy zobaczyłem ciało i odruchowo zatkąłem sobie usta pięścią, żeby nie krzyknąć.

Lauren Hunter jednak przyjechała na wizytę, ale po drodze coś się jej przytrafiło. Nie miałem pojęcia, co dokładnie. Mogłem tylko stać bez ruchu, wytrzeszczać oczy i liczyć na cud, czyli ekipę ratowników medycznych w wyjącej karetce, z czarnymi torbami, kroplówką i noszami, pędzących na ratunek mojej pacjentce. Tak to wygląda w Nowym Jorku: wystarczy się odsunąć i zrobić miejsce zawodowcom, a oni wszystkim się zajmą. Ale tu, w miasteczku krętych dróg i lasów misia Yogi, byłem jedynym lekarzem. I sam jeden musiałem prowadzić ten samolot, chociaż nie miałem zielonego pojęcia o pilotażu.

Moja wiedza i doświadczenie z zakresu ratownictwa medycznego są dość ograniczone. Jestem zwykłym internistą, znam się na katarach i kaszlu, smarkach i flegmie, ale w tej sytuacji nawet ja umiałem postawić

diagnozę: Lauren Hunter za parę minut stanie przed obliczem Stwórcy. Właściwie biorąc pod uwagę jej stan, należało się dziwić, że jeszcze nie stanęła. Coś zerwało jej kawał skóry z twarzy. Został krwawy płat mięsa, ciągnący się od linii włosów do drżącej zuchwy. Z bluzki zostały strzępy, lewa ręka wyrwana ze stawu barkowego zwieszała się bezwładnie jak złamana przez burzę gałąź drzewa. Pod prawą piersią dwa złamane żebra przebiły siną od krwiaków skórę. Zakaszłała; krew i żółta flegma bryznęły na trawę. Jęknęła z bólu – tak głośno, że aż podskoczyłem – i przetoczyła się na bok.

Jej nogi dygotały gwałtownie, trochę podobnie do nóg łani, którą znalazłem w nocy w szopie, jakby ktoś podłączył je do prądu. Obracając się, odsłoniła głęboką ranę na wysokości talii, z której szarofioletowe wnętrzości natychmiast wylały się na betonowy chodnik. Wyśliznęła się też gruba różowa rura, wijąca się i podrygująca jak obdarzona własnym życiem. Jeden jej koniec zniknął w cieple. Przywodziła na myśl smycz.

Przypomniałem sobie słowa Phillipa: „Zwierzę musi być żywe, żeby można je było złożyć w ofierze”.

Byłem roztrzęsiony i przerażony; gdybym musiał coś powiedzieć, bełkotałbym bez ładu i składu. Pocieszałem się, że to i tak bez znaczenia. Cokolwiek bym powiedział, cokolwiek zrobił, i tak nie zmieniłbym faktu, że Lauren Hunter, moja pacjentka, zaraz umrze.

Znowu odkaszlnęła. Grudki flegmy wystrzeliły z jej ust z takim impetem, że rozprysnęły się na ścianie przy drzwiach. O dziwo, jeszcze się poruszała, ba, usiłowała nawet się podnieść. Jej powieki zatrzepotały i podniosły się, odsłaniając szkliste, przesłonięte krwawą mgiełką oczy. Głowa opadła jej bezwładnie w tył, potem w przód. Dopadłem do niej, uklęknałem i przytrzymałem, żeby nie próbowała wstawać. Organizm był w szoku, co nie przeszkadzało mu wypompowywać litrów krwi.

Pośliznąłem się.

Ta dziura w jej brzuchu... wnętrzności... Chryste!

Zachodziłem w głowę, co takiego przydarzyło się Lauren Hunter, ale mój obłąkany zdrowy rozsądek powtarzał w kółko: To samo co Rosy Deighton. To samo co Neilowi Farrisowi. To samo co...

Gdybym myślał inaczej, niepotrzebnie wysilałbym mózgownicę. Coś straszego działo się w Ashborough. A ci przekłęci tubylcy przyjmowali ten fakt równie spokojnie jak ciepły posiłek na kolację.

Musiałem odsunąć te myśli od siebie. W tej chwili najważniejsze było działanie.

Przyszło mi do głowy, żeby przynieść koc z domu, ale tylko zniszczyłbym koc. Nie mogłem jednak pozwolić, żeby tak cierpiała. I musiałem wezwać pomoc, nawet jeśli pani Hunter miałaby umrzeć na długo przed jej przybyciem. Nie ulżyłbym jej w bólu, ale w tej potwornej sytuacji nie miałem innego wyjścia.

Pochyliłem się nad nią.

– Lauren?

Głowa jej zadrzała, zaczęła łapać powietrze jak ryba.

– Aaa... ghhh... pfff...

– Pomogę ci, Lauren, a ty leż spokojnie. Pomoc już jedzie.

Było to najbardziej bezczelne kłamstwo w moim życiu.

Zwróciła głowę w moją stronę, jakby chciała na mnie spojrzeć, chociaż pewności mieć nie mogłem... Wszędzie była krew. Chciałem zostawić Lauren, wrócić do domu, usiąść w jakimś ciemnym kącie i poczekać, aż umrze, ale wtedy wyciągnęła zdrową rękę i złapała mnie za nadgarstek. Z jej gardła dobyło się bulgotanie. Poruszyła językiem, widziałem, jak próbuje wypchnąć zalegającą jej w ustach zgęstniałą krew z flegmą. Uformowała niewyraźne sylaby, obce, dziwne, jakby „dar” i „uug”.

Próbowałem coś z tego zrozumieć, ale z każdą sekundą coraz bardziej mąciło mi się w głowie. Chciałem się wyrwać z krwawego uścisku; bez powodzenia. Trzymała mnie mocno. Odruch bezwarunkowy, jak mówili nam na uniwersytecie Columbia.

Nie uczą takich rzeczy na specjalizacji lekarzy rodzinnych, Michael.

– Izolanci... – wybełkotała, dławiąc się wydzieliną z płuc.

Wytrzeszczyłem oczy. Nie mieściło mi się to w głowie. To słowo wypowiedziała celowo, z rozmysłem, wyraźnie; nie mogło być mowy o pomyłce, przypadku, kaprysie moich przeciążonych zmysłów.

Niemożliwe, Michael. Niemożliwe, żeby naprawdę to powiedziała. Nie. Po prostu ciąg przypadkowych dźwięków zbiegiem okoliczności upodobnił się do słowa, które od dwudziestu czterech godzin bez ustanku kołacze ci się po głowie.

Patrzyła na mnie.

– Co? – wykrztusiłem szeptem.

Kiedy znów się odezwała, jej głos się zmienił. Nabrał mocy i głębi, nie był głosem kobiety w agonii, o krok od śmierci: – Chcą cię dostać... Przyjdą po ciebie...

Oczy uciekły jej w głąb czaszki, odsłaniając przekrwione białka. Kąciki ust opadły jak pociągnięte niewidzialnymi sznurkami.

Cofnąłem się pamięcią o sześć tygodni, do dnia przeprowadzki. Poznaliśmy wtedy Phillipa, który był tak uprzejmy, że zaprosił nas do siebie. Mimo niemiłej przygody z zardzewiałym gwoździem na trawniku przed domem pomyślałem wtedy, że w Ashborough będzie nam się żyło miło i beztrosko. Potem jednak zabłądziłem w domu Deightonów i natknąłem się na Rosy Deighton, z której ust wydobyły się te słowa: „Przyjdą po ciebie, tak jak po mnie i po doktora Farrisa. Przyjdą po wszystkich w tym przeklętym mieście!” A teraz kolejna okaleczona kobieta



udzielała mi podobnego ostrzeżenia. Powiało grozą. W kilka sekund stałem się zupełnie innym człowiekiem: słabym, tracącym rozum, człowiekiem, który musiał zadzwonić do szpitala nie po to, żeby sprowadzić pomoc dla umierającej kobiety, ale żeby pilnie zarezerwować sobie miejsce na oddziale dla osób z zaburzeniami umysłowymi. Solidnie oberwałem i powinienem jak najszybciej oddać się pod opiekę specjalisty.

Ale tylko pochyliłem się nad zakrwawioną Lauren. Z bliska dostrzegłem wyzierającą z rany kość czaszki. Przypominała oko. Odwróciłem wzrok.

– Lauren... Mów do mnie. Chcesz mi coś powiedzieć?

– Christine... – wykrztusiła, przygryzając wargę. Krew trysnęła jak z fontanny.

Boże święty, skąd ona zna imię mojej żony?

Potem puściła mnie i tylko dygotała spazmatycznie. Odskoczyłem i oparłem się o ścianę, patrząc na leżącą na cementowej ścieżce nerkę albo wątrobę, którą zgmiotłem kolanem. Lauren wyprężyła się po raz ostatni, a potem zwiotczała i znieruchomiła. W nozdrza uderzył mnie smród jak z worka zgniłych ziemniaków. Jej oczy zmatowiały.

Nie wiem, jak długo siedziałem oparty plecami o ścianę domu, wiedząc, że ktoś, na przykład moja rodzina, może zjawić się w każdej chwili i zobaczyć tę makabryczną scenę.

Odczekałem, aż mój oddech choć trochę się uspokoi. Dygotałem z zimna, gdy pot stygł mi na ciele. Oczy mi się zamgliły, jakby wszystko otuliła szara mgła. W głowie kręciło mi się jak po jeździe na karuzeli, chwiałem się jak wahadło. Dopadły mnie mdłości.

Zwymiotowałem drugi raz w ciągu dwudziestu czterech godzin. Kiedy pozbyłem się wszystkiego, co miałem w żołądku, położyłem się na ziemi, oparłem głowę o betonową podmurówkę domu i pozwoliłem, aby szarość zmieniła się w czerń.

## ROZDZIAŁ 15.

**K**iedy odzyskałem zmysły, sytuacja wydała mi się tak nierzeczywista i niezrozumiała, jakbym obudził się ze snu we śnie – chociaż wiedziałem, że ten koszmar tak łatwo się nie rozwieje. Brakuje mi słów, aby przekonująco opisać mój stan, ale podejrzewam, że tak musi się czuć narkoman po całonocnym ćpaniu.

Wciąż miałem nadzieję, że lada chwila pod dom zajedzie karetka, ale jak już wiemy, od najbliższego sąsiada dzieli mnie rok świetlny i rację mieli spece od reklamy, zapowiadając pierwszego Obcego: „W próżni nikt nie usłyszy twego krzyku”. Krwawe tornado, które przeszło przez mój mały świat, równie dobrze mogło się wydarzyć gdzieś na Marsie. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał, pomoc nie nadciągała. Nie pozostało mi nic innego, jak wykrzesać z siebie resztki sił i złapać byka za rogi.

Chciałem wstać, ale miałem zawroty głowy: musiałem podeprzeć się o ścianę, zostawiając na niej lepką plamę krwi. Dotarło do mnie, że straciłem przytomność dosłownie na kilka minut, nie dłużej. Spojrzałem na szczątki Lauren Hunter. Stwierdziłem, że jej obrażenia są znacznie poważniejsze, niż w pierwszej chwili sądziłem, chociaż wydawało się to zgoła niemożliwe. Nogi miała całe w ranach, które musiały być śladami po ugryzieniach. Okrągłe odciski zębów, kształtem i wielkością pasowały mniej więcej do szczęk dziecka. Skóra wokół potwornej dziury w tułowiu była poszarpana, co wskazywało na użycie jakiejś prymitywnej broni (albo pazurów). Cztery głębokie, krwawe bruzdy na twarzy zdawały się potwierdzać przypuszczenie, że dosięgła ją uzbrojona w potężne szpony

łapa. Kiedy fascynacja makabrą osłabła i dotarł do mnie faktyczny rozmiar tragedii, cofnąłem się gwałtownie, zerwałem z siebie koszulę i buty i wbiegłem do domu.

W środku było nienaturalnie cicho.

Wziąłem do ręki telefon (zauważyłem, że nie ma żadnych wiadomości na sekretarce; znów ucieszyłem się w duchu, że latem ruch w gabinecie jest niewielki) i wybrałem 0.

Usłyszałem bezbarwny głos telefonistki: – Centrala, słucham.

Odetchnąłem głęboko, próbowałem coś powiedzieć, ale zaschło mi gardle i tylko się rozkaszałem.

– Potrzebuję pomocy – wykrztusiłem w końcu.

– Jakiego rodzaju?

– Jakiego rodzaju? – Wydało mi się dziwne, że o to pyta. Ale chyba po prostu nie myślałem jasno.

– Nie wiem, z kim pana połączyć. Pogotowie? Policja? Straż pożarna?

Dobre pytanie. Na pewno nie straż. Może policja... Nie, przede wszystkim pogotowie.

Zdecydowanie tak.

Rany boskie, czy ja zwariowałem? Jestem lekarzem, do cholery!

– Z pogotowiem proszę – wydyszałem, ocierając pot z czoła.

W słuchawce na chwilę zapadła cisza, a ja wróciłem myślami do umierającej Lauren Hunter i niezwykłych dźwięków, które wydobyły się z jej ust. Po prostu się krztusiła, pomyślałem, a ja wmówiłem sobie, że usiłowała mi powiedzieć o Izolantach i Christine.

Nie mogła tego naprawdę powiedzieć, powtarzałem sobie w myślach.

Łapałem te zdania tkwiące w mojej głowie, jakby ktoś poprzybijał mi je w czaszce pinezkami, pakowałem w myślach do ślicznych pudełeczek i przenosiłem do rzadko odwiedzanego zakątka podświadomości, aby tam

spokojnie się kurzyły – do pokoju, na którego drzwiach wielkimi literami napisano „Wyparcie”.

Słuchawka próbowała wyśliznąć mi się w ręki, więc przycisnąłem ją mocniej do ucha, ale mikrofon podchwycił tylko wzbierający mi w gardle chichot wariata.

– Halo...? Proszę pana? Dobrze się pan czuje?

Słyszałem telefonistkę, ale nie mogłem odpowiedzieć. W dodatku wiedziałem, że ona słyszy, jak się śmieję. Trochę mnie to wytrąciło z równowagi; musiałem objąć się wolną ręką w pasie, żeby nie odlecieć z ziemi, z tego wymiaru egzystencji.

To było po prostu niezrozumiałe rżenie umierającej kobiety. Nic więcej.

– Proszę pana, czy chce pan coś zgłosić?

– T–tak, chciałbym...

– Połączę pana ze szpitalem w Ellenville.

Mijały sekundy. Próbowałem wziąć się w garść, ale wspomnienie usiłującej mi coś powiedzieć Lauren Hunter nie dawało mi spokoju.

Cholera jasna, ona naprawdę do mnie mówiła!

Połączenie zostało przerwane. W słuchawce usłyszałem ciągły sygnał. Poczulem się nagle jak jedyny ocalały człowiek na obcej planecie, któremu nagle jakaś niewidzialna siła odebrała możliwość porozumiewania się z innymi istotami ludzkimi. Serce waliło mi jak młotem, ręce mi się trzęsły. Znów wybrałem 0 i tym razem zgłosił się mężczyzna: – Centrala, słucham.

– Poproszę ze szpitalem w Ellenville.

– Już łączę...

Nie wiedziałem, że cisza może być tak ogłuszająca. Po minucie energicznego zaciskania i rozluźniania pięści, aby pozbyć się skuwającej je

skorupy krzepnącej krwi, usłyszałem sygnał dzwonka. Odebrała kobieta: – Szpital w Ellenville, słucham.

Głos brzmiał oschle. Najwidoczniej oderwałem ją od ważnego zajęcia. Cóż, ma pecha.

– Mówi doktor Michael Cayle z Ashborough. Chciałbym, żebyście przysłali państwo karetkę. Jak najszybciej.

W słuchawce znowu zrobiło się cicho. Słyszałem oddech mojej rozmówczynie na tle ściszonych głosów i dzwoniących telefonów.

– Halo? Jest pani tam? – Nie mogła nie słyszeć ponaglenia w moim głosie. – To jest sprawa życia i śmierci!

– Powiedział pan, że jest lekarzem z Ashborough?

– Owszem. O ile mi wiadomo, jedynym lekarzem w okolicy, do diabła! Coś nie tak?

Usłyszałem szelest przekładanych papierów.

– Pański adres poproszę.

– Harlan Road 17.

– Karetka będzie za dziesięć minut.

– Dziękuję.

Odłożyłem słuchawkę, ale połączenie i tak zostało wcześniej przerwane.

Pomyślałem o tym, żeby zawiadomić koronera, ale nie wiedziałem, gdzie dzwonić: do Ashborough czy Ellenville; był to fatalny moment na uświadomienie sobie faktu, że nie chciało mi się do tej pory sprawdzić nazwisk i telefonów urzędników. Skądkolwiek by przyjechał (i kimkolwiek był), musiałby podać w raporcie przyczynę zgonu, a ja byłem jedynym świadkiem śmierci, której okoliczności zmiotłyby go z nóg jak dwa razy dwa jest cztery.

Zwierzę? Izolant? Zaniknij oczy i przypomnij sobie podręcznik medycyny rodzinnej.

Otwórz na odpowiedniej stronie... Proszę bardzo: przyczyna zgonu – dystopia tanatoplastyczna. Cokolwiek by to miało znaczyć.

Nagle małomiasteczkowe Stany wydały mi się znacznie mniej sielankowe. Każdy urokliwy krajobraz skrywał jakąś mroczną tajemnicę.

Wyrząłem przez okno na leżące przy wejściu zwłoki. Krew była dosłownie wszędzie, także na moim ciele i ubraniu; posprzątanie miało mi zająć większość popołudnia. Po tym jak koroner zabierze ciało, a ja złożę wyjaśnienia na policji.

Policja.

Powinienem był do nich zadzwonić. Chciałem podejść do telefonu, ale coś mnie powstrzymało. Jakiś wewnętrzny głos radził mi tego nie robić. Jeszcze nie teraz.

Poszedłem do gabinetu, przekopałem się przez pudełko z próbkami leków na receptę i wygrzebałem dwumiligramowy xanax. „Głuptak”, jak nazywaliśmy go na studiach.

Spotykaliśmy się po egzaminie w sześć, osiem osób, łykaliśmy xanax i dla odprężenia słuchaliśmy Floydów, żeby na koniec zasnąć na dywanie. Takie ecstazy dla doktorantów.

Zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę, spodziewając się policji albo ekipy z karetki, ale to dzwoniła Virginia Hastings, żeby odwołać wizytę o trzeciej. I bardzo dobrze.

Dziesięć minut minęło, a karetki ani widu, ani słychu. Znowu zadzwoniłem do szpitala, gdzie kazano mi czekać. W nieskończoność.

Nie podobało mi się to.

Rozłączyłem się i wybrałem bezpośredni numer policji; może im się będzie bardziej spieszyło niż ratownikom z Ellenville, bo zanim ci dotrą na miejsce, łysina powiększy mi się o kolejne pięć centymetrów. Połączyłem się z dziewczyną, która – sądząc po głosie – była znudzona i niechętna do

pomocy, a nie po prostu zmęczona ciężkim dniem w pracy. Głosem łamiącym się z nerwów i zniecierpliwienia zgłosiłem zagrożenie ludzkiego życia. Znowu usłyszałem, że zaraz przyślą mi ambulans.

- A może policję? – zasugerowałem.
- Zawiadomię szeryfa z Ashborough.
- Dziękuję – powiedziałem bez przekonania.

Lęk i frustracja narastały. Nerwy miałem w strzępach.

Upłynęło kolejne dziesięć minut i nikt się nie zjawił.

Wyszedłem na dwór. Ciało Lauren pobladło, postępowało stężenie pośmiertne. Krew spłynęła do głowy leżącej na trawie, nieco poniżej chodnika. Twarz przybrała fioletową barwę, z ust i nosa sączyła się ciemna, kleista ciecz. Miałem mnóstwo pytań, na które nie znałem odpowiedzi, ale zaczynałem rozumieć, że wobec braku innych ludzi sam muszę spróbować się zorientować, co tu właściwie zaszło. Gdyby Lauren Hunter zjawiła się w takim stanie w moim gabinecie na Manhattanie, wnioski byłyby oczywiste: wpadła pod autobus (albo pod wagon metra), lub została zmasakrowana przez rozwścieczony tłum (albo przez psy; od czasu do czasu zdarza się, że w Central Parku jakieś pitbulle rzucają się na Bogu ducha winnego spacerowicza z pudlem). Innych ewentualności nikt nie brałby pod uwagę.

Tymczasem w Ashborough, na skraju wielkiego lasu, gdzie w dodatku zdarzały się już niewyjaśnione przypadki okaleczenia ludzi (że nie wspomnę o powtarzanych w okolicy makabrycznych legendach), wszystko było możliwe.

Minęło jeszcze trochę czasu i mimo wścieklej gonitwy myśli trochę przejaśniło mi się w głowie. Nadszedł czas, żeby zaufać instynktowi.

Przyniosłem folię z garażu. Dochodziło południe; minęła już ponad godzina, odkąd pierwszy raz zadzwoniłem po karetkę. Przez ten czas nagrałem się jeszcze na sekretarkę w biurze szeryfa, zadzwoniłem kolejny

raz do Ellenville, na policję, ponownie przećwiczyłem całą rutynę połączeń alarmowych. Nikt nie przyjechał. To przerażało mnie znacznie bardziej niż śmierć Lauren Hunter.

Rozłożyłem folię obok zwłok, nasłuchując, czy ktoś – pacjent, Phillip, ktokolwiek – nie przyszedł mnie odwiedzić. Christine i Jessica jadły już pewnie lunch; należało się spodziewać, że potem wybiorą się jeszcze na zakupy. W dodatku zabrały przecież Page'a, z którym mogły chodzić po sklepach. Mała, spokojna psina nikomu nie przeszkadza i przeciętny właściciel sklepu nie wygoni spaniela, dopóki ten nie zacznie się za bardzo ślinić.

Nie musiałem się więc obawiać, że wcześniej wrócą. Obym miał rację.

Lipcowe słońce waliło mnie po głowie jak młot kowalski. Lauren też nie pomagało.

Nigdy w życiu nie czułem takiego smrodu – intensywnego, dławiącego w nozdrzach jak odór z szamba.

Dopiero teraz zwróciłem uwagę na odciski jej butów. Przyszła w tenisówkach, których płaskie podeszwy zostawiły wyraźne ślady na cemencie. Powiodłem wzdłuż nich wzrokiem aż do narożnika domu, gdzie ścieżka skręcała w lewo i obchodziła werandę od przodu... One jednak nie podążały ścieżką, lecz odbijały w bok, na trawę.

I dalej do lasu.

Po tej stronie domu nie zapuszczałem się w las dalej niż na dwa metry, ale często tam spoglądałem przez okno nad zlewem w kuchni. Ilekroć zmywałem naczynia, mogłem podziwiać kojący widok. Krwawy trop (drugi w ciągu dwóch dni; wyglądało na to, że w tych okolicach nieszczęścia chodzą parami) zdruzgotał tę sielankę jak graffiti na białej ścianie.

Zaczynał też burzyć mój spokój.



Wszedłem między drzewa. Krew była widoczna w paru miejscach na nierównym gruncie, a po jakichś pięciu metrach znikła całkowicie. Spodziewałem się, że będzie jej więcej, biorąc pod uwagę obrażenia Lauren...

Rozejrzałem się, przeszedłem kawałek w lewo, potem w prawo i zobaczyłem nowe ślady krwi. Poszedłem za nimi, przedarłem się przez zakrwawione kolczaste zarośla i wylądowałem na małej polanie.

Znalazłem miejsce zbrodni.

Zrozumiałem, że muszę jak najszybciej sprowadzić policję – ale w głębi serca wiedziałem, że będą się bali przyjechać. Dobrze wiedzieli, co się tu wydarzyło – tak jak wiedzieli o Neilu Farrisie, Rosy Deighton i Bóg wie ilu jeszcze nieszczęśnikach. Nie miałem dowodów na poparcie tego oskarżenia, ale nagle wydało mi się to oczywiste. Stałem jak wrośnięty w ziemię i walczyłem z ogarniającym mnie przerażeniem. Wszystko zdawało się potwierdzać, że wyrządzono tu zło, nawet wyczuwalny w powietrzu chłód, którego popołudniowy lipcowy upał nie był w stanie przyćmić. Paraliżował mnie strach, jakiego wcześniej nawet sobie nie wyobrażałem, a jeśli już, to nie dopuszczałem do siebie myśli, że można go odczuwać inaczej niż w koszmarach sennych. Teraz nagle okazał się całkowicie realny. Miałem do czynienia ze złowieszczym spiskiem na niespotykaną skalę.

Na mającej trzy metry średnicy polance znajdował się kamienny krąg – bardzo podobny do tego, który pokazał mi Phillip, chociaż znacznie niniejszy. Dwadzieścia, może dwadzieścia pięć kamieni – białych, owalnych, wielkości od trzydziestu do pięćdziesięciu centymetrów – ustawiono niezwykle starannie w okrąg, pozostawiając jeden leżący na płask w samym środku. Był we krwi, która ściekała wolno po wyłobieniach w jego powierzchni i zbierała się u podstawy w gęste kałuże.

Kiedy obszedłem kamień dookoła, odkryłem leżący po drugiej stronie poszarpany kawał mięsa, bez wątpienia brakujący fragment tułowia Lauren Hunter. Przywodził na myśl olbrzymiego padlinożernego ślimaka bez skorupy. Schyliłem się i dotknąłem jednego ze stojących kamieni. Na palcu została mi warstewka białego proszku, co dowodziło, że mały krąg nie jest tworem równie starym jak jego większy odpowiednik, lecz całkiem świeżym hołdem złożonym antycznej świątyni.

Suche liście chrzęściły mi pod stopami. Tę polankę także przesłaniały gałęzie i liście gęsto rosnących drzew, utrudniając dopływ wody deszczowej. Miałem ochotę jak najprędzej uciec z tego miejsca, zanim padnę ofiarą klątwy Izolantów. Zataczając się, ruszyłem przed siebie. Mój umysł buksował bezradnie w miejscu, próbując ogarnąć fakt, że wszystko, co się dzieje wokół mojego domu, stanowi część jakiegoś większego planu, a przenikliwy chłód jest ostatecznym katalizatorem złowrogiej intrygi, w którą bezwiednie się wplątałem.

Obiecałem sobie, że gdy tylko Christine i Jessica wrócą, zabiorę je jak najdalej od Ashborough, tego domu i mojej praktyki, jak najdalej od potworności, które regularnie mnie tu spotykają.

Świetny pomysł, Michael. Powiedz mi tylko... Czemu ludzie stąd nie wyjeżdżają? Jak myślisz, nie chcą? Nie przeszkadza im ta makabra? Może po prostu o niczym nie wiedzą?

A może coś ich tu trzyma wbrew ich woli?

Ta ostatnia myśl przyprawiła mnie o lodowaty dreszcz. Utwierdziłem się w przekonaniu, że należy jak najszybciej uciekać z miasteczka.

Wypadłem z lasu, dobiegłem do domu – i dopiero wtedy zauważyłem, że ciało Lauren Hunter zniknęło.

## ROZDZIAŁ 16.

Zdarzają się takie chwile, że coś nas przeraża – bezgranicznie, śmiertelnie; podskakujemy ze strachu, wrzeszczymy rozpaczliwie, serce próbuje nam wyskoczyć z piersi, skóra marszczy się od gęsiej skórki, krew wrze, oczy wychodzą z orbit, oddech przyspiesza, w głowie zaczyna się kręcić, a oczy zachodzą mgłą. Coś ściska nas w piersi, zawał jest coraz bliżej, spoconymi dłońmi łapiemy się za pierś i modlimy do Jezusa, żeby ocalił nas od ogni piekielnych i wiecznego potępienia, czyhających na końcu tunelu jak gęsta czarna chmura, której zbawienne światło nie jest w stanie rozproszyć.

Potem jednak strach mija i wracamy do życia przepelnionego miłością i usłanego różami, do świata, w którym wszystko jest po staremu. Zostają nam tylko mętne wspomnienia. Twierdzenie, że czegoś się przestraszyliśmy, kwitujemy wzruszeniem ramion, wzniesieniem oczu ku niebu albo lekceważącym chichotem.

Pięknie.

Ale jest jeszcze inny strach, czysty strach. To coś zupełnie innego. Mało kto go przeżywa i może o nim opowiedzieć. Czuje się go w chwili, gdy uświadamiamy sobie, że nasz samolot nieodwołalnie pikuje ku ziemi i została nam ostatnia minuta życia, w której można co najwyżej modlić się, aby Stwórca uznał, że wiedliśmy przykładowy żywot i mimo wad zasługujemy na czerwony dywan przed perłowymi wrotami. Strach czysty odczuwamy w tym ułamku sekundy, kiedy już straciliśmy kontrolę nad samochodem, a jeszcze nie zderzyliśmy się z latarnią; a także we

wszystkich tych chwilach, kiedy śmierć jest pewna i pozostaje nam pogodzić się z myślą, że nawet nie zdążymy się pożegnać z rodziną.

Pierwszy raz w życiu doświadczyłem takiego uczucia. Ale przeżyłem i mogę o nim opowiedzieć.

Po czymś takim człowiek się zmienia. Zrozumiałem to w tej samej chwili, gdy zobaczyłem zakrwawiony chodnik, na którym pięć minut wcześniej leżały zmasakrowane zwłoki Lauren Hunter. Nagle stałem się innym człowiekiem. Mój umysł przeszedł nieodwracalnie w nowy tryb pracy, w którym zawsze już miałem oglądać świat przez ponury, szary filtr; mój zdrowy rozsądek tonął w mętnej kałuży, a układ nerwowy pływał w sztormowym morzu.

Ktoś zabrał ciało, tak jak w nocy ktoś musiał zabrać martwego jelenka – to wydawało się oczywiste. Poza kałużą w miejscu, w którym leżała Lauren, więcej krwi nie było.

Zniknęły nawet wnętrzności – pewnie ten, kto zabrał trupa, upchnął je najpierw z powrotem w brzuchu. Ale tym, co mnie przeraziło, nie była wcale świadomość, że ktoś mnie obserwuje (co do tego nie miałem cienia wątpliwości) i wciąga w jakiś odrażający rytuał śmierci. Nie; dopiero to, co znalazłem na ziemi tuż obok kałuży krwi, sprawiło, że poczułem się, jakbym spojrzał śmierci w oczy.

Ślady stóp. Nie były to odbite w krwi podeszwy tenisówek Lauren Hunter. Nie były to również moje ślady; dla pewności spojrzałem w stronę drzwi, gdzie odstawiłem buty przed wejściem do domu. Stały na swoim miejscu. Odcisków było dużo, jakby koło domu przeszło stado zwierząt. Wyglądały trochę jak ślady pozostawione przez gady, które miały długie, spiczasto zakończone palce i kręte bruzdy na podeszwach. Palców miały pięć, co jest cechą typową dla istot dwunożnych, w szczególności dla ludzi.

Stopy były jednak małe; ich właściciele nie mogli mieć więcej niż metr dwadzieścia wzrostu.

Przypomniało mi się, co mówił Phillip na spacerze w lesie: „Podkradł się do głazu z drugiej strony. Na początku zobaczyłem tylko rękę: długie, spiczaste palce złapały oposa jak lalkę”.

– Jezus, Maria... – wyszeptałem.

Czyżby jednak mówił prawdę?

Pytań przybywało z każdą chwilą, ja zaś wiedziałem, że nigdy nie poznam na nie odpowiedzi. Czego oni ode mnie chcą? „Zwierzę musi być żywe, żeby można je było złożyć w ofierze”.

– Boże...

Pomyślałem o łani i o Lauren, niedwuznacznych wskazówkach, czego mogą ode mnie chcieć.

Może chcieli mi ułatwić zadanie? Dlatego mnie wyręczyli. Czy to możliwe?

Zmusiłem się do spojrzenia na zegarek. Pół do drugiej. Czas pędził jak szalony.

Mogłem nie sprzątać, na pewno łatwiej by mi było przekonać rodzinę do pospiesznej wyprowadzki, nie chciałem jednak, żeby taki obraz został w pamięci mojej żony i córki.

Ale folia... Boże, folia też zniknęła. Teraz dopiero to zauważyłem. Nie wiedziałem, co porwało zwłoki, ale najwyraźniej umiało się posłużyć płachtą, żeby ułatwić sobie zadanie.

Wciągnąłem buty i pobiegłem do garażu po wąż ogrodniczy. Przykręciłem go do kranu za domem, przełączyłem dyszę na najsilniejszy strumień i tak długo spłukiwałem krew, aż rozcieńczona wsiąkła w ziemię i trawę. Po kwadransie wszelkie ślady wizyty Lauren Hunter zostały zatarte, jakby wcale do mnie nie przyszła.

Zrzuciłem przemoczone buty, wróciłem do domu i znowu zadzwoniłem pod numer ratunkowy. Nikt nie odpowiadał. Niewiele wskórałem też na policji. Telefonistka kazała mi czekać, co trwało tak długo, że albo miałem dość, albo coś mnie rozłączało. Znowu przemknęło mi przez głowę słowo „spisek”, ale towarzyszyło mu również słowo „paranoja”.

W tych okolicznościach miałem prawo się niepokoić, ale cały czas powtarzałem sobie, że przecież nie jestem w Nowym Jorku, tylko na prowincji, gdzie nie wszystko działa tak sprawnie, jak jestem przyzwyczajony. Może pomoc była już w drodze? Nie straciłem jeszcze całkiem nadziei, chociaż niewiele mi jej zostało. Spodziewałem się, że kiedyś tam, już po mojej ucieczce z tego domu wariatów, policja zbada sprawę zniknięcia Lauren Hunter i dowie się, że była umówiona na wizytę u miejscowego lekarza, który nagle i bez uprzedzenia wyniósł się w cholerę z miasta. Wtedy pod domem zjawią się tłumy ludzi z dochodzeniówki, którzy znajdą mikroskopijne resztki krwi Lauren na trawie i ścianach, a ja trafię na listę przestępców poszukiwanych przez FBI i pokazywanych w telewizji. Pięknie, kurwa, pięknie.

Co robić?

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła trzecia. Chodziłem w tę i z powrotem wokół domu. Adrenalina dawała mi siłę, o jaką nigdy bym się nie podejrzewał. Tak musi się czuć zwierzę zamknięte w klatce: uwięzione, pozbawione możliwości ucieczki. Jakby mi ktoś związał ręce i nogi. Właściwie równie dobrze mógł mnie też zakneblować. Musiałem czekać na powrót żony i córki, ale wiele bym dał, żeby nie musieć czekać właśnie tutaj – w moim nowym, pięknym, popieprzonym domu.

## ROZDZIAŁ 17.

**W**róciłem do domu i zacząłem krążyć między kuchnią a salonem, rozmyślając o masie krwi i odbitych w niej śladach. Jeszcze kilka razy zadzwoniłem po pomoc – wiedziony już tylko siłą przyzwyczajenia, bo przecież wiedziałem, że na wszelką pomoc jest za późno. Na brak reakcji służb ratunkowych w Ashborough zareagowałem w jedyny sensowny sposób: zamaskowałem ślady zbrodni. Cały czas miałem duszę na ramieniu i nic się w tej kwestii nie zmieniło, dopóki Christine i Jessica nie wróciły.

Co nastąpiło trzy godziny później.

Zdażyłem się przez ten czas trochę spakować. Wybrałem co cenniejsze rzeczy, biżuterię, trochę ubrań, jedzenie. Wszystko, co niezbędne. Ale niepotrzebnie się wysilałem.

Gdy tylko samochód zajechał przed dom, wiedziałem, że tego dnia nigdzie już nie pojedziemy.

Zamiast naszego minivana na podjazd wtoczył się rozklekotany dodge pick-up, prowadzony przez barczystego faceta w bejsbolówce z reklamą piwa. Kierowca wyszczerzył do mnie zęby w uśmiechu i dotknął palcem daszka czapki, kiedy wyszedłem na werandę.

Byłem tak zaskoczony, że mało nie spadłem ze schodków. Christine wysiadła z szoferki, postawiła na ziemi Jessicę, którą trzymała na kolanach, wzruszyła ramionami i wybuchnęła płaczem. Pick-up wycofał się na drogę i odjechał.

Zamierzały wrócić znacznie wcześniej, ale miały wypadek i zamiast przyłapać mnie na spłukiwaniu z chodnika resztek Lauren Hunter, Christine musiała stawić czoło swojej tragedii. Wyjeżdżała właśnie z parku Beaumonta na Main Street, zastanawiając się, co zrobi na kolację, kiedy przed maskę wyskoczyło jej jakieś zwierzę. Nie potrafiła powiedzieć jakie – było wielkości psa, ale smuklejsze, bardziej podobne do małpy.

– Pewnie pies – skwitowałem jej słowa.

Wzruszyła ramionami, nie podnosząc głowy. Twarz miała mokrą od łez.

– Po chodniku biegł jakiś człowiek. Nie zauważyłam go. Straciłam panowanie nad kierownicą, próbowałam skręcić, żeby nie potrącić tego... psa. Ale nie dałam rady.

Przejechałam go. Samochód podskoczył, straciłam panowanie nad kierownicą, auto stanęło w poprzek, przeskoczyło krawężnik i... uderzyło w tego człowieka. – Rozpłakała się na dobre. – Ja go zabiłam!

Wiedziałem, że się nie myli – z jej twarzy można było wyczytać całą wstrząsającą prawdę – ale mimo to próbowałem ją pocieszyć.

– Nie masz pewności, Chris...

– Uderzyłam go i widziałam... widziałam, jak poleciał na trawnik przed czyimś domem. Jakby go ktoś wystrzelił z armaty! Przeleciał dziesięć, piętnaście metrów i uderzył w drzewo... głową. Twarzą, Michael. To było takie... nierzeczywiste... – Jeszcze więcej łez. – Jego głowa... jego głowa...

Jessica spoglądała na nas oboje zdezorientowana, z oczami pełnymi łez. Ona też to wszystko widziała, w kolorze i ze szczegółami. Zastanawiałem się, co byłoby gorsze: pierwszy trup tam, na ulicy, czy potem kolejny przed domem. Przyciągnąłem małą, a ona wtuliła się w moją nogę, przerażona nie tylko tym, co się wydarzyło, ale także wywołaną strachem wrogością, jaką emanowała Christine. Chciałem nawet odesłać ją do domu, żeby poczekała, aż tatuś z mamusią wszystko sobie wyjaśnią, ale nie wiedziałem, jakie



jeszcze potworności nas czekają. Położyłem jej więc rękę na ramieniu. Chwyła ją mocno i objęła mnie w pasie. Christine mówiła dalej, szlochając bez przerwy: – Michael... – wyjąkała. – On uderzył głową w drzewo... Jego głowa eksplodowała, rozumiesz? Ja to widziałam! Leżał tak chyba z minutę, a ja nie mogłam się ruszyć. Stałam i patrzyłam, jak się wykrwawia. Zanim zawołałam o pomoc, ktoś już wybiegł z domu.

– Ktoś... – powtórzyłem tępo. Byłem w szoku. – I co zrobili?

– Nic, Michael! Nic nie zrobili, kurwa! – Cała się trzęsała. – Wyglądali jak...

nienormalni, jak roboty, bezmyślne automaty. Te ich twarze... Były całkiem bez wyrazu, puste, oczy szkliste, usta otwarte. Było ich czworo, ale w ogóle nic nie mówili, ani do mnie, ani między sobą. Jeden przyniósł koc. Rozłożył go na trawie obok tego człowieka, którego potrafiłam. Podnieśli go za ręce i nogi i położyli na tym kocu. Ale on już nie żył, Michael, jestem pewna; ciało było bezwładne, leciało im przez ręce. Przykryli go tym kocem i zanieśli do domu. Nie zamknęli drzwi. Powinnam była wejść za nimi, ale nie mogłam. Byłam przerażona, a oni dodatkowo mnie wystraszyli tym dziwnym zachowaniem, jakby w ogóle mnie nie zauważyli. No i nie chciałam, żeby Jessica oglądała to... to...

Zabrakło jej słów i padła mi w ramiona, płacząc głośno.

– Chris... A policja przyjechała?

Serce waliło mi jak kafar, pot lał się ze mnie strumieniami. Cokolwiek odpowiedziałaby Christine, wyjaśniałoby to brak reakcji policji na moje telefony.

Pokiwała głową wtuloną w moją mokrą koszulę.

– Przyjechało dwóch gliniarzy. To wszystko. Kazali mi złożyć zeznanie, a potem mnie puścili. Samochód jest do kasacji, więc go skonfiskowali...

Skonfiskowali.

– A karetka?

Pokręciła głową.

– Nie przyjechała.

– Kazali ci dmuchać w alkomat? Pytam o gliny...

– Nie.

Coś mi tu nie pasowało.

– Jak to możliwe, że samochód jest do kasacji? Przecież tylko potrąciłaś człowieka...

Tylko potrąciłaś człowieka... Jezu Chryste! Czy gdybym miał wszystko w porządku z głową, wygłaszałbym takie bezduszne komentarze?

Odpowiedziała mi serią nieartykułowanych wrzasków, a ja miałem dość rozumu, żeby przestać wypytywać o samochód (którym miałem zamiar uciec!). Jessica też się rozpląkała i ścisnęła mocniej moją nogę.

– A co z Page'em, mamusiu?

Page! Na śmierć zapomniałem o naszym psie!

– Gdzie pies, Chris?

Odsunęła się ode mnie i podniosła głowę. Twarz miała zaczerwienioną, błyszczącą od łez, jej oczy błędziły niespokojnie.

– Kiedy otworzyłam drzwi, wyskoczył z samochodu... Po tym, jak potrąciłam tego biegacza. Wołałyśmy go i wołałyśmy, ale nie wrócił.

W obecnej sytuacji sam najchętniej zrobiłbym to samo: uciekł i nie wracał.

– Pan policjant powiedział, że będą się za nim rozglądać – dodała Jessica.

Powiodłem wzrokiem po trawniku przed domem, przeskoczyłem Harlan Road i napotkałem ścianę lasu. Miałem nadzieję, że nasz mały cocker-spaniel nagle się odnajdzie, wybiegnie spomiędzy drzew; przynajmniej

rozbawiłby Jessicę i odwrócił jej uwagę od tragedii. Page się jednak nie zjawił, a ja pogodziłem się z myślą, że więcej go nie zobaczymy.

Poczułem się osaczony i odsunąłem się od Christine. Mimo naszych okropnych przeżyć i utraty samochodu w tej chwili tylko jedna myśl zaprzętała mi głowę: jak przekonać żonę, że powinniśmy jak najszybciej wyjechać z Ashborough? Może ta trauma obudzi w niej chęć do opuszczenia tego miejsca, tak jak moje przeżycia obudziły we mnie? Modliłem się w duchu, żeby tak właśnie było, ale w głębi serca wiedziałem, że nic z tego.

Schowałem ręce do kieszeni i wbiłem wzrok w ziemię; mój umysł ślizgał się po wzburzonym morzu nerwowych myśli. Śmierć była w Ashborough wydarzeniem zupełnie zwyczajnym – i nie były to zgony ludzi z grup wysokiego ryzyka, źle odżywiających się, z chorobami serca czy rakiem piersi. Nie, śmierć występowała tu w rzadko spotykanej odmianie: krwawe zabójstwa, wstrząsające wypadki, rytualne mordy i tak dalej, i tym podobne. W dodatku wyglądało na to, że mieszkańcy tolerują – żeby nie powiedzieć: akceptują! – ten stan. Przypomniał mi się Phillip i jego historie o Izolantach, ponure legendy o składanych przez nich ofiarach. Nagle idea ciężącej na Ashborough prastarej klątwy, której nie można się przeciwstawić, wydała mi się znacznie bardziej wiarygodna. Zresztą to nie wszystko, pomyślałem, wspomniawszy opowieść Christine o zachowaniu ludzi, którzy przyszli po zabitego współmieszkańca. I o policjantach, którzy zwolnili ją po zadaniu paru zdawkowych pytań. I o braku karetki na miejscu wypadku.

„Zwierzę musi być żywe, żeby można je było złożyć w ofierze”.

Zdanie wypowiedziane przez Phillipa dręczyło mnie jak źle strzeżona tajemnica. Nie ono samo zresztą. Nie dawały mi spokoju niewypowiedziane na głos implikacje tego stwierdzenia. Przypomniałem sobie, jak patrzył mi

wtedy w oczy, jakby mówił: „Zapamiętaj moje słowa, Michael. Pewnego dnia ocalą ci życie”.

Wypowiedział te słowa z namaszczeniem, jakby po każdym chciał postawić kropkę.

Pomyślałem o łani, którą znalazłem w szopie; całkiem możliwe, że ktoś podrzucił ją tam, abym ją znalazł. I Lauren Hunter, śmiertelnie okaleczona i podana mi na betonowym półmisku w taki sposób, abym nie miał wątpliwości, jak powinienem się zachować. Ale ja...

nie zrobiłem tego, czego ode mnie oczekiwano. Nie zdałem tego sprawdzianu. Łania umarła, Lauren również. Martwe nikomu do niczego się nie przydadzą.

„Zwierzę musi być żywe, żeby można je było złożyć w ofierze”.

Tak oto zaprzepąściłem dwie kolejne szanse spełnienia swojego obowiązku.

Co będzie dalej, Michael? Co teraz?

Christine wzięła Jessicę na ręce. Obie przestały już płakać i wpatrywały się we mnie jakby w oczekiwaniu cudu, po którym dzień zacząłby się od nowa.

– Więc samochód... Do niczego się nie nadawał? – spytałem.

Christine pokręciła głową.

– Cały przód zmiażdżony, przebite obie lewe opony. To się musiało stać, kiedy przejechałam to zwierzę.

– Widziałaś je?

– Co czy widziałam?

– To potrącone zwierzę.

Przed oczami stanęły mi ślady odbite w krwi na chodniku.

– Nie bardzo... – odparła z wahaniem Christine. – Mignął mi taki nieduży kształt, chudy, niezgrabny...

– Jak szybko jechałaś?

Wbiła wzrok w swoje stopy i postawiła Jessicę na ziemi.

– Idź do domu, kochanie, proszę cię.

W pierwszym odruchu chciałem ją powstrzymać, ale się nie odezwałem. Jessica wolno przeszła podjazdem, weszła na werandę i tam się zatrzymała, patrząc na nas.

Przeniosłem wzrok na Christine, żeby przedstawić jej mój plan ucieczki z Ashborough, kiedy ona postanowiła mi chyba wyszarpać nowy otwór w tyłku.

– Posłuchaj mnie, Michael – powiedziała. – Posłuchaj uważnie. Twoja ciężarna żona wraca do domu po wypadku samochodowym, a tobie nawet przez myśl nie przejdzie zapytać, jak się czuje, czy nic się jej nie stało i czy z córeczką wszystko w porządku. Nie, ty wolisz stać jak kołek i wypytywać mnie o ten pieprzony samochód i o to, czy nie jechałam za szybko, jak jakiś palant z biura szeryfa w Ashborough. Mogłam zostać ranna, mogłam zginąć, albo jeszcze gorzej: mogły mnie porwać te pieprzone zombiaki, kiedy wylazły z tego swojego domu jak z grobowca, żeby zabrać trupa. Miałam fatalny dzień, Michael, i nie zamierzam dłużej o nim rozmawiać. Jeżeli chcesz sobie pogadać o samochodzie, dzwoń do warsztatu w Ellenville, bo tam będzie najbliższe dwa tygodnie.

Odeszła szybkim krokiem. Na werandzie wzięła Jessicę za rękę i spojrzała na mnie przez ramię.

– Jess idzie się wykąpać – oznajmiła. – Potem ja wezmę prysznic i położę się spać.

Dobranoc, Michael.

Jeszcze się nawet nie ściemniło.

– A kolacja?

– Nie jestem głodna.

– Co z samochodem?! – zawołałem, kiedy znikła w domu.

Trzasnęły drzwi, brzęknął krowi dzwonek pod okapem. Wróciłem do domu. Kiedy przeszedłem przez próg, Christine była już w połowie schodów. Jej buty walały się w salonie jak dwie zapomniane pacynki.

– Jak zamierzasz poruszać się po okolicy bez samochodu? – spytałem.

Zatrzymała się i odwróciła od mnie.

– Wcale, Michael. To chyba oczywiste.

## ROZDZIAŁ 18.

Christine dotrzymała słowa: godzinę później leżała już w łóżku; pewnie nawet jeszcze nie spała, ale porozmawiać się z nianie dało. Tę godzinę, którą ona i Jess przeznaczyły na kąpiel, spędziłem na wyglądaniu przez okna. Wypatrywałem Page'a, złotych światełek oraz istot, które zabierają trupy spod mojego domu. Zobaczyłem tylko gęstniejący mrok i garstkę świetlików, które drażniły mnie migotaniem.

O dziwo, zrobiłem się głodny (właściwie nie powinienem się dziwić, skoro wyrzygałem śniadanie i przegapiłem lunch). Zjadłem kilka pszennych krakersów z masdamerem; darowałem sobie niedojedzony przez Christine pasztet – myśl o zjedzeniu mięsa niespecjalnie mnie rajcowała. Napilem się herbaty i poszedłem do gabinetu, żeby odsłuchać wiadomości. Prawdę mówiąc, po tym co się stało, kompletnie zapomniałem o swojej pracy i szczerze się zdziwiłem, że mam poumawianych jakichś pacjentów. Okazało się, że cała zapisana na popołudnie trójka, poczynając od Virginii Hastings, odwołała wizyty.

Drżałem, słuchając ich nagranych na sekretarce głosów. W głowie kołatały mi stale te same dwa słowa: spisek i paranoja. Miałem przecucie, że nie po raz ostatni tak mnie dręczą.

Obszedłem cały dom i z obsesyjną starannością zamknąłem wszystkie drzwi i okna.

Potem sprawdziłem je jeszcze raz, wyglądając, na wszelki wypadek, na dwór. Znalazłszy się w pokoju Jessiki (nie było jej w łóżku), przypomniałem sobie, jak mówiła, że boi się duchów, i nagle jej lęk przestał

mi się wydawać irracjonalny. Czyżby wiedziała więcej ode mnie? Czy powinienem był posłuchać ostrzeżenia?

Przez łazienkę przemknąłem do sypialni. Było ciemno, drewniane żaluzje skutecznie odcinały dopływ gasnącego dziennego światła. Spojrzałem na skuloną pod przykryciem Christine. Nie wiem, może tylko udawała, że śpi (podobnie jak leżąca obok niej Jessica), ale zostawiłem je w spokoju. Pozamykałem okna, starając się nie poruszyć żaluzji, i na palcach wyszedłem do przedpokoju.

Wróciłem na parter z mocnym postanowieniem znalezienia jakiegoś środka transportu, który pozwoliłby nam wydostać się z Ashborough, jeśli nie od razu, wieczorem, to najpóźniej następnego dnia rano.

O ile dożyjemy rana...

Pogasiłem wszystkie światła w domu oprócz lampy w kuchni, ale i ją przyćmiłem, żeby poświata nie sięgała poza kuchenny stół. Usiadłem przy nim, otworzyłem książkę telefoniczną i zadzwoniłem do jedynej wymienionej w niej korporacji taksówkowej z siedzibą w Ellenville, dwadzieścia kilometrów od Ashborough. Dyspozytorka – młoda dziewczyna (sądząc po głosie), która przedstawiła mi się jako Jean – była uprzejma przez całą rozmowę, dopóki nie powiedziałem, że chcę zamówić taksówkę do Ashborough. W tym momencie zawahała się i powiedziała: – Przykro mi, proszę pana. Dzisiaj dyżurują tylko dwa wozy i oba muszą zostać w Ellenville.

Złożyłem apelację, ale została oddalona. Super.

Firm wynajmujących samochody nie znalazłem nawet w Ellenville. Najbliższe lotnisko leżało sto pięćdziesiąt kilometrów na południe od Ashborough, a lotniskowe minibusy kursowały tylko do najbliższego miasta. Może jakiś autobus? Tak, jasne...



Moja jedyna szansa na wydostanie się z miasteczka czekała pięć minut drogi od domu, Phillip Deighton.

Zegar wybił ósmą. Wypełniające cichy dom dźwięki kuranta wydały mi się nagle złowieszcze. Czekałem – całą wieczność! – aż ucichną, po czym zadzwoniłem do Phillipa.

Odebrał po trzecim dzwonku. Po drzeniu w jego głosie poznałem, że płakał. Tuż przed telefonem układałem sobie w głowie z tuzin pytań, którymi zamierzałem go zasypać: co wie o Izolantach; kim naprawdę są i czy mogą być odpowiedzialni za piekło w moim życiu, w szczególności za podrzucenie mi rannej łani. Albo może na początek powiedziała by mi, co naprawdę przytrafiło się Rosy?

A przy okazji, Phil... Mogę pożyczyć twój samochód? Bo wiesz, ja stąd spadam. Mam dość tego wariatkowa.

Nie udało mi się zadać nawet pierwszego pytania.

– Phillip...?

Szloch. Pokasływanie. Zawsze przykro mi słyszeć, jak dorosły mężczyzna płacze, a jako lekarz trochę się tego nasłuchałem. Szczególnie bolesne było to w wypadku Phillipa, który może i miał przede mną jakieś ponure tajemnice, ale był moim przyjacielem. Jedynym, jakiego miałem.

– Nie, Michael, w porządku – powiedział. – Cieszę się, że dzwonisz.

– Co się stało?

– Chodzi o Rosy...

– Źle się czuje?

Pobożne życzenia. Domyśliłem się, zanim mi powiedział. Obstawiałem ulubioną rozrywkę mieszkańców Ashborough.

– Nie żyje.

Jego głos zabrzmiał oschle i mechanicznie, w jednej chwili przestałem w nim słyszeć łąy. A potem cisza zawisła między nami... No, nie taka

całkowita, bo chrapliwy oddech Phillipa rozbrzmiewał w słuchawce jak rytmiczne zakłócenia, sącząc mi się do głowy.

– Boże, to straszne – powiedziałem, żeby przerwać milczenie. – Jak to się stało?

Znowu zapadła cisza, a ja miałem nadzieję, że tym razem jakieś objawienie każe Phillipowi przemówić.

– Michael... Musimy porozmawiać.

Zinterpretowałem to jako zaproszenie, a także coś w rodzaju łatwego, wstydliwego zwycięstwa: nareszcie miałem usłyszeć jakieś odpowiedzi, a fakt, że Rosy Deighton musiała umrzeć, aby do tego doszło, chwilowo niezbyt mnie interesował. Przez ubiegłą dobę doktorek zobojeźniał na przeciwności losu i przyjął formę przetrwalnikową. Można było albo działać, albo umrzeć. I teraz nastał czas działania.

– No to... rozmawiajmy.

– Nie przez telefon.

– Ja się nie ruszę z domu, Phil.

Mówiłem serio.

– Przyjdę do ciebie.

Chciałem się nie zgodzić, ale darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. Znalazłem się na skraju otchłani, a jedyny promyczek światła gasł mi w oczach. Phillip był moją ostatnią nadzieją. Dawno temu, na zajęciach poświęconych analizowaniu Biblii, uczono mnie: „Wypełniaj wolę Jego, a znajdziesz zbawienie”. Phillipowi trochę do Niego brakowało, ale dla mnie był w tej chwili Jego najlepszą namiastką.

– Dobrze – zgodziłem się. Miałem wrażenie, że słyszę swój głos dobiegający gdzieś z daleka.

Czy Phillip Deighton będzie miał dla mnie jakieś odpowiedzi? Wcale nie czułem się bezpiecznie na myśl o wpuszczeniu go do domu. Jeszcze przed

chwilą chciałem, żeby mi pomógł – teraz obawiałem się, że sprowadzi na mnie nowe nieszczęście.

Odłożyłem słuchawkę, ale Phillip i tak pierwszy się rozłączył. Wszedłem na werandę, żeby tam na niego poczekać. Ciemność wchłonęła resztki dnia, gruba warstwa szarych chmur nie przepuszczała ani odrobiny księżycowego światła. Zapaliłem lampę na Werandzie. Kiedy dziesięć minut później zjawił się Phillip, wokół światła trzepotał już rój ciem.

Widząc, jak ze zboląłą miną idzie po podjeździe, zrozumiałem, że za wszelką cenę chciał się wyrwać z domu, w którym umarła Rosy. To był odruch. Po prostu chciał się znaleźć jak najdalej od tego miejsca. Wiedziałem również, że tragedia może go pchnąć do desperackich kroków. Jeden: powiedzieć wszystko Michaelowi. Dwa: pożegnać się z nim.

Trzy: płytka woda w wannie i radio podłączone do prądu. Już do ciebie idę, Rosy, to nie potrwa długo.

Spoglądał na przemian to na mnie, to na chrzęszczący mu pod nogami żwir. Był ubrany w dżinsowe spodnie i kurtkę, na głowie miał przekrzywioną bejsbolówkę Czerwonych Skarpet. Wszedł na werandę, zdjął czapkę i podniósł głowę. Oczy miał opuchnięte, twarz szarozieloną jak igliwie sekwoi. Nogi się pod nim ugięły i omal nie upadł na schodkach.

Musiałem złapać go za rękę i posadzić na ratanowym fotelu. Pokręcił głową, ocierając pot z czoła.

– Tak bardzo cierpiała... Ale to im nie wystarczyło. Musieli mi ją zabrać.

– Kto, Phil? O kim mówisz?

– Dobrze wiesz, o kim mówię.

Szlochał, jąkał się, głos miał zdarty jak papier ścierny. Nie patrzył mi w oczy.

– Izolanci...

Pokiwał głową. Dopiero teraz znowu na mnie spojrział.

– Wierzysz mi, Michael, prawda?

Nie odpowiedziałem.

– Co się stało, Phil?

– Przyszli w nocy – odparł po chwili wahania. – Jak zwykle zamknąłem wszystkie okna i drzwi, ale oni tak jak poprzednio jakoś dostali się do domu. Oni się niczym nie różnią od szczurów czy karaluchów, Michael. Nie mają uczuć, nie wiedzą, co to litość. Znają tylko popędy. Instynkt. Kiedy czegoś chcą, po prostu przychodzą i biorą i nic ich nie powstrzyma, nawet zamknięte drzwi.

Pomyślałem o stalowych drzwiach zainstalowanych przez Farrisa: tych do poczekalni i do biblioteki. Wymieniłem je w tydzień po przeprowadzce. Teraz zaczynałem tego żałować.

– Wczoraj w nocy przyszli po Rosy. Dostali się do środka, nie pytaj jak, i porwali ją z łóżka. A ja się nie zorientowałem. Jezus, nic nie wiedziałem, dopóki nie obudziłem się rano i nie zobaczyłem, że jej nie ma!

Przygryzłem dolną wargę. Przełknąłem twardą, piekącą gulę w gardle. Psiakrew, wierzyłem mu. Nie chciałem, ale wierzyłem! Mimo to musiałem go jakoś podejść, sprawdzić, rzucić podkręconą piłkę.

– Jesteś pewien, że nie wstała po prostu z łóżka i gdzieś nie poszła? Skąd wiesz, że ją porwali?

– Porwali? A czy ja powiedziałem, że ktoś ją porwał, Michael? Nie, porwali ją za pierwszym razem... I sam widziałeś, w jakim stanie wróciła, cała pokąsana. Żaden lekarz ze szpitala w Ellenville nie chciał jej pomóc. Wiedzieli, na co by się narazili. Bogu niech będą dzięki za Neila Farrisa, Panie świeć nad jego duszą. Zaopiekował się moją Rosy... Chociaż dziś zastanawiam się, czy było warto. Męczyła się przez pięć lat, żyła w ciągłym strachu. A Neil zapłacił za to, co zrobił.

– Czyli nie zagryzł go pies?

– Nie, nie. – Phil zamknął oczy i zakaszłał. – To oni go zabili. Tak jak teraz moją Rosy.

– Mówiłeś, że zabrali ją z łóżka.

– Tak...

– I zabili.

– Tak.

– To gdzie jest ciało?

Podniósł wzrok. Wzrok miał pusty, spoglądał gdzieś ponad moim ramieniem, jakby zobaczył stojącą za moimi plecami Śmierć, która przysłuchiwała się naszej rozmowie.

– Nie ma ciała. Zabili ją... w sypialni, kiedy spałem. A potem ją zabrali, zawsze tak robią.

Łania zniknęła. Lauren Hunter zniknęła...

Mimo wszystkiego, co widziałem, słyszałem i przeżyłem, nadal nie potrafiłem do końca uwierzyć Philowi. Oto mechanizm wyparcia faktów.

– Powiedz mi coś, Phil. Jeżeli nie znalazłeś zwłok, to skąd wiesz, że Rosy nie żyje?

Może się mylisz? Może jeszcze gdzieś ją znajdziemy?

Pokręcił przecząco głową, a potem zrobił coś, co odebrało mi mowę.

Patrząc mi prosto w oczy, sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął foliową torebkę zamykaną na plastikowy suwak. W środku znajdowała się para ludzkich oczu i kępka pozlepianych krwią siwych włosów.

Zatoczyłem się na barierkę. Byłem wstrząśnięty i zde gustowany nie tylko samą zawartością torebki, ale także zachowaniem Phillipa, który wymachiwał mi nią przed oczami jak jakimś eksponatem na wystawie dziwolągów. Znienawidziłem go, bałem się go, jego widok budził we mnie odrazę. Odetchnąłem głęboko. Powiał wiatr; lipcowy zefirek wydał mi się zimny i wilgotny, w dodatku niósł jakąś paskudną woń, jakby gnijących

owoców. Phillip schował torebkę do kieszeni (jej krwawa zawartość mlasnęła cicho), a ja śledziłem jego ruchy jak urzeczony. Złożył ręce na kolanach i zaczął się kołysać w fotelu.

Znów poczułem znajomy już strach i przez chwilę zastanawiałem się, czy Christine wyobraża sobie chociaż w przybliżeniu prawdziwą naturę grożącego nam niebezpieczeństwa.

Wątpiłem w to. Spojrzałem na pogrążony w mroku dom; światło osamotnionej kuchennej lampy ledwie sięgało do frontowych drzwi. Meble w salonie przypominały czające się w półmroku zjawy, nieruchome i ociężałe. Na piętrze spała moja rodzina, nieświadoma zagrożenia. Nie miały pojęcia, jaki koszmar kryje się pod pozorami szczęśliwego życia w Ashborough. A ja musiałem im go uświadomić, zanim wszyscy padniemy jego ofiarą.

Nawet jeśli uda ci się przekonać Christine, że tutaj grozi wam niebezpieczeństwo, jak zamierzasz wyjechać, nie mając samochodu?

Phillip.

– Phil?

Nie odpowiedział, nawet nie podniósł wzroku. Wyglądał tak żałośnie, że na dobrą sprawę powinien jak najszybciej trafić do szpitala.

– Nie mam powodu, żeby dłużej żyć, Michael. Znów ich zawiodłem i teraz będą mnie prześladować aż do dnia, w którym uznają, że nadszedł mój czas. Mam przerąbane, Michael.

Przerąbane.

Nie od dziś, staruszk, nie od dziś...

Kręciło mi się w głowie, więc oparłem się mocniej o barierkę.

– Dlaczego powiedziałaś, że „znowu ich zawiodłeś”? – zapytałem, chociaż przeczuwałem, jak brzmi odpowiedź.

Pamiętałem, co mi wtedy opowiadał w lesie, o tym, jak zabrali mu córkę i jak potem skrzywdzili Rosy.

Wtedy też ich „zawiódł”.

W końcu zerknął na mnie. Wyglądał jak żołnierz, który cudem ocalał z wojennego piekła, z zapadniętymi policzkami i martwymi oczami.

– Mówiłem ci o tym, kiedy poszliśmy wtedy do lasu. Kiedy pokazałem ci ich świątynię. – Zawahał się. – Wszyscy mieszkańcy Ashborough muszą złożyć ofiarę Izolantom. Żywą ofiarę.

Znowu to samo. Te słowa mnie prześladowały, a teraz, słysząc je z jego ust, omal nie padłem trupem na miejscu.

– Wszystko ci wtedy powiedziałem – ciągnął. – O legendzie i o tym, jak stara pani Zellis przed laty wyjawiała mi prawdę. Wtedy to był jej obowiązek, tłumaczyć mieszkańcom, jakie prawa obowiązują w Ashborough. Teraz już nie, jest stara i zmęczona... Od dobrych dwudziestu lat. Teraz my się tym zajmujemy, mieszkańcy. Jako twój najbliższy sąsiad miałem obowiązek nakłonić cię do złożenia ofiary. Nie udało mi się. Nie zrobiłeś tego. Za karę zabrali mi Rosy.

– To ty podrzuciłeś mi łańcuch do szopy, tak?

Phillip pokiwał głową. Spuścił wzrok. Wydał mi się pokonany i zawstydzony.

– Tego małego też. Domyślałem się, że wziąłeś mnie za wariata; trudno było mieć do ciebie pretensję po tym, czego ci naopowiadałem. Na twoim miejscu też bym tak pomyślał.

Mimo to musiałem cię jakoś przekonać, że złożenie ofiary jest konieczne. Gdybym po prostu w kółko ci to powtarzał, uznałbyś mnie za kompletnego świra i zerwałbyś wszelkie kontakty ze mną i Rosy. Rozumiesz, o co mi chodzi? Od starego Phila lepiej trzymać się z daleka, facetowi brakuje piątej klepki. Ale wiedziałem, że jeśli zasieję w twojej

głowie ziarno niepewności, może zakiełkuje; może zaczniesz rozważać ideę ofiary i potraktujesz poważnie moje ostrzeżenie. Nie udało się.

– Zamknąłeś jelenia w mojej szopie, bo miałeś nadzieję, że zawlokę go na kamień ofiarny.

– No tak... Musiałem spróbować.

– A co z tą kobietą, Phil? Ty ją do mnie przysłałeś?

Głos nagle zaczął mi drżeć, stał się niepewny, jakby nie mój. Bałem się, że usłyszę odpowiedź twierdzącą.

To by przepełniło czarę. Mój sąsiad jest nie tylko wariatem, ale na dodatek mordercą...

Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Jaką kobietą?

– Lauren Hunter, jedną z moich pacjentek. Mieszkała we wschodniej części miasteczka. Została zmasakrowana w lesie koło mojego domu, a potem wyzionęła ducha, czołgając się do moich drzwi. Wykrwawiła się na śmierć. Nie zdążyłem sprowadzić pomocy.

– Kiedy to się stało?

– Dzisiaj.

Z niedowierzaniem pokręcił głową i ukrył twarz w dłoniach.

– To oni... Chcieli sprawdzić, czy złożysz ją w ofierze. Oni nie żartują. – Zawahał się. – Zabrali ciało?

Serce zaczęło mi się tłuc o żebra.

– Tak... Łanię też.

Skinął głową.

– W ten sposób dają ci do zrozumienia, że straciłeś tę szansę i powinieneś przygotować się na następną. Na Boga, Michael! – Podniósł głos. – Złóż ofiarę jeszcze dzisiaj, teraz, w nocy, zanim przyjdą po Jessicę albo Christine!



Targały mną różne uczucia – strach, gniew, frustracja, przemieszane w paskudny koktajl. Złapałem Phillipa za kołnierz.

– Niech cię diabli! Dlaczego nie ostrzegłeś mnie zaraz po przeprowadzce?!

Zwiotczał, jakbym trzymał w rękach worek owsa. Puściłem go. Osunął się na fotel.

– Byłeś taki przyjacielski, zaprosiłeś nas na lunch, chociaż od początku wiedziałeś, że ja i moja rodzina znaleźliśmy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie... Ty pieprzony oszuście!

– Nie mogłem ci powiedzieć! – krzyknął. Oddychał szybko i płytko, zniżył głos, jakby uświadomił sobie, że nie powinien budzić moich dziewczyn. – Oni wiedzą, co się dzieje, Michael. Podśłuchują nas... kiedy chcą. Nie pytaj, jak to robią: może mają superczuły słuch, może radio, a może szósty zmysł... Nie wiem. Gdybym powiedział wtedy cokolwiek, co można by zinterpretować jako ostrzeżenie, mogliby zabić mnie albo Rosy. Zrozum... Nie mogłem, nie wtedy. To dlatego wykierowałem cię do sypialni na piętrze. Myślałem, że może widok Rosy naprowadzi cię na trop zła, które tu mieszka.

Ochłonąłem. Pokiwałem głową. W mojej głowie pojawiały się obrazy: Neil Farris, Rosy Deighton, Lauren Hunter. Nie żyją. Wszyscy nie żyją.

– Rzeczywiście, zastanawiałem się, co się jej stało. Przyszło mi do głowy, że nieszczęście, które spotkało Neila Farrisa, mogło mieć to samo źródło. Zacząłem składać w całość elementy układanki, ale cały czas myślałem raczej o dzikim zwierzęciu, które zaatakowało ich oboje. I w sumie miałem trochę racji... – Przygryzłem paznokieć. – Widzisz... Rosy coś mi wtedy powiedziała.

Phil spojrzał na mnie pytająco.

– Powiedziała, że przyjdą po mnie, tak jak przyszli po Farrisa i po wszystkich w tym przeklętym mieście. To jej słowa.

– Próbowала cię ostrzec. Nie musiała tego robić. Źle skończyła.

– I ta moja pacjentka, Lauren... Tuż przed śmiercią też powiedziała, że po mnie przyjdą. I jeszcze jedno, Phil... Wiedziała, jak ma na imię moja żona. Musiała mnie sprawdzać. Nie wspominałem jej o Christine.

Phillip pokręcił głową. Oczy miał szkliste od łez, pochlipywał cicho.

– Trochę miesza mi się w głowie, zresztą nawet jakbym myślał klarownie, nie wiedziałbym, co o tym sądzić, ale... Może ta twoja pacjentka coś wiedziała, a może...

– Może co?

– Może ich podsłuchała.

– Źe co? Jak to podsłuchała? Żarty sobie robisz?!

Nagle usłyszałem szelest wśród drzew, dobiegający mniej więcej z tego miejsca, w którym została zamordowana Lauren. Spojrzałem w tamtym kierunku, mrużąc oczy. Powiał wiatr, dziwnie chłodny i niosący słabą woń gnijących roślin – bardzo nieprzyjemną, może nawet szkodliwą. Serce łomotało mi w piersi z taką siłą, jakby lada moment miało pęknąć.

Odwróciłem się do Phila, który wsparł się mocno na podłokietnikach i wstał. Włożył z powrotem czapkę. Z kieszeni kurtki sterczał mu różek plastikowej torebki.

– Muszę wracać do domu, Michael – powiedział, strzelając oczami w bok, w stronę lasu. Paranoja: oto żywy przykład jej działania. – Nie wiem, ile mi zostało.

Było widać, że chce jak najszybciej sobie pójść.

– Phil... – Chwila prawdy: działaj albo giń. – Christine miała dziś wypadek... Nasz samochód... Szukałem jakiegoś innego środka transportu,

ale nic z tego. Posłuchaj, Phil... Chcę stąd uciec. Teraz, zaraz. Weźmy twój samochód, wsiądźmy do niego wszyscy i spieprzajmy z tej dziury.

Co parę słów odruchowo zerkałem w kierunku lasu.

(Paranoja).

Teraz też tam są? Patrzą? Podśledzają?

Phillip zaśmiał się z niedowierzaniem, głośno, jak szaleniec. Przestał płakać, ale jego członki podrygiwały jak po porażeniu słabym ładunkiem elektrycznym. Tak jakby odkrył nagle, że ma pod ubraniem pół mrowiska. Chwiejnie zszedł z werandy i odwrócił się do mnie.

– Widziałeś kiedyś, żebym prowadził, Michael?

Cholera jasna... Nie, nie widziałem. Sam zresztą też niewiele jeździłem, odkąd zamieszkaliśmy w Ashborough. Zwykle to Christine robiła zakupy i wozila Jessicę do miasta albo do parku. Nie licząc lunchów z Deightonami, dom przy Harlan Road opuściłem dosłownie parę razy, głównie przy okazji krótkich wypadów do miasta z Christine i Jessica.

Raz byłem w szkole, kilka razy w sklepie z narzędziami, raz u fryzjera... Poza tym zachowywałem się jak typowy lekarz z domową praktyką, własnym gabinetem i wspaniałą biblioteką, którą mogłem się do woli rozkoszować. Zawsze tego chciałem.

Tak, psia mać, właśnie tego.

Pokręciłem głową.

– Od czterech lat nigdzie nie jeżdżę. Nie pozwalają mi. I wygląda na to, że tobie też nie pozwolą.

Phil odwrócił się do mnie plecami i ruszył w stronę drogi.

– Christine potrąciła psa – powiedziałem bez przekonania, również schodząc z werandy. – Odzyskamy samochód za...

Co ona powiedziała? Że ile to potrwa?

Phillip doszedł do końca podjazdu, zanim odwrócił się i krzyknął: – Mam dla ciebie przykrą wiadomość, Michael. Nie zobaczysz już swojego samochodu.

Serce podeszło mi do gardła. Chciało mi się płakać i pewnie bym się rozryczał, gdyby nie złość, która wezbrała we mnie jak fala przyływu.

– Wal się, Phil! Miałem cię za przyjaciela. Wykorzystałeś nas, dupku, a teraz mamy tak samo przerażane jak wszyscy w tym pieprzonym mieście!

– Przykro mi, Michael... Chciałbym ci pomóc, ale nie jestem w stanie pomóc nawet samemu sobie.

Ruszyłem w jego stronę.

– Mam to gdzieś, odejdę stąd na piechotę. Dwadzieścia kilometrów do Ellenville? Nie ma sprawy. Tam znajdę kogoś, kto mi pomoże.

Nerwy mi puszczały. Czuję, jak buksują mi zębaki w mózgu. Nie zatrzymując się, Phillip odkrzyknął: – Nikt ci nie pomoże ani tam, ani tutaj.

– Przystanął i pokazał na las. – Poza tym nie ujdiesz daleko. Chyba już wiesz, że Neil Farris wcale nie poszedł pobiegać? Chciał stąd odejść, tak jak wielu innych. Nie pozwolili mu.

Stałem jak wryty, sparaliżowany widmem porażki.

– Wal się – mruknąłem. Nie wiedziałem, czy mnie usłyszysz, ale nie miało to żadnego znaczenia.

Zaczął truchtać w stronę domu. W świetle latarni rzucał potężne cienie.

– Żegnaj, Michael – zawołał jeszcze i się rozpłakał.

Odprowadziłem do wzroku, a potem gapiłem się w las, słuchając płaczu, dopóki Phillip nie zniknął za zakrętem drogi, sto metrów od mojego domu.

## ROZDZIAŁ 19.

**K**ilka godzin później coś mnie obudziło. Szczekanie psa. Na dworze. Otworzyłem oczy i stwierdziłem, że śpię w łóżku Jessiki, drugą noc z rzędu.

Wspomnienia miałem trochę mgliste, tak jakby moja podświadomość próbowała zepchnąć w cień obfitujący w nieprzyjemne wydarzenia dzień. Jednak wizja umierającej Lauren prześladowała mnie jak duch, jakby jej poraniona dusza wśliznęła się ze mną do pościeli i tuliła się do mnie, aby przeszyć mnie chłodem do szpiku kości.

Natychmiast przypomniał mi się Phillip i to, jak mnie zdradził, aby chronić siebie i swoją rodzinę. Od początku odgrywał wyznaczoną rolę w spisku. Bez względu na to, czy w lesie żyli przedstawiciele pradawnej ludzkiej rasy, czy po prostu kryła się w nim banda obłąkanych fanatyków (co nagle wydało mi się bardziej sensowne), musiałem zadbać o siebie i swoich bliskich, a to oznaczało jak najszybszą wyprowadzkę.

Wróciłem do domu. Nie zamierzałem się kłaść. Groza sytuacji nie pozostawiała mi wyboru: musiałem czuwać, kiedy moi najbliżsi smacznie śpią, nieświadomi grożących im niebezpieczeństw. W końcu jednak mój organizm się poddał i wbrew swojej woli padłem na łóżko Jessiki. Oparłem jeszcze brodę na parapecie, żeby wyglądać przez okno, ale zobaczyłem tylko cienie rozkołysanych drzew, a potem zasnąłem.

Nie pamiętam, czy coś mi się śniło, ale szczekanie psa musiało się przebić do mojego zaspanego mózgu. Półprzytomny usiadłem na łóżku. Otoczenie wydało mi się dziwnie niematerialne, jakbym ocknął się pod

hipnozą. Lalki na biurku Jessiki, ciemne i niewyraźne, wyglądały jak krzaki w lesie. Podczołgałem się do okna i wyjrzałem na dwór. Na trawniku leżał Jimmy Page i gapił się prosto na mnie. Znowu zaszczekał, zerwał się na równe nogi i podbiegł bliżej domu.

Odrzuciłem koc i spuściłem nogi z łóżka. Podłoga, choć drewniana, była zimna w dotyku; dreszcz przeszedł mi po kręgosłupie. Na podłodze, tuż przy moich stopach, leżała główka jednej z lalek: ta sama, która odpadła już kilka dni wcześniej. Wpatrywała się we mnie dwie szklistymi kulami oczu. Nastroszone rude włosy przywodziły na myśl czułki polipa. Zamrugła raz, potem drugi, trzeci i kolejne, rytmicznie wystukując cichy rytm: klik–klik, klik–klik. Nie było przeciągu (zamknąłem wszystkie okna), nie mogłem więc tłumaczyć ruchu powiek powiewem wiatru. Spojrzałem na półkę: jedna z lalek rzeczywiście nie miała głowy. W równym rzędku była luka, której wcześniej nie zauważyłem. Zamknąłem i przetarłem oczy, a kiedy je otworzyłem, główka zniknęła i wróciła na swoje miejsce, na plastikowy korpusik, do którego należała.

To sen, Michael. Ty śniesz.

Page znowu zaszczekał. Słyszałem go z daleka, z pogłosem, ale... Dźwięk brzmiał zdumiewająco czysto jak na rozbrzmiewający we śnie. Wyszedłem z pokoju. Czuję się, jakbym unosił się kilka centymetrów nad podłogą. Moje ciało wydawało mi się ciężkie i niezgrabne, poruszanie się wymagało sporego wysiłku. Schodziłem po schodach po jednym stopniu; dywanik kłuł mnie w stopy, mimo że wrażenie szybowania nad ziemią wcale nie osłabło. Mocno trzymałem się poręczy. Pierwszy raz śniłem sen, który był tak... rzeczywisty.

Wszedłem do kuchni, potem do przedpokoju (z nowymi i niezbyt solidnymi drewnianymi drzwiami) i poczekalni. Z zewnątrz dobiegało ujadanie Page'a, który dopominał się, żeby go wpuścić. Otworzyłem drzwi

i nasz spaniel faktycznie tam był, ale zamiast przesadzić próg jednym susem, odskoczył o dobre trzy metry, obejrzał się na mnie i znów zaczął szczekać. Wiedziałem, o co mu chodzi; już wcześniej się tak zachowywał, jakby mówił: No chodź, tatuśku. Chcę ci coś pokazać.

Wyszedłem na zewnątrz i mało nie potknąłem się o własne buty, wciąż mokre po tym, jak po południu próbowałem je umyć pod szlauchem. Włożyłem je i przeszedłem po trawie do miejsca, w którym zatrzymał się Page. Zaszczekał na mnie i popędził do szopy (do szopy) gdzie znowu przystanął. Pewnie chciał sprawdzić, czy za nim pójde. Podszedłem bliżej. W słabym blasku księżyca dostrzegłem strużki świeżej krwi na jego pyszczku. Miał też krew na łapach i tułowiu. Przełknąłem dławiącą grudę w gardle i zatrzymałem się półtora metra od szopy.

Drzwi były uchylone. Wyciągając szyję i wykręcając głowę próbowałem zajrzeć do środka i przebić wzrokiem ciemność. Drzwi drgnęły. Z początku zachybotały się tylko, pewnie poruszone wiatrem, a potem, bardzo wolno, otworzyły się szerzej. Zardzewiałe zawiasy zgrzytały przy tym potępieńczo jak sfora duchów w nawiedzonym domu.

Usłyszałem dźwięk. Szuranie.

Z szopy... coś... wychodziło.

Najpierw zobaczyłem głowę. Potem korpus.

To była łania.

Ale nie jakaś łania. To była ta łania.

Stała tuż za progiem, ze strzaskanym łbem, czarną plamą krwi na szyi, nagimi żebrami widocznymi jak narysowane kredą linie i zwisającymi z brzucha wnętrznościami, które wyglądały jak świeżo obrany owoc.

Rozejrzałem się. Dookoła panowała martwa cisza – nie śpiewały ptaki, umilkły cykady, nawet Page siedział cicho i tylko patrzył na mnie błagalnie, a księżyc lśnił mu na umazanej posoką mordce.

Łania zmartwychwstała, z niewiadomych, przerażających powodów. Łypnęła na mnie ocalałym okiem (po drugim został tylko czarny otwór jak gnijąca dziura w brzoskwini), i kulejąc, ruszyła w głąb lasu. Page zaskomlał i podreptał za nią. Stałem nieruchomo, patrząc na parę zwierząt idących obok siebie jak animowane postacie z jakiejś koszmarnej kreskówki.

Obejrzały się na mnie. Czekwały. Czekwały, aż pójde za nimi.

Poszedłem.

O dziwo, nie czułem strachu – i szybko zorientowałem się dlaczego. To był sen.

Martwe zwierzęta nie chodzą, a już na pewno nigdzie by mnie nie próbowały prowadzić; tego nie robią nawet żywe. No, może Page'owi się zdarzało... Teraz jednak zachowywał się inaczej, miał w sobie coś niepokojąco ludzkiego, co utwierdzało mnie w przekonaniu, że leżę sobie spokojnie w łóżku, pod przykryciem, i tylko gałki oczne śmigają mi pod powiekami na wszystkie strony.

Dziwnie podekscytowany ruszyłem w ślad za zwierzętami przez las. Jeleń popędził na złamanie karku. Page ponaglał mnie szczekaniem, więc przyspieszyłem kroku. Od czasu do czasu zatrzymywał się i czekał na mnie. Przemykaliśmy wśród drzew. Łania pojawiała się jak zaczarowana, czasem tuż obok mnie, czasem w większej odległości, po czym znikwała równie szybko, jak wcześniej się zmaterializowała, jakby coś wymazywało jej obraz z mojej pamięci.

Zastanawiałem się, dlaczego właściwie istoty ze snów tak często stosują tę sztuczkę... Może nasza podświadomość realizuje jakiś nadrzędny plan, może kieruje nią niepojęty system, który przy innych okazjach każe nam wracać nago do szkoły, spóźniać się na egzaminy (do których w dodatku nie jesteśmy przygotowani) albo lądować w supermarkecie, gdzie przy odrobinie szczęścia możemy w alejce między półkami puknąć ładniutką



kasjereczkę. Na niektóre pytania po prostu nie ma odpowiedzi. To było jedno z nich.

Page i jeleni zwiększali tempo, a ja goniłem ich jak po sznurku. Sen był piekielnie realistyczny; pod butami wyraźnie czułem jeżynowy gąszcz, gałązki, korzenie, ziemię. Nocny wiatr chłodził moje odsłonięte ręce i nogi. W którymś momencie zahaczyłem głową o zwieszającą się nisko gałąź sosny i igielki zakłuły mnie boleśnie w czoło.

Mimo że całkiem trzeźwo myślałem i kontrolowałem sytuację, wcale mi się ten sen nie podobał. Powtarzałem sobie, że z takich snów można się obudzić w dowolnej chwili, wystarczy spróbować... Próbowałem więc, ale bez powodzenia. Za to po nieudanych próbach ogarnął mnie lęk. Sen nie zamierzał wypuścić mnie ze swoich objęć, dopóki się nie obudzę, bo wtedy będę mógł go zbyć pogardliwym prychnięciem. Modliłem się więc o nadejście świtu i o przebudzenie. Nie chciałem biec za jelenim zombi i moim małym cocker–spanielem do kamiennego kręgu, świątyni Izolantów. Do miejsca, w którym nie chciałem się znaleźć ani na jawie, ani we śnie.

Zwierzę musi być żywe, żeby można je było złożyć w ofierze.

Nie miałem jednak wyboru – jak mucha złapana w pajęczą sieć. Mój los musiał się dopełnić. Biegając za parą zwierząt, czułem się jak prowadzony na smyczy. Pokonywałem znajome górki i dołki, zagłębiając się coraz bardziej w las. Odległość wydała mi się zbliżona do tej, którą pokonałem na jawie na spacerze z Phillipem. Podobnie wyglądał też teren – w paru miejscach natrafiłem na bardzo miękkie, grząskie grunty, błoto mlaskało mi pod stopami.

Drzewa wznosiły się nad moją głową jak wieżowce.

W podobnym czasie jak podczas przechadzki z Phillipem dotarłem do kręgu dębów i wiekowych białych monolitów. W tej samej chwili ogarnął mnie – znowu! – czysty strach.

Uderzył mnie jak burza piaskowa, jak huragan potężny i nieustępliwy. Świat zawirował mi przed oczami. Na Boga, czy wyjdę z tego żywy?

Widok był zbyt makabryczny, aby mógł być prawdziwy; musiałem sobie przypomnieć, że śnię po prostu wyjątkowo realistyczny sen. Oto ona, ofiara mordu w pełnej krasie: Rosy Deighton. Leżała na wznak na wielkim głazie pośrodku kręgu. Wyciągnięte nad głową ręce zwisały z kamienia, a czubki palców dotykały ziemi. Podarta w strzępy koszula nocna odsłaniała poharatany tułów i widoczne organy wewnętrzne. Strużki księżycowego blasku sączyły się przez listowie i odbijały się w jej oczach, upodabniając je do dwóch srebrnych klejnocików. Nigdy w życiu nie czułem się tak rozbity. Widok wyprutych wnętrzności był dla mnie nie mniejszą udręką niż widoczne na ciele Rosy stare blizny.

Nagle uświadomiłem sobie, że nie jest to zwykły sen, lecz potworna, makabryczna trauma, zniewalająca i odbierająca wolną wolę. To była prowokacja, kpina ze mnie, mojej wiedzy i zawodowego doświadczenia, które nie pomogły mi ocalić Rosy Deighton. Ani Lauren Hunter. Ani, jak sobie ze zgrozą uświadomiłem, mojej rodziny.

Powiała cicha bryza, rozsuwając gałęzie nad polaną. Ohydna poświata zalała ofiarny kamień. Błyszczące w niej monolity rzucały długie cienie.

Page i Łania stanęli przy głazie. Figlarny cocker–spaniel wskoczył na górę, ulokował się między nogami Rosy i wpakował jej pysk prosto w otwartą jamę brzuszną. Łania szczeknęła krótko. Page podniósł łeb i wyszczerzył na mnie zęby. Złocista sierść kleiła mu się do ciała. Zdawała się fosforyzować, chociaż przybrała szary odcień z czarnymi smugami krwi.

Zeskoczył z kamienia.

Rosy Deighton się poruszyła.

Najpierw jedna ręka, wyłamana ze stawu barkowego i zwisająca luźno jak kawałek sznura, zadygotała, szarpnęła się w przód i opadła na pierś. Potem Rosy przewróciła oczami w wypełnionych krwią oczodołach; szkarłatne łzy spłynęły po policzkach. Z ust – przerażającej czarnej jamy – wypłynęła mieszanina płynów ustrojowych. Rosy, gulgocząc, usiadła gwałtownie, nienaturalnie jak pociągnięta za sznurki marionetka i spojrzała na mnie.

Czysty strach nagle wydał mi się bajką... Przerazenie, jakie odczułem, nie miało granic. Wezbrało we mnie i wypełniło mnie. Czuję, jakbym miał implodować, ale wtedy też dotarło do mnie, że cały horror zacznie się od początku, bo przecież w snach się nie umiera.

W chwili śmierci człowiek się budzi.

Obudziłem się więc... w środku snu. Nie dane mi było wrócić na jawę, dopóki zaplanowany scenariusz nie zostanie odegrany do samego potwornego zakończenia.

Rosy stoczyła się z głazu jak popychana przez duchy. Z ziemi wzbił się obłoczek kurzu wokół niej. Tylko jej głowa miotła się na boki, a z gardła dobywał się nieludzki charkot.

Michael...

Kobięcy głos wypowiedział moje imię. Brzmiał miło, słodko, łagodnie, ale miał w sobie coś widmowego, pogłos dowodzący jego nieziemskiego pochodzenia.

To tylko głos we śnie, głos we śnie...

Spojrzałem w prawo, bo stamtąd dobiegał, i musiałem zatkać sobie usta pięścią, żeby nie krzyknąć. Sądząc po tym, że policzki miałem całe mokre, musiałem już dłuższą chwilę płakać, nie zdając sobie z tego sprawy. Stałem oko w oko z nowym koszmarem, zbyt strasznym, by móc go znieść.

Lauren Hunter stała za jednym z monolitów. Połowę twarzy – tę odartą ze skóry – pokrywała jej zakrzepła krew. Włosy przypominały pozlepiany filc. Uśmiechała się jak obłąkana; śmiertelny grymas zastygł jej na twarzy, odsłaniając szczękające teraz zęby.

Powłócząc nogami, wyszła zza kamienia. Wlokła za sobą jelito, które niczym wąż wiło się po ziemi i znikło za głazem, zasuszone, oblepione patykami, liśćmi i grudkami ziemi.

Chwiejnie szła w moją stronę, z wyciągniętymi rękami, stężalym uśmiechem i głową kolebiącą się groteskowo na boki. Nie ma to jak oklepany frazes: ona naprawdę wyglądała jak szmaciana lalka.

Mój rozum bronił się resztkami sił i próbował zaprzeczać zmysłom. Zamknąłem oczy.

W tamtej chwili nie miałbym nic przeciwko temu, żeby wylądować na golasa w mojej starej szkole i przed całą klasą bzykać się z kasjerką z supermarketu.

Otworzyłem oczy.

Lauren nie zniknęła.

Była coraz bliżej. Uśmiechała się i wyciągała do mnie ręce. Z otwartej rany w jej tułowiu unosiły się smużki zielonkawego dymu.

Otworzyłem usta do krzyku. Nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Stanęła w miejscu, jakby zaskoczona moją nieudaną próbą obudzenia się. Już się nie uśmiechała.

– Zwierzę musi być żywe, żeby można je było złożyć w ofierze.

Drgnęła i się zachwiała. Przewróciła oczami, odsłaniając brudnobiałe, jakby zaropiałe białka.

Spojrzałem na kamień w środku kręgu. Page stał na nim z wywieszonym jęzorem i dyszał ciężko. Podeszedłem do niego i opadłem na kolana na miękką, wilgotną ziemię. Lauren Hunter również zbliżyła się do głazu i

padła na ziemię obok zwłok Rosy Deighton. Jeleń znowu zrobił tę swoją sztuczkę ze znikaniem, ale one obie wpatrywały się we mnie. Lauren, mimo że leżała na ziemi, patrzyła prosto przed siebie, Rosy zerknęła na mnie z ukosa, nie mogąc odwrócić głowy. U obu dostrzegałem oznaki współczucia (tak w każdym razie podpowiadała mi wyobraźnia), ale ich spojrzenia wyrażały przede wszystkim zgodę. Mogłem zaczynać to, co musiało się skończyć tragicznie.

Chciało mi się krzyczeć, ale nawet nie próbowałem. Wiedziałem, że nic z tego nie będzie.

– Zrób to – ponagliła mnie Lauren.

Rosy też coś powiedziała i choć nie rozumiałem słów, przekaz był czytelny.

Nadeszła chwila, aby złożyć ofiarę Izolantom. Dłużej nie mogłem się migać.

To tylko sen, tylko sen, tylko sen...

– Zwierzę musi być żywe podczas składania ofiary. W przeciwnym razie ty i ci, których kochasz, będziecie skazani na zagładę.

Wiatr pochwycił groźbę Lauren i wepchnął mi ją do płuc; poczułem na języku zgniły aromat jej oddechu.

Spojrzałem na psa. Psa Jessiki. Mój umysł stawiał opór.

Zrób to, Michael. Posłuchaj ich i gra się skończy, sen również, a ty obudzisz się w swoim łóżku, ciesząc się pięknym porankiem i mając cały dzień na ucieczkę z Ashborough.

Pogłaskałem Page'a. Krew oblepiła mi dłoń.

Drugą ręką złapałem go za kark. Nie stawiał oporu.

Ścisnąłem.

Mocno.

Mocniej.

Przycisnąłem mu łeb do kamienia.

Poczułem, jak kości się przemieszczają, a czaszka trzeszczy. Coś ciepłego pociekło mu z pyska.

Odwróciłem wzrok. Nie potrafiłem być świadkiem swojej zbrodni.

Mój Boże...

Co jest, do diabła...

Między drzewami dostrzegłem złote światełka. Były ich setki, w różnej odległości, migotały wśród drzew i zarośli.

Wpatrując się w nie, uderzałem głową Page'a o kamień, raz za razem, aż światełka i cały świat rozplynęły się w paskudnym szarym wirze.

## ROZDZIAŁ 20.

– Mamo!

Słyszając głos Jessiki, rzeczywisty jak mało które wydarzenie w moim życiu, odruchowo pomyślałem, że to tylko kolejny sen. Nowy koszmar. Słyszałem również inne odgłosy, szcęk naczyń, chrrobotanie plastiku...

– Chodź do mnie, kochanie... Nie wychodź na dwór.

To Christine wołająca córkę. Otworzyłem oczy, ale cały czas zakładałem, że śnię: równy oddech, plamki słońca na ścianach, wpatrzone we mnie lalki w pokoju Jessiki. Byłem równie czujny i przytomny jak w nocy, kiedy rozpocząłem swoją podróż.

Przeciągnąłem się. Czuję się jak pływak wynurzający się z głębokiego basenu. Blask rzeczywistości nasilał się z każdą chwilą, gdy zmierzałem ku rozmięgotanej powierzchni.

– Mamo! Ja chcę iść szukać Page’a!

Głos Jessiki, głośny, wyraźny, dobiegający z parteru, z okolic schodów, przebił się przez powierzchnię snu. Nie spałem. To nie było złudzenie. Na wszelki wypadek poleżałem nieruchomo jeszcze z pięć minut, przysłuchując się rozmowie żony i córki, przesączaającej się do mojej budzącej się świadomości.

Myślałem o Page’u.

To był tylko sen, zwariowany, porąbany sen.

Bardzo mi się to podobało – mały pozytyw w świecie, który eksplodował negatywami.

Kłopot w tym, że te negatywy wcale nie zniknęły. Nie dało się o nich zapomnieć.

Doleciał mnie zapach jedzenia: jajka, bekon, smażone ziemniaki. Zaburczało mi w brzuchu. Mimo niespokojnych myśli (i piekielnego bólu głowy) uśmiechnąłem się. Pewnie Christine po swoim wyciągała do mnie rękę na zgodę. Ja dzień wcześniej zrobiłem to samo, próbując zasypać wyrwę w naszym związku. Ciepły, smaczny posiłek sprawi mi wielką radość i przyda się, zanim przekażę dziewczynom wiadomość, że wyjeżdżamy z Ashborough – natychmiast, nie oglądając się na brak samochodu.

Neil Farris... nie żyje.

Lauren Hunter... nie żyje.

Rosy Deighton. Nie żyje.

Jimmy Page... Nie żyje?

– Mogę obudzić tatusia? – zapytała Jessica. – Pomoże mi szukać Page’a.

– Nie mamy samochodu, kwiatuszku – przypomniała jej Christine. – Został w warsztacie. Ale nie martw się, Page wróci. Jak tylko tata się obudzi, razem pójdziemy go szukać.

Spojrzałem na okno. Lalki były w komplecie, żadnej nie brakowało główki, a słońce wdzierało się przez szpary w żaluzjach, tnąc podłogę i ściany na paski. Na zegarze dochodziła dziewiąta; najwidoczniej Christine uznała, że pozwoli mi dzisiaj dłużej pospać. Wieczorem wcześniej się położyły i pewnie zerwały się o świcie, żeby pozająlatwiać różne babskie sprawy.

Zastanawiałem się, czy nie mam umówionego jakiegoś pacjenta, ale kompletnie się tym nie przejmowałem. Christine chyba również nie. W



każdy inny dzień byłbym na nią wściekły i okazałbym to. Ale dzisiaj... Wszystko się zmieniło, prawda? Sprawy przybrały inny obrót.

Nie mogłem marnować czasu ani energii na złość siebie. Miałem nowy, ważniejszy cel: zapewnić rodzinie bezpieczeństwo.

Usłyszałem chrząknięcie Christine, szczęk naczyń, kroki u stóp schodów.

– Michael? Chyba ktoś puka do poczekalni.

Cholera jasna! Więc jednak jest jakiś pacjent. Będzie musiał poczekać.

– Christine? Wyjrzyj przez okno w kuchni i powiedz, żeby poczekał z dziesięć...

Spojrzałem na swoje ręce i zaniemówiłem.

Całe były we krwi.

Coś ścisnęło mnie boleśnie w gardle, oddech stał się przyspieszony i płytki, serce szarpało mi się w piersi jak okładany pięściami worek bokserski. Spanikowany, z zaciśniętymi szczękami i mrowiącą skórą odrzuciłem koc. Jezu... Smugi krwi, wszędzie na beżowej satynie. Spuściłem wzrok.

Grube włosy poprzyklejały mi się do zakrwawionych rąk jak muchy do lepu, powłaziły pod paznokcie.

Psia sierść.

Jezus, Maria... Ja umieram. To chyba zawał.

Kula strachu wystrzelona z żołądka zaczęła mnie dławić w gardle. Świat rzeczywisty przybrał nową tożsamość, złożoną z elementów, które przeniknęły z moich koszmarów.

Złapałem w palce jeden włos i obejrzałem go pod światło. Brązowy, zakrwawiony.

Włos Jimmy'ego Page'a.

To był dobry moment, żeby się wycofać, naciągnąć na głowę brudną pościel i czekać, aż obłąd do reszty zawładnie moim umysłem. O ileż łatwiej byłoby mi dalej żyć w kaftanie bezpieczeństwa i pokoju o miękkich ścianach.

– Słyszysz mnie, Michael? Pod drzwiami stoi jakaś starsza pani. Pewnie twoja pacjentka. Przyszła na wizytę.

Nie odpowiedziałem. Nadal nie mogłem wykrztusić ani słowa.

– Michael?

Ze schodów dobiegł głośny łomot: Christine wchodziła na górę. W panicznym pośpiechu przykryłem się dokładnie i schowałem ręce, trzymając je głęboko, na wysokości bioder. Nie istniało racjonalne wytłumaczenie mojego stanu i wyglądu, chyba żeby uznać, że w nocy po prostu kogoś (lub coś) zabiłem. Najwyraźniej tak właśnie było.

– Zaraz zejść! – odkrzyknąłem głośno i pogodnie. – Brzuch... Brzuch mnie boli.

Powiedz, że przyjmę ją za dziesięć minut.

Mój zdezorientowany umysł wrzeszczał rozdzierająco. Słowa nie miały sensu. Miałem kompletny zamęt w głowie.

Znowu usłyszałem łoskot u stóp schodów. Christine odstawiała na stopnie jakieś rzeczy, które później chciała wnieść na górę, ale na razie, dzięki Bogu, nie zamierzała tu wchodzić.

– Muszę skorzystać z łazienki – dodałem. – Zaraz przyjdę.

Słowa obijały mi się o język jak gumowe piłeczki, spadając z niego bez celu i sensu.

– Zrobiłam ci śniadanie. Włożę je do mikrofali. Przyjmę pacjentkę w poczekalni i zaparzę jej herbaty.

– Dobrze.

Usłyszałem oddalające się kroki: wróciła do kuchni. Przetarłem oczy dłonią – i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że pewnie właśnie rozsmarowuję sobie na twarzy krew Page’a.

Otworzyłem szeroko oczy, bojąc się, że za chwilę znów zapadnę się w sen, w którym stanę oko w oko z Lauren, Rosy albo nawet z Page’em. Nie mogłem sobie na to pozwolić, nie w tej chwili. Zerwałem się na równe nogi, ściągnąłem całą pościel i wepchnąłem pod łóżko. W łazience spuściłem trochę wody, dopóki z kranu nie polał się wrzątek. Starłem się nie patrzeć w lustro; bałem się, co mogę tam zobaczyć.

Krew, wszędzie krew!

Gorąca woda była cudowna. Namydliłem ręce i twarz i wyszorowałem je do czysta.

Czułem się, jakbym zmywał wydarzenia, o których śniłem.

Wytarłem się i pospiesznie ubrałem. Poryczałem się jak dziecko, jakbym chciał sobie wypłakać oczy. Piersz paliła mnie żywym ogniem, nie mogłem złapać oddechu. Potwornie się bałem – nie tylko tego wszystkiego, co już się wydarzyło, ale także tego, co jeszcze mogło się stać. Z trudem powstrzymałem łzy i osuszyłem twarz wilgotnym ręcznikiem. Już spokojniejszy wyjąłem czystą pościel z szafki w przedpokoju. Tę zakrwawioną zostawiłem pod łóżkiem, gdzie, jak miałem nadzieję, miała zostać już na zawsze, a na pewno do naszego wyjazdu. Posłałem łóżko. Liczyłem na to, że dwie noce z rzędu spędzone w tamtej pościeli ujdą za wystarczający powód, żeby ją zmienić.

Zszedłem do kuchni. Christine stała w kuchni z torebką na ramieniu, Jessica postukiwała smyczą o podłogę, jakby prowadziła na niej niewidzialnego szczeniaka. Nie zauważyłem żadnych śladów śniadania, jeśli nie liczyć dzbanka z zieloną herbatą, zaparzoną według przepisu Rosy Deighton.

Rosy Deighton...

Christine uśmiechnęła się do mnie sztucznie. Musiała zauważyć moje zaczerwienione, podpuchnięte oczy.

– Dobrze się czujesz, Michael? Słyszałam, jak płakałeś.

Powiedziała to kompletnie beznamiętnym tonem, bez cienia troski. Widocznie nadal się na mnie gniewała i raczej nie zamierzała nigdzie wyjeżdżać.

– Ja...

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Moja rodzina krzątała się po domu jakby nigdy nic.

Dziwisz im się, Michael? Mają za sobą tylko jeden poważny wypadek samochodowy i spotkanie z dziwnymi ludźmi, którzy przyprawili je o gęsią skórkę.

No tak, właśnie między innymi przez tych ludzi powinniśmy stąd wiać, gdzie pieprz rośnie. Przyszliście po trupa? Do zobaczenia, moi drodzy!

– Christine... – Złapałem ją za rękę, kiedy próbowała wyminąć mnie obojętnie. – Musimy stąd wyjechać. Z Ashborough. Natychmiast.

Spojrzała na stojącą przy drzwiach Jessicę.

– Córeczko, zaczekaj na mamusię na werandzie, dobrze?

Jessica skinęła głową i wyszła bez słowa. Widziałem przez okno, jak sadowi się w ratanowym fotelu. Christine odwróciła się w moją stronę ze zmarszczonymi w trójkąt brwiami.

– Co ty wygadujesz, Michael? Bój się Boga...

Wyrwała mi się, jakbym napadł ją na ulicy z żądzą mordy w oczach.

– Tutaj... dzieje się coś złego. Sama tak powiedziałaś. Ci ludzie wczoraj, ci, co przyszli po trupa po wypadku... To nie jest normalne. To cholernie dziwne, Christine.

– Ja pewnie przesadziłam, Michael, a oni po prostu chcieli go przenieść w bezpieczne miejsce.

– Po co? Przecież mówiłaś, że już nie żył, bo głowa mu eksplodowała po uderzeniu w drzewo!

– No... Tak mi się wydawało... Byłam spanikowana i w ogóle nie myślałam racjonalnie. Tak to wyglądało, ale pewności nie mam. Może tylko został ranny, ale przeżył.

– Przeżył?! Widziałabyś, gdyby przeżył! Na Boga, Christine, sama powiedziałaś, że przykryli go kocem, zanim zanieśli do domu.

– To prawda.

– Czyli?

– To na pewno nie powód, żeby stąd wyjeżdżać. Co w ciebie wstąpiło, Michael?

– Co we mnie wstąpiło?! – Teraz już krzyczałem. A właściwie darłem się jak opętany.

Moje zdrowe zmysły właśnie pokonały pierwszą górkę na emocjonalnej kolejce górskiej i runęły z wysokości na łeb, na szyję. – To miasto jest przeklęte! Musimy wyjechać!

Zaczynałem się powtarzać, ale nic z tego nie wynikało. Jakbym rzucał grochem o ścianę.

– Całkiem zwariowałaś... – Christine pokręciła głową. – Bierzesz coś?

Nie chciałem o tym wspominać, ale nie miałem wyboru. Musiałem jej powiedzieć o Izolantach. Nawet jeśli wyda jej się to całkiem irracjonalne, nie miałem przecież żadnych dowodów, tylko swoje słowa. Byłem sam przeciw wszystkim, Dawid naprzeciw armii goliatów. Pomyśli, że bredzę, ale czy miałem inne wyjście? Boże...

– Christine...

– Idziemy z Jessicą poszukać Page’a – przerwała mi. – Twoja córeczka bardzo się przejęła jego zniknięciem. Prawdę mówiąc, ja też...

Znowu złapałem ją za rękę i tym razem nie pozwoliłem się jej wyrwać. Spojrzeliśmy sobie w oczy.

– Posłuchaj mnie, Christine. W tych lasach kryje się zło. Mieszka tu rasa ludzi nazywanych Izolantami. Trzymają w szachu całe Ashborough. Wiem, jak to brzmi, ale musisz mi uwierzyć, błagam cię. Musimy uciekać. Możemy pójść pieszo albo pojechać rowerami... Proszę cię.

Rozluźniłem uścisk, a ona spokojnie się z niego wyswobodziła, popatrując na mnie niepewnie. Przez sekundę pomyślałem, że mi wierzy.

– Skąd ten zwariowany pomysł? – zapytała.

Przełknąłem kłębek waty, który utkwiał mi w gardle.

– Phillip mi o nich opowiedział. Mówi, że...

– To ma być żart?

– Nie! Miałem ci nic nie mówić, ale... Inaczej cię nie przekonam do wyjazdu. Proszę cię, Christine, błagam na kolanach. Uciekajmy. Natychmiast, w tej chwili. Kiedy znajdziemy się daleko stąd, wszystko ci wyjaśnię.

Przystanęła przy schodach i podniosła klucze do domu, leżące wśród innych drobiazgów na trzecim stopniu.

– Mówiłeś o tym Jessice?

– Oczywiście, że nie!

Nagle poczułem się kompletnie wyczerpany. Opadłem ciężko na sofę. Nie wiedziałem, skąd miałbym wziąć siły na ucieczkę. Przypomniałem sobie słowa Phillipa: „Wiesz, że Neil Farris wcale nie poszedł pobiegać. Chciał stąd odejść, tak jak wielu innych. Nie pozwolili mu”.

Wzdrygnąłem się.

– Wątpię, żeby Jessica tak się wczoraj wystraszyła tylko dlatego, że naoglądała się kretyńskich kreskówek.

– Christine! Sugerujesz, że miałem z tym coś wspólnego?!

Podeszła do drzwi. Jessica zerwała się z fotela i stanęła przy drzwiach z drugiej strony, wpatrując się w nas szeroko otwartymi, zatroskanymi oczami. Christine pokręciła gwałtownie głową. Widziałem, że jest przerażona.

– Idź do gabinetu, przyjmij pacjentkę. To ci dobrze zrobi. My poszukamy Page’a, a ty się zastanów, co mówisz. Mam nadzieję, że kiedy wrócimy, będziesz miał lepsze wytłumaczenie swojego zachowania. Do zobaczenia.

I wyszła. Drzwi zatrzasnęły się z niezamierzonym łoskotem.

Frustracja zwyciężyła. Zachichotałem, a potem wybuchnąłem histerycznym, niepohamowanym śmiechem. Strach wywołuje czasem u ludzi reakcje irracjonalne, nawet – powiedziałbym – absurdalne, i mnie też się to przytrafiło: śmiałem się jak wariat. Po minucie udało mi się opanować i podszedłem do okna. Moja żona i córka szły po podjeździe, trzymając się za ręce, i nawoływały psa, który miał już nigdy nie wrócić do domu.

Na ten widok znowu zacząłem się śmiać. Jeszcze głośniej niż przed chwilą.

## ROZDZIAŁ 21.

**K**iedy atak śmiechu wreszcie ustąpił, poszedłem do kuchni i odgrzałem sobie śniadanie. Zjadłem, popiłem letnią kawą i od razu poczułem się lepiej. Dotarło do mnie, że z punktu widzenia Christine zachowuję się jak czubek. Nie wiedziała o moim spotkaniu z Lauren Hunter, nie miała pojęcia o moim śnie, który chyba jednak nie był snem... Poza tym sama przeżyła wczoraj ciężkie chwile, ale nawet jeśli była trochę wstrząśnięta, zdrowo przespana noc przywróciła jej równowagę. Zrównoważonej i spokojnej Christine musiałem się wydać wariatem.

Przypomniałem sobie o zakrwawionej pościeli pod łóżkiem. Bojąc się, że znów o niej zapomnę, zniosłem ją pospiesznie na dół i włożyłem do pralki, zacierając w ten sposób ślady nocnej przygody. Dopiero wtedy poczułem, że naprawdę wracam do rzeczywistości, i mimo że wciąż dręczyła mnie świadomość, że muszę się spieszyć, postanowiłem zapomnieć o wszystkim, co nadprzyrodzone, i przeżyć ten dzień zwyczajnie, jakbym stoczył zwycięską bitwę i sprawa została zamknięta.

Cokolwiek by powiedzieć, Michael, w końcu złożyłeś ofiarę. Jesteś wolny. Możesz przeżyć resztę życia jak każdy inny przeciętny człowiek. Złożyłeś hołd; nie wracaj do tego.

O dziwo, ta myśl przyniosła mi ulgę – chociaż wiem, że brzmi to makabrycznie. Może teraz wszystko się zmieni; może uda mi się przeżyć resztę życia w spokoju. Włożyłem talerz do zlewu, wyjrzałem przez okno i pomyślałem o Christine. Odkąd powiedziała mi o ciąży, łatwo się irtowała i traciła cierpliwość, a przy tym oddaliła się ode mnie i na każdym kroku



podkreślała swoją niezależność. Dawniej, gdybym przyszedł do niej z jakąś sprawą, wysłuchałaby mnie uważnie i udzieliła jakiejś przemyślanej rady. Ostatnio jednak coraz częściej miałem wrażenie, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego i prowokuje kłótnie, żeby nie musieć ze mną rozmawiać. Tak jak dziś rano. Mój oczywisty strach i irracjonalne troski zaniepokoiłyby nawet obcego człowieka, a co dopiero troskliwą żonę, tymczasem Christine zbyła mnie jak głuptasa, żartownisia, i poszła sobie dalej napawać się swoją niezależnością.

Coś mnie nagle uderzyło.

Lauren Hunter.

Umierając, wykrztusiła imię mojej żony...

Odsunąłem od siebie tę niepokojącą myśl. Próbowałem sobie wmówić, że teraz już wszystko będzie dobrze. Christine rozchwiana emocjonalnie, ale w swoim czasie wróci na ziemię. Wyjrzałem na boczne podwórko. Diabelnie trudno było mi uwierzyć, że dzień wcześniej zmarł na nim człowiek. Słońce dumnie wspięło się na niebo, wiatr niósł zapach kwiatów rosnących przy domu – świeżą, orzeźwiającą woń. Lato na dobre się zadowowiło, a ja doszedłem do wniosku, że powinienem się z tego cieszyć. Zamartwianie się przeszłością nie miało sensu, groziło mi natomiast kompletnym załamaniem. A wtedy koniec z rodzinnymi wypadami państwa Cayle'ów, z otulaniem Jessiki kołderką do snu, z kochaniem się z moją piękną żoną.

Patrzyłem na chodnik, na którym wczoraj umarła kobieta. Z którego zmyłem wszelkie ślady. Pomyślałem o tym, że może powinienem jeszcze raz zadzwonić na policję, ale szybko porzuciłem ten zamiar. Kurczę, obecna sytuacja całkiem mi odpowiadała. Naprawdę, nie mogłem się uskarżać. Nie było sensu tego psuć.

Wyparcie! – krzychało moje sumienie, ale zbyłem je dziarskim wzruszeniem ramion.

Może kiedy wróci Christine, zmienię zdanie, ale chwilowo najważniejsze były moje zdrowe zmysły i cel uświęcał środki.

O tak, chwilowo wszystko było w najlepszym porządku.

Tyle że ta chwila trwała minutę.

Dokładnie minutę. Tyle czasu zajęło mi przejście przez przedpokój do poczekalni, a z niej do gabinetu, aby przywitać pierwszą w tym dniu pacjentkę.

I znów ogarnęło mnie przerażenie.

## ROZDZIAŁ 22.

**W** głowie miałem chaos, ale starałem się o nim nie myśleć, wchodząc do poczekalni.

Przez sekundę zastanawiałem się, jak wyglądam; czy widać po mnie stres. Ale jakie to właściwie miało znaczenie? Czy to ważne, co pomyślą o mnie pacjenci? Pewnie nie, tym bardziej że prawdopodobnie należą do spisku, a ja jestem tylko pionkiem w ich okrutnej grze.

Poczekalnia była pusta. Rozejrzałem się, ale nikogo nie zobaczyłem. Jedynym dowodem na to, że wcześniej rzeczywiście ktoś tu siedział, była do połowy opróżniona szklanka ciemnozielonej herbaty, stojąca na stoliku obok sofy. Wszedłem za przepierzenie i przerzuciłem strony terminarza.

Na dzisiaj nie miałem umówionych żadnych pacjentów. Na jutro też nie. Ani na pojutrze. Ani...

Serce zaczęło mi szybciej bić. Moja praktyka lekarska, która zaczęła się już rozkręcać, zupełnie obumarła. Jakby pacjenci zastrajkowali. Najdziwniejsze, że do chwili śmierci Lauren Hunter byłem w miarę zapracowany, potem jednak... Pacjenci przestali się umawiać na wizyty. Terminarz potwierdzał to czarno na białym. Drugim dowodem był kompletny brak wiadomości na automatycznej sekretarce. Przeraziło mnie to, nie dlatego, że martwiła mnie perspektywa bojkotu przez mieszkańców Ashborough, ale dlatego, że dopiero teraz sobie uświadomiłem, że zostałem bez pracy. Nie będę miał z czego żyć.

A jakie to ma znaczenie? I tak chciałeś stąd wyjechać, prawda?

W takim razie... Kto dziś przyszedł? I czy był jeszcze w pobliżu?

Christine mówiła coś o starszej pani. Obejrzałem poczekalnię, zajrzałem do gabinetu...

Pusto.

Została jeszcze biblioteka.

Wszedłem do niej i powiodłem wzrokiem po biegnących przez całą długość pokoju regałach. Jedyne dźwięki wydawał tykający na kominku zegar z wahadłem. Żaluzje na wysokich oknach przepuszczały niewiele światła i w pomieszczeniu panował półmrok. Szyby dźwięczały pod podmuchami wiatru. Gdzieś w oddali zaszczekał pies. Pomyślałem o Page'u.

Podszedłem do biurka z rękami w kieszeniach, rzuciłem okiem na leżące na nim papiery. Na chwilę zapomniałem nawet, że kogoś szukam – i w tym samym momencie poczułem, że dywan próbuje wyjechać mi spod nóg. Oparłem się o blat, walcząc z zawrotami głowy. Opadłem na fotel i przez dłuższą chwilę starałem się oddychać równo i głęboko, aby nie poddać się fali paniki.

Kątem oka dostrzegłem leżącą na blacie zakrwawioną obroźę Page'a.

Zamrugalem, przetrarłem oczy, wmawialem sobie, że to niemożliwe, ale w miarę jak oczy przyzwyczajały mi się do półmroku, widziałem ją coraz wyraźniej. Pod wbitymi w brązową skórę ćwiekami tkwiły kępki sierści. Z bijącym sercem oparłem mocniej stopy na dywanie, żeby sprawdzić, czy nadal czuję grunt pod nogami. Nie, jeszcze nie zemdlałem.

Rozejrzałem się po pokoju, odtwarzając w pamięci wydarzenia z ubiegłego wieczoru. Przed oczami miałem właśnie całkiem realistyczny obraz kamiennego kręgu, kiedy ktoś do mnie przemówił.

Głos należał do starej kobiety i dobiegał z za moich pleców: – Nie odwracaj się, Michael.

Przeszedł mnie dreszcz strachu tak silny, jakby porażono mnie prądem. Moje usta się poruszyły, ale zamiast artykułować jakieś dźwięki tylko zmeły powietrze.

– Musimy porozmawiać – usłyszałem.

Kobieta mówiła powoli, z wahaniem. Miała głos wiekowej wróżki, która od czterdziestu lat pali marlboro.

Chciałem się odwrócić, ale nagle moje ręce i nogi ogarnęło przerażające odrętwienie.

– Dlaczego nie mogę cię zobaczyć? – zapytałem słabym głosem.

– Wystarczy, że będziesz słuchał. Więcej nie trzeba. Tylko... słuchaj uważnie. Nie będę powtarzać.

Przełknąłem ślinę. Zerknąłem tęsknie w stronę barku. Napiłbym się brandy.

– Dobrze – odpowiedziałem automatycznie, kiwając głową.

– Trochę to trwało, ale w końcu zrobiłeś to, czego od ciebie oczekiwano. Twoi bliscy są bezpieczni... na razie. Z czasem pojawią się jednak nowe... żądania. Kiedy ten czas nadejdzie, a nadejdzie z pewnością, musisz tu być, gotowy do działania. Nie odmawiaj im.

Nie opieraj się. Nie próbuj uciekać. I najważniejsze: nikomu o tym nie mów. Musisz odizolować się od świata, być posłusznym moim słowom i ich żądaniom.

– O czym ty mówisz? – spytałem, udając, że nie mam pojęcia, o co chodzi.

Oczywiście miała na myśli Izolantów.

– O tych, którzy władają tą krainą. To oni stanowią tu prawo, którego nie wolno łamać.

Tego, kto nie uzna ich władzy, czekają tortury, ból i cierpienie bliskich.

– Boże, chcesz powiedzieć...

– Posłuchaj mojej rady, Michael. Żyj dalej, jakby nic się nie wydarzyło, Odetnij się od rodziny, nie myśl o córce, nie myśl o żonie. A kiedy nadejdzie czas, usłysz wołanie tamtych i zrób, co ci każą, a twoim bliskim nic się nie stanie. Czeka cię wiele pracy, radzę się przygotować. Masz ważną rolę do odegrania.

– Jaką rolę? – spytałem ze zgrozą.

– Dowiesz się w swoim czasie. Pamiętaj, nie mów o tym nikomu, a już w żadnym wypadku swojej rodzinie. Jeżeli nie posłuchasz tego ostrzeżenia, zapłacą za to życiem.

Przyrzekam.

Zrobiło się cicho. Słyszałem głośny świst powietrza, które gwałtownie wydychałem z płuc. Udało mi się przemoc odrętwienie i okręciłem się w fotelu, hamując czubkami palców po wykonaniu półobrotu. Przez ułamek sekundy mignęła mi kobieta. Jej widok miał mnie prześladować do końca życia.

Była zwrócona do mnie tyłem, ale kiedy na nią spojrzałem, obejrzała się przez ramię.

Magnetyzm tej chwili był porażający; to spojrzenie nie tylko przykuło mój wzrok, ale unieruchomiło moje ciało. Musiała użyć jakiejś nadnaturalnej zdolności, aby mnie sparaliżować. Poznawałem to po jej oczach.

Jej złotych oczach.

Tkwily w śniadej twarzy pożłobionej głębokimi zmarszczkami. Brunatna, jakby przykurzona cera zdradzała osobę, która nie unikała ani słońca, ani pracy na roli. Szarawe włosy opadały na ramiona w grubych, zbitych strąkach, brudne łachmany okrywające ciało przywodziły na myśl szmaty używane w warsztacie samochodowym do wycierania oleju.

Niski wzrost – miała niespełna metr czterdzieści – wcale nie sprawiał, żeby wydała mi się mniej groźna.

Podniosłem rękę. Chciałem ją zatrzymać, wyrwało mi się nawet anemiczne „zaczekaj...”. Jej oczy zalśniły tylko złoto w półmroku i wymknęła się do poczekalni.

Zmusiłem się do wstania z fotela. Nogi zadrżały pode mną, ugięły się i runąłem na podłogę.

– Zaczekaj! – zawołałem głośniejszym głosem, jakby nagle przybyło mi sił.

Najwyraźniej zły urok osłabł natychmiast po jej odejściu. Dźwignąłem się na kolana i na czworakach wygramoliłem do poczekalni. Przy drzwiach poczułem niezwykłą woń – korzenną, ziemistą. Tak pachną wilgotne liście na ziemi w lesie.

Tylko tyle po niej zostało.

Po starej pani Zellis.

# CZEŚĆ II

## KWESTIA CZASU



## ROZDZIAŁ 23.

Lato płynnie przeszło w jesień. Drzewa bezwstydnie zrzuciły liście po zaledwie miesiącu obnoszenia się z ognistymi kolorami. Jessica zaczęła chodzić do zerówki, wpadła w szpony nowoczesnego systemu edukacji i na klasowe Halloween przebrała się za trzmiela.

Promieniejący dumą rodzice napiekli na Halloween mnóstwo ciast. Lodówka została przyozdobiona zezowatym indykiem z czterema ruchomymi piórkami w kuprze, którego Jessica zrobiła w szkole (ten okaz nawet pewnie nie podejrzewał, że my, ludzie, chętnie skroimy mu tyłek nożem i widelcem, przetrzymawszy go najpierw pięć godzin w piekarniku nastawionym na dwieście trzydzieści stopni). Jessica była dumna ze swojego dzieła i nowo nabytej wiedzy o przyjacielskiej kolacji, na której przed czterystu laty pielgrzymi spotkali się z Indianami, nie miała natomiast pojęcia o tym, że po zakończeniu uroczystości biały człowiek ograbił i wymordował swoich gospodarzy. W zerówce nie uczą o zawłaszczaniu ziemi.

Pacjenci wrócili. Przybywało ich powoli, ale systematycznie, a ja oswoiłem się z wygodną rutyną: rano przyjmowałem chorych, a po południu załatwiałem robotę papierkową – wypełniałem formularze do ubezpieczenia i wystawiałem zamówienia na leki. Codziennie wysyłałem druki zapotrzebowania i prośby o próbki nowych specyfików. Uporawszy się z tym, aktualizowałem karty pacjentów i oddzwaniałem do wszystkich, którzy przez cały dzień nagrali mi się na sekretarkę.

Potem spędzałem kilka bezcennych chwil z Jessicą – rozmawialiśmy o tym, jak jej minął dzień i jakie to nowe życiowe mądrości przekazała im w klasie sławna już i szanowana pani Ehlers. Do kolacji zasiadaliśmy razem, całą rodziną, i jedliśmy najczęściej w milczeniu.

O ósmej Jessica szła spać, a ja zaszywałem się w bibliotece, nalewałem sobie brandy i gapiłem się na mroczny las.

Czekałem.

Kładłem się około północy, długo po Christine. Nadal sypialiśmy w jednym łóżku, ale już się nie przytulaliśmy.

Z początku moje milczenie ją drażniło, potem zaczęło niepokoić, a na koniec stało się źródłem frustracji. W ciąży bardzo się ode mnie oddaliła, miałem więc nadzieję, że pogodzi się z moją rezerwą, szybko jednak stwierdziła, że nie bawi jej mieszkanie pod jednym dachem z kimś, kto odmawia podejmowania rozmowy. Rozpoczęła skazane na porażkę próby dotarcia do sedna problemu (zakładała, że chcę ją ukarać). Próbowała mnie zagadywać, krzyczeć na mnie, płakać. Zdarzały się naprawdę trudne chwile, kiedy łapała mnie za kołnierz i wrzeszczała mi prosto w twarz jak niewyżyty sierżant podczas musztry, żądając wyjaśnień; czasem obrażała się przy tym i wybuchała płaczem, a czasem zdarzało mi się oberwać pięścią. Zaciskałem wtedy kurczowo powieki, odpychałem ją i wybiegałem z domu. Szedłem do Phillipa, piłem z nim bourbona i razem narzekaliśmy na nasze beznadziejne, przegrane życie.

Mówiłem mu o Christine, o tym, jak się zmieniła, jak wiele mnie kosztowało odsunięcie się od niej i jak nasze małżeństwo znalazło się na zakręcie. Wyjaśniałem, że wolę się do niej w ogóle nie odzywać, niż przejęzyczyć się albo zrobić jakąś aluzję do istnienia Izolantów, którzy przecież cały czas czyhali w pobliżu, podglądali mnie i podsłuchiwali.

Wiedziałem, że jeśli popełnię jakiś błąd, ukarzą mnie, krzywdząc Christine, Jessicę albo nawet nienarodzone dziecko, tak jak skrzywdzili córkę Rosy i Phillipa. A wcześniej zapewne wielu innych ludzi. Milczenie było jedyną ochroną. Tłumaczyłem się z niego przed Phillipem wielokrotnie, a on kiwał potakująco głową i zapewniał mnie, że dobrze robię. Pytał, czy w ogóle rozmawiam z Christine, ja zaś odpowiadałem, że tylko w sprawach absolutnie najwyższej wagi – takich jak jej ciąża (jak na czwarty miesiąc, brzuch miała całkiem pokaźny – podobno przy drugiej ciąży często tak się zdarza) albo złe samopoczucie Jessiki. Poza tym właściwie się nie odzywałem.

Później przechodziliśmy do dyskusji o tym, że nie nadeszła jeszcze pora, abym odegrał przeznaczoną mi rolę. Phillip wyrażał się oględnie, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że wie, co Izolanci dla mnie planują. Domyślałem się, że wcześniej wiązali jakieś nadzieje z Neilem Farrisem, więc teraz, skoro go zastąpiłem... Phillip mieszkał w Ashborough dostatecznie długo, aby znać sytuację na wylot.

Najczęściej odpowiadał: „Dowiesz się, kiedy nadejdzie czas” albo „Powiem ci, Michael, w zaufaniu, że nie mam zielonego pojęcia, czego mogą od ciebie chcieć”. Nie nalegałem. Przeszedł i wycierpiał znacznie więcej niż ja i uważałem, że nie powinienem być zbyt dociekliwy. Tym bardziej że przecież dokładnie tak samo zachowywałem się wobec Christine: nie mówiłem jej o wszystkim. W ten sposób ją chronilem, może Phillip również próbował mnie chronić. Może. A może po prostu bał się o siebie, przecież stracił już całą rodzinę. Nigdy mu nie wybaczyłem, że mnie w to wrobił, ale, do diabła, był jedynym człowiekiem, z którym mogłem o tym pogadać! Instynktownie wyczuwałem, że przy nim nic mi nie grozi. Że jemu mogę powiedzieć wszystko.

I chyba miałem rację, bo od dnia, w którym złożyłem Page'a w ofierze, życie przy Harlan Road 17 toczyło się spokojnie i bez strasznych wypadków. Z czego ogromnie się cieszyłem. Gdybym nie mógł czasem pogadać z Phillipem, na pewno bym zwariował.

Czas płynął wolno i obrazy Lauren Hunter i Page'a (o dziwo, Jessica kompletnie zapomniała o psie; martwiła się o niego przez kilka dni, a potem przestała o nim mówić. Uznałem to za kolejny przejaw działania wielkiej maszyny spiskowej) zblakły w mojej pamięci. Zastanawiałem się nieraz, czy Lauren nie miała rodziny, która mogłaby opłakiwać jej odejście. Miejskowa gazeta, „Ashborough Observer”, nie wspomniała o jej zniknięciu, podobnie zresztą jak o śmierci Rosy Deighton. Jedyne nekrologi, jakie znajdowałem, odnosiły się do ludzi, którzy żyli długo i szczęśliwie, aż w końcu upomniała się o nich zesłana przez Boga starość. Jak łatwo się domyślić, cieszyłem się, że moje koszarne spotkanie z Lauren przeszło bez echa. Musiałbym się nieźle napocić, żeby wytłumaczyć się z niego rodzinie, przysięgłym i sędziemu. Ale upłynęły trzy miesiące, mogłem wreszcie o tym zapomnieć i skupić się na ważniejszych sprawach, nawet jeśli jej śmierć nadal prześladowała mnie w sennych koszmarach. Pamiętałem ją tak samo jak wielu swoich nowojorskich pacjentów: wizja jak ze starego programu w telewizji i dzwoniące w uszach echo głosu: „Izolanci... Chcą cię... Przyjdą po ciebie... Christine...”.

W dniu Święta Dziękczynienia Christine poinformowała mnie, że wybierają się z Jessicą na kolację do państwa Cleggów, rodziców szkolnego kolegi Jessiki. Panią Clegg poznałem, kiedy przyjechała do nas, żeby zabrać Jessicę i Christine na zakupy, zanim odebraliśmy samochód z naprawy. Wydała mi się całkiem miłą, ale, co oczywiste, nikomu już nie ufałem. Ani trochę.

Właśnie, samochód... Kolejna tajemnica w spisku obejmującym całe Ashborough.

Mniej więcej miesiąc stał w warsztacie w Ellenville; ja przesiedziałem ten czas w gabinecie, nie odzywając się do żony i przyjmując nielicznych pacjentów, którzy z wolna zaczynali znowu pojawiać się w moim życiu. Christine nauczyła się radzić sobie bez samochodu.

Korzystała z uprzejmości ludzi poznanych w szkole Jessiki, aż w końcu minivan wrócił do nas w idealnym stanie. Bałem się do niego zbliżyć, żeby Izolanci nie próbowali mnie ukarać, tak jak ukarali mnie w dniu, kiedy Christine rozjechała biegacza (nawiasem mówiąc, było to kolejne wydarzenie, które po prostu przepadło we mgle niepamięci, nie miało żadnego ciągu dalszego). Przypuszczałem, że potrącone przez nią wtedy zwierzę nie było wcale psem, lecz przebiegłym małym Izolantem. Któż to mógł wiedzieć?

Potem już codziennie moja żona odwoziła Jessicę do szkoły; wychodziły z domu, zanim wstałem. Objeżdżała miasto, robiła zakupy i załatwiała jakieś sprawy, dopóki lekcje się nie skończyły. Po powrocie do domu przyrządzała kolację. Sama piła wyłącznie zieloną herbatkę ziołową, parzoną według słynnego przepisu Rosy Deighton. Nie byłem przekonany, że jest to najzdrowsze dla dziecka, ale starałem się o tym nie myśleć. Mniej więcej w tym samym czasie kończyłem pracę i bez słowa siadałem do stołu, aby pierwszy raz tego dnia zobaczyć rodzinę. W tych pełnych napięcia chwilach padało niewiele słów, za to po kolacji zabierałem Jessicę do jej pokoju i rozmawialiśmy o całym dniu. Nie wiem dlaczego, ale nie bałem się rozmawiać z córką. Może chodziło o to, że była małym, naiwnym dzieckiem, a może po prostu byłem pewien, że rozmowa nie zbczy na niewygodne tematy.

Czyżby, Michael? Wspominała przecież coś o duchach...

A potem nadchodziła noc. Jak już wspomniałem, czas do północy spędzałem samotnie w bibliotece, siedząc przy biurku, patrząc w ciemność i czekając na wezwanie, które pozwoliłoby mi odkryć, jaką rolę przeznaczyli mi Izolanci w swoim Wielkim Planie. Czasem nachodziły mnie wątpliwości, czy w ogóle po mnie przyjdą, ale wtedy upominałem się w duchu, że jest to tylko kwestią czasu.

Trudno sobie nawet wyobrazić, co przeżywałem między ósmą i dwunastą wieczór: to były bite cztery godziny piekła dla mojego umysłu. Wspominałem przeszłość. Wybiegałem myślami w przyszłość. Analizowałem wszystkie swoje posunięcia, te już wykonane i te zaplanowane. Regularnie wracałem pamięcią do tego dnia przed trzema miesiącami, kiedy poznałem starą panią Zellis.

Wiedziałem, że nie mogę tak żyć w nieskończoność. Chyba po prostu czekałem, aż mnie wezwą, żebym mógł, jeśli można tak powiedzieć, zapłacić haracz i wrócić do normalnego życia i rodziny. Nie zrezygnowałem jeszcze z opuszczenia Ashborough... Nie miałem żadnego konkretnego planu, ale mój umysł pracował pełną parą. Gdyby nadarzyła się sposobność, zamierzałem być gotowy.

Dręczyło mnie wspomnienie pierwszego dnia w nowym domu – po tym, jak Jessica zwymiotowała, a ja przebiłem sobie stopę gwoździem, ogarnęła mnie przemożna chęć ucieczki. Miałem ochotę czmychnąć na Manhattan i zacząć życie od nowa. Sam. Bez rodziny.

Byłem śmiertelnie przerażony.

Teraz doszedłem do wniosku, że to musiał być znak, omen. Przed dwoma miesiącami znowu poczułem coś podobnego i poważnie rozważałem możliwość wyjazdu. Ba, wstałem w środku nocy, ubrałem się, zabrałem Christine kluczyki z torebki i zszedłem do samochodu.

Przyszło mi do głowy, że na dobrą sprawę właśnie morduję swoją żonę i córkę... Czy gdybym odjechał, Izolanci spełniliby groźbę starej pani Zellis? Odpowiedź miałem podaną jak na tacy – całkiem niedaleko, w domu Phillipa Deightona. Odebrali mu rodzinę, bo nie chciał grać według ich reguł. Z drugiej strony rodzinę Neila Farrisa oszczędzono (jego samego już nie).

Mogłem obstawiać: albo ja, albo rodzina. Ryzyko wydało mi się zbyt duże.

A teraz co? Zignorowałem wszystkie ostrzeżenia, stałem przy miniwaniu, podzwaniałem kluczykami i rozważałem najbardziej nierozsądną decyzję w całym swoim życiu. Stojąc tak i bijąc się z myślami, spojrzałem w las za domem i zobaczyłem w nim dwa złote światełka. Oczy. Obserwowały mnie. Wpatrywałem się w nie tylko przez chwilę, zanim uznałem, że wymykanie się z Ashborough to jednak nie najlepszy pomysł; zniknęły, gdy tylko zawróciłem w stronę domu. Rozebrałem się i wróciłem do łóżka. Do świtu ścisnąłem kurczowo koc, przerażony perspektywą kolejnych dni pod nadzorem Izolantów.

Zastanawiałem się, czy nadejdzie taka chwila, w której te same złote oczy zabłysną za wysokimi oknami w bibliotece, aby zmusić mnie do wypełnienia swoich żądań. Odpowiedź uzyskałem w Święto Dziękczynienia.

# ROZDZIAŁ 24.

– Jedziemy.

Było to pierwsze słowo, jakie usłyszałem od Christine w tym dniu. Normalka.

Spojrzałem na nią. Sporo przybrała na wadze, brzuch miała niemal dwa razy większy niż przeciętna kobieta w tym miesiącu ciąży. Włożyła obszerną, jasnoniebieską bawełnianą koszulę (pozostałość po ciąży z Jessicą) i dżinsy ogrodniczki. Wygląda jak kangur, pomyślałem trochę od rzeczy. Sino podkrążone oczy opowiadały smutną historię, pełną przygnębienia, lęku i nieprzespanych nocy. Potargane włosy zdradzały, że nie ma ani siły, ani chęci ukrywać swojego nieszczęścia. Widywałem taki wyraz twarzy u niektórych moich pacjentów; przepisywałem im wtedy spore dawki alprazolamu albo valium. Pomyślałem, żeby i Christine coś zaproponować, ale doszedłem do wniosku, że dopóki jest w ciąży, może to nie być najlepszy pomysł.

Pokiwałem głową. Na chwilę przyszpiliła mnie zdeglustowanym spojrzeniem, wkładając w nie resztki energii, a potem spuściła wzrok. Jessica, również przygnębiona i pomału zamykająca się w ochronnej skorupie, stanęła obok niej, wyciągając rękę. Z Jessicą nadal co wieczór się spotykałem, ale nasze rozmowy stawały się coraz krótsze i coraz bardziej wymuszone. Spodziewałem się, że wkrótce staniemy się sobie całkiem obcy, tak jak stało się ze mną i Christine. Bóg mi świadkiem, że bardzo nie chciałem tak żyć, ale nie wiedziałem, co mógłbym na to poradzić, nie narażając ich na śmierć.



Boże, oby nie wymknęło mi się jakieś niewłaściwe słowo.

Christine przewiesiła torebkę przez ramię i podeszła do drzwi. Zatrzymała się i odwróciła do mnie. Nie poruszyłem się, obserwowałem ją z bezpiecznej odległości, z kuchni.

Łzy pociekły mi z oczu, gdy nagle dotarło do mnie, że to będzie wyjątkowo przygnębiające Święto Dziękczynienia. Zawsze uważałem się za szczęściarza. Miałem żonę i córeczkę, które szanowały mnie i kochały do szaleństwa i ja również je kochałem. Mogłem być dumnym ojcem rodziny. A teraz zaczynałem rozumieć, dlaczego o tej porze roku tak wielu ludzi rzuca się pod pociąg.

– Michael...

Widziałem, że chce podbiec do mnie, przytulić się i wypłakać. Ale tego nie zrobiła.

Stała nieruchomo. Miała zamiar powiedzieć coś jeszcze, ale tylko smętnie zachrypiała.

Chwilę później szlochała z twarzą ukrytą w dłoniach.

To był decydujący moment. Chciałem podejść do żony, pocieszyć ją, zapewnić, że wszystko będzie dobrze, ale byłbym wtedy kłamcą. Wmawiałem sobie, że niczym by się to nie różniło od mojej rozmowy z Jessicą, kiedy tłumaczyłem jej, że „duchy”, które obszcze kiwał Page, to w istocie robaczki świętojańskie. Przyszło mi do głowy, że może w tej sytuacji lepiej byłoby jednak skłamać. Na pewno rozładowałbym w ten sposób napięcie, tylko że wtedy zakończenie tej historii byłoby inne. Znacznie gorsze.

Chwila zdawała się trwać wiecznie, a ja czułem się kompletnie zagubiony. Już, już miałem zrobić krok w przód, gdy wróciły do mnie słowa starej kobiety.

„Odetnij się od rodziny...”

To mnie powstrzymało. Jezu, nie mogłem do niej podejść. Chciałem, ale nie mogłem!

Powtarzałem sobie w myślach, że zachowując milczenie, chronię swoich bliskich przed najgorszym niebezpieczeństwem, jakie może ich w życiu spotkać. Dla postronnego obserwatora ta sytuacja nie miała sensu, ale to samo można było powiedzieć o wszystkim, co wydarzyło się od czasu przeprowadzki.

Było mi wstyd. Nie miałem wyboru. Pochyliłem głowę i wyszedłem.

Nie usłyszałem płaczu, miotanych obelg, w ogóle żadnych słów, tylko trzaśnięcie drzwiami, kiedy Christine wyszła z domu, aby zjeść świąteczną kolację z ludźmi, których jeszcze dwa miesiące temu w ogóle nie znała.

## ROZDZIAŁ 25.

Pierwszy raz w życiu spędziłem Święto Dziękczynienia sam jak palec, siedząc przy kuchennym stole nad miską płatków owsianych i snując niewesołe myśli. Christine wyszła koło piątej, a ja od tamtej pory zastanawiałem się, czy wpadnie na to, żeby przynieść mi świąteczną kolację. Przyzwoite jedzenie dobrze by mi zrobiło: od przeprowadzki straciłem co najmniej siedem kilogramów. Wiedziałem jednak, że nie zasługuję na to, żeby o mnie pamiętać i nie miałbym do niej cienia żalu, gdyby tego nie zrobiła.

Ręce mi się trzęsły. Widząc to, znowu całkiem się rozkleiłem: siedziałem przy kuchennym stole, gapiłem się na swoje dłonie i na przemian śmiałem się i płakałem, płakałem i śmiałem się, aż zegar wybił ósmą.

Wtedy spróbowałem wziąć się w garść. Wstałem od stołu i postanowiłem zamienić nieprzyjazną kuchnię na bezpieczny półmrok biblioteki, gdzie usiadłem przy biurku i czekałem na pojawienie się złotych ślepi.

Oparłem rozpostarte dłonie na blacie. Stabilność biurka miała mi pomóc zapomnieć o smutnym dniu. Błądziłem wzrokiem po pokoju: podłoga z desek, pełne książek regały, zamknięty barek, wysoki kominek... Panowała absolutna cisza, w której najlżejsze skrzypnięcie belki niosło się jak trzask pękającej kości. Za wysokimi oknami rozciągał się skąpany w księżycowym świetle ogród (Christine zaczęła hodować zioła i w poprzek ogródka ciągnęła się czterometrowa grządka porośnięta czymś, co wyglądało jak chwasty. Z wielkim entuzjazmem doprawiała tymi

„chwastami” nasze obiady i na ich bazie parzyła całe dzbanki tej charakterystycznej zielonej herbaty) i ptasia fontanna. Tylko w ten sposób mogłem choć częściowo odzyskać równowagę umysłową – gapiąc się w dal i ledwie widoczny w świetle księżyca ciemny las. Ta noc niczym się nie różniła od innych.

W bibliotece było ciemno. Wcześniej napaliłem w kominku, ale z polan zostało tylko trochę żaru i głównym źródłem światła był księżyc. Mogłem rozdmuchać płomień na nowo, ale postanowiłem tego nie robić.

Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, jak po postumencie fontanny spływają krople wody. A potem zobaczyłem coś jeszcze.

Dwoje złotych oczu.

Były okrągłe i jarzyły się jak naładowane elektrycznością. Przez co najmniej minutę tkwiły nieruchomo niecałe pół metra nad ziemią obok fontanny, a potem uniosły się na wysokość ponad metra. Zamrugały, a potem w płynnym, niespiesznym tempie ruszyły w stronę okien. Ciało, do którego należały, zdawało się nie przemieszczać w normalny sposób, ale szybować.

Mój organizm zareagował w sposób, którego nigdy wcześniej nie doświadczyłem.

Wnętrznosci mi się zagotowały. Pożałowałem, że nie strzeliłem sobie zawczasu szklaneczki bourbona albo valium. Zamknąłem oczy w nadziei, że w ten sposób choć trochę uspokoję wariujące serce, ale pod powiekami nadal miałem obraz złotych ślepi; nie dawał mi spokoju, jak świeże wspomnienie snu tuż po przebudzeniu. Kiedy znowu spojrzałem za okno, koszmar bynajmniej nie zniknął, ba, można by powiedzieć, że się nasilił. Sparaliżowany strachem patrzyłem, jak jakiś potworny kształt przywiera do szyby po drugiej stronie i wpatruje się we mnie.

Rozum podpowiadał mi, że muszę się mylić, ale intruz wyglądał jak bezdomny z wielkiego miasta, nieszczęśnik, który spędza noce w kartonowym pudle w jakimś ciemnym zaułku. Ubranie (wisało na nim jak na wieszaku) miało czarne od plam potu, długie włosy opadały pozlepiane w strąki, wychudzoną twarz przecinały blizny, w tym jedna intensywnie czerwona i zygzakowata. Dopiero wyłupiaste oczy zdradzały, że nie ma ludzkich genów, lecz jest zupełnie inną istotą...

Izolantem.

Przywodził mi na myśl czarownika odprawiającego jakiś rytuał, kiedy metodycznie podnosił niezgrabne ręce i dziesięcioma długimi żółtymi pazurami drapał po szkle.

Wzdrygnąłem się, gdy przeraźliwy zgrzyt przeszył mnie jak działka mocnego narkotyku, paraliżując wszystkie zmysły.

Zdawało mi się, że całą wieczność tkwię bez ruchu, bezradnie błakając się po niezbadanych bezdrożach własnego umysłu. Zastanawiałem się (bezsukutecznie), czy jest pojedynczym dziwadłem, czy też w pobliżu czai się ich więcej, czekając na sygnał do popełnienia kolejnego okropieństwa.

Przeszył mnie nieznośny ból. Chciałem się poruszyć, ale nie mogłem; strach mnie sparaliżował. Czułem się jak podczas pierwszego, i jedyne, spotkania ze starą panią Zellis.

Gapiąc się na mnie i skrobiąc szponami szkło, stwór rozchylił spękane wargi i odsłonił pysk pełen krzywych, brunatnych zębów.

Miałem wrażenie, że słyszę słowa płynące z tej paszczy, jakby trafiały wprost do mojej głowy. Słyszałem je jednak wypowiedane moim głosem, a nie chrapliwym warkotem, jakiego mogłem się spodziewać po wykrzywionym półzwierzęcym pysku. Nie miało to zresztą wielkiego znaczenia – ich sens był jasny. Zadrzałem na ich dźwięk, tak jakby potwierdzały coś, co już wcześniej wiedziałem.

Wiedziałem, po co przyszedł.

Byłem mu potrzebny.

Próbowałem się poruszyć, ale strach nadal trzymał mnie w żelaznym uścisku.

I wtedy stało się coś strasznego.

Poczułem, jak coś głaszcze mnie po nodze pod kolanem, delikatnie, ale stanowczo.

Ogarnęły mnie wywołane strachem mdłości. Zerknąłem w dół i zobaczyłem niedużą sylwetkę, podobną do tej za oknem, skuloną pod biurkiem. Pazurzasta łapa nie dotykała mnie już z czułością, lecz zacisnęła się boleśnie na piszczeli. Napotkałem spojrzenie nieludzkich ślepi, lśniących złoto w czarnej od sadzy twarzy.

Oderwałem od nich wzrok. Ze wszystkich sił pragnąłem uwierzyć, że to mój najgorszy, najbardziej przerażający koszmar wymknął się z mojej podświadomości i nawiedza mnie w domu.

Niestety, nie miałem tyle szczęścia.

Próbowałem wstać z fotela, ale demon siedzący pod biurkiem trzymał mnie mocno, więc straciłem równowagę i upadłem. Kiedy podniosłem wzrok, następny złotooki potwór znajdował się dosłownie metr ode mnie, cały umazany popiołem (tak samo jak ten, który trzymał mnie za nogę). Leżał na brzuchu na podłodze i właśnie wstawał. Za jego plecami kolejny wyślizgiwał się z przewodu kominowego w kominku – wisiał głową w dół i wyciągał łapy w stronę wyłożonego cegłami paleniska. Z komina dobiegało chrobotanie: najwyraźniej następne bestie już się pchały do środka.

Przyszły po mnie.

Niemożliwy do opisania odór uderzył mnie w nozdrza i z oczu automatycznie pociekły mi kwaśne łzy. Wzrok mi się zamglił. Usłyszałem tupot licznych drobnych stóp.

Widziałem tylko ich oczy, krążące wokół mnie jak świetliki (świetliki!) – osiem, dziesięć, potem zrobiło się ich ponad tuzin. Zakręciło mi się w głowie.

Mnóstwo rąk obmacywało mnie, szarpało za ubranie, w końcu zaczęły mnie wlec po ziemi. Na skórę wystąpił mi pot, gorący i cuchnący. Ulotne szepty ocierały mi się o uszy.

Modliłem się, aby śmierć mnie zabrała, i wydawało mi się, że moje modlitwy zostały wysłuchane.

Dopóki nie obudziłem się w piekle.

## ROZDZIAŁ 26.

Ocknąłem się w tej samej pozycji, w której straciłem przytomność. Usłyszałem jakieś mamrotanie, zgrzytanie zębów, ostrożne szuranie stóp. Czyjś oddech – rozpalone, prymitywne sapanie – zatańczył mi na skórze. Podejrzewałem, że wokół mnie panuje spory ruch, ale niewiele widziałem. Padł na mnie zdeformowany cień; w przesłaniającej mi widok ciemnej mgłę błyszczały oczy. Coś twardego i szorstkiego musnęło moją twarz. Szpon. Zadrzałem.

Mgła rozviała się i w migoczącym blasku niewidocznego dla mnie płomienia dostrzegłem pochylającą się nade mną człekopodobną maskarę. Istota była wychudzona jak żywy szkielet, opleciony ścięgnami i pokryty brudem; jej kończyny przypominały ostrugane kije do szczotek. Podkraśla się do mnie na czterech łapach, pochyliła łeb i obwąchała moją nogę od kostki po udo. Miała przerażający, demoniczny pysk mutanta: dwa otwory w miejscu nosa, przerośnięte usta i zbyt duże oczy, które zerkały na mnie spoza kosmyka cienkich jak pajęczyna włosów. Błysnęły złotym światłem, które rozjaśniło cały ohydny pysk.

W pobliżu rozległ się hałas i stwór odskoczył trwożliwie na dwóch łapach, wzbijając tumany kurzu. Schował się do otworu w ziemnej ścianie, pięć metrów ode mnie. Usłyszałem liczne pochrząkiwania i warczenie. Stworów było więcej niż trzy, cztery czy nawet tuzin.

Dużo więcej.

Podparłem się na łokciach i wyteżyłem wzrok. Setka złotych światełek tłoczyła się w półmroku ziemnej jaskini.



Oczy. Wszystkie były zwrócone w moją stronę. Dawno już nie modliłem się tak naprawdę, od czasu gdy zamieniłem wiarę na wiedzę, ale teraz nie pozostało mi nic innego, jak czym prędzej przeprosić się z religią. Była moją jedyną nadzieją.

Rozejrzałem się. Tak jak mi się wydawało, znajdowałem się w jakiejś pieczarze o ścianach i suficie z ubitej ziemi, z których sterczały korzenie roślin; te z sufitu zwieszały się półtora metra nad moją głową. Śmierdziało strasznie ściekami i zgnilizną. Wstrzymując oddech odważyłem się rzucić okiem na wpatrzone we mnie bestie, ale blask ich oczu uniemożliwił mi dostrzeżenie pysków i widziałem tylko fragmenty poruszających się ciał.

Jeden ze stworów odłączył się od tłumu i podszedł do mnie. Długą chwilę stał nade mną bez ruchu, zanim przyklęknął i zniżył pysk do mojej twarzy. Było w nim coś dziwnie ludzkiego, kiedy ze zmarszczonym czołem pochylał się nade mną w skupieniu, jakbym to ja był dziwołagiem. Może faktycznie nim byłem. Twarz istoty była upstrzona pokaźną kolekcją paskudnych bruzd, brodawek i znamion wielkości ziarna fasoli i porośnięta kępkami szorstkiej sierści. Przyglądał mi się jeszcze przez piętnaście sekund. Ani raz nie mrugnął.

A potem się uśmiechnął. Naprawdę się uśmiechnął! Uśmiechnął się szeroko, z rozmysłem, i długą chwilę trwał w tym grymasie. Na policzku miał podłużną bliznę, po której go rozpoznałem: to jego pierwszego zobaczyłem za oknem.

Wyprostował się i nie odrywając ode mnie wzroku, podniósł chude jak szczapy ręce.

– Kahtah! – zawołał, tłum powtórzył jego gest.

– Kahtah! – zabrzmiało w odpowiedzi.

Zamurowało mnie. Oni mówią, pomyślałem. Ależ mam przerąbane... Szturchnął się szponem w pierś.

– Fenal – oznajmił, przekrzywiając łeb. Miał niski, chrapliwy głos.

Zapadła cisza, cholernie przerażająca cisza, którą przerwał, mówiąc... Nie, żądając: – Ty... pomóc.

To, co zdarzyło się po chwili, było kompletnie niespodziewane i zdumiewające.

Pojawił się drugi Izolant. Na jego twarzy malowało się coś, czego nie da się nazwać inaczej niż nabożnym lękiem. Kiedy się na mnie napatrzył, sięgnął za plecy, coś stamtąd wyciągnął i postawił koło moich nóg.

Moja torba lekarska. Spakowałem ją w dzień po przeprowadzce i trzymałem w bibliotece, aby mieć ją pod ręką w razie nagłej konieczności. Włożyłem do niej podstawowe wyposażenie apteczki: gazę, antybiotyki, jednorazowe strzykawki i igły – wszystko, co może się przydać podczas niespodziewanej wizyty domowej. Po tym jak przebiłem sobie stopę gwoździem, dotarło do mnie, że w każdej chwili może się stać coś złego i lepiej przygotować się na najgorsze. W praktyce torba przydawała mi się tylko podczas wizyt u Deightonów i spotkań z Rosy. Jak to było dawno...

Stwór imieniem Fenal złapał mnie za przegub dłoni i szarpnięciem podniósł z podłogi.

Dwaj inni złapali mnie pod ramiona i pociągnęli w korytarz o ścianach z rudej gliny, porośniętych oślizłym mchem. Mnóstwo Izolantów biegło przede mną, równie wielu miałem za plecami; przemieszczali się po ziemi, ale też pełzali po ścianach i suficie jak olbrzymie owady, poszturchując mnie i ponaglając. Blask ich ślepi oświeślał mi drogę. Smród w podziemnych korytarzach przyprawiał o mdłości; przypominał odór niesiony wiatrem z pól wokół Ashborough, był jednak znacznie bardziej intensywny. Pokrzykiwania i skowyty niosły się po tunelu, zwielokrotnione echem. Otaczał mnie ruchliwy, podekscytowany tłum.

Korytarz rozszerzył się i rozwidlił kilka razy. Obok przemykały jakieś jazgoczące sylwetki.

Kręciło mi się w głowie. Zakrztusiłem się, zadławiłem i w końcu wymiotowałem, ale cały czas posuwałem się naprzód. Popychali mnie, więc nie miałem innego wyjścia, jak brnąć po omacku, kierowany przez niegodnego zaufania przewodnika. Stopy grzęzły mi w błocie, żołądek zaciskał się w supeł, przeciążone mięśnie skomlały. Jęczałem z bólu, przyciskając do piersi torbę, jakby to w niej zawierała się moja jedyna nadzieja na przeżycie.

Po niedługim czasie się zatrzymaliśmy. Morze brudu rozstało się przede mną; Izolanci rozpierzchli się jak karaluchy w świetle lampy. Stałem w rozkroku, dysząc ciężko, aż jeden z nich szturchnął mnie w udo i pokazał, że mam iść za nim. Skręciliśmy w boczny korytarz, gdzie powitał mnie prawdziwie upiorny widok.

Stałem w wejściu do olbrzymiego pomieszczenia, które musiało zostać wydrążone albo we wnętrzu jakiegoś kopca, albo po prostu pod ziemią. W gliniastych ścianach były dziesiątki wnęk mieszkalnych, z których popatrywały na mnie złote oczy. Setki pochodni zalewały pieczarę widmowym, żółtawym światłem. Naprzeciwko wejścia, w jednym z wydrążonych pomieszczeń, zebrała się spora grupa Izolantów. Dzieliło mnie od nich ponad pięćdziesiąt metrów. Poczulem chłodny powiew na twarzy.

Fenal niespodziewanie pojawił się obok mnie i delikatnie popchnął mnie do przodu.

Wszystkie te cholerne potwory gapiły się na mnie tymi swoimi żółtymi ślepiami. Tak mógłby się poczuć kosmonauta zamknięty w zoo na jakiejś obcej planecie. Ciszę mąciły tylko rzadko rozlegające się piski, natychmiast tłumione gniewnymi warknięciami. Zatrzymałem się gwałtownie, zgiąłem

wpół i znowu zwymiotowałem, mimo że rozpaczliwie starałem się nie zauważać dławiącego smrodu potu, moczu, krwi, kału i Bóg wie czego jeszcze. Splunąłem, odkaszlnąłem i znów ruszyłem za Fenalem przez morze wyciągających się ku mnie rąk.

Prowadził mnie prosto w stronę gromady Izolantów zebranych pod przeciwległą ścianą, którzy na mój widok rozproszyli się – niektórzy poruszali się na dwóch nogach, większość czmychnęła na czworakach. Paru walczyło o kość z kawałkami mięsa, która na pierwszy rzut oka wydała mi się kawałkiem ludzkiej nogi. Fenal odsunął na bok szmatę wiszącą w wejściu do wydrążonej w ścianie wnęki.

Była mała, wilgotna i żałośnie ciasna; ledwie mogłem się w niej wyprostować. Dwie nieduże pochodnie cięły płomieniami mrok.

– Pomóc... Cerpdas. – Fenal wskazał coś kościstym palcem.

Spojrzałem w tym kierunku i zobaczyłem kolejną istotę, najwyraźniej nazywaną Cerpdas. Leżała półnaga pod ścianą, w barłogu z łachmanów, i się trzęsła. Do pasa okrywał ją – ją, ponieważ była płci żeńskiej, czego dowodziły odsłonięte piersi, obwisłe i upstrzone znamionami – jutowy worek.

Odwróciłem się do Fenala. Na jego twarzy malowała się ta sama desperacja i napięcie, które zwróciły moją uwagę już wcześniej, kiedy ujrzałem go za oknem. I nagle, z niezrozumiałych dla mnie powodów, przestałem się bać. Czułem tylko presję, ponieważ zrozumiałem, że sprowadzono ranie w to miejsce, aby podjął się zadania, które mogło się okazać niewykonalne. Nie wiedziałem, czy zawartość mojej torby okaże się wystarczająca.

Fenal przykucnął obok Cerpdas i pogłaskał ją po ręce. Jej oczy zmatowiały, przygasały. Była chora.

Postawiłem torbę na ziemi, odetchnąłem głęboko zgniłym powietrzem i przykucnąłem. Centymetr po centymetrze ostrożnie zsuwałem worek zasłaniający rozdęty brzuch, do chwili gdy zobaczyłem pierwszą plamę czerwieni. Znowu poczułem obezwładniający smród; odór rozkładu i odchodów sugerował, że Cerpdas leżała tak już od dłuższego czasu.

Chciałem mieć to jak najszybciej z głowy. Szarpnąłem worek...

I wytrzeszczyłem oczy. Widok był dziwaczny i niewiarygodny, ale absolutnie, niezaprzeczalnie prawdziwy.

Izolancka samica leżała z rozłożonymi nogami. Sącząca się z jej dróg rodnych mieszanina krwi i wód płodowych utworzyła małą kałużę, a z pochwy sterczał mały, koślawy pazur, jak wyłaząca spod ziemi larwa.

– Pomóc Cerpdas – poprosił Fenal, czule głaszcząc sfilcowane włosy na jej gruszkowatej głowie. – Pomóc.

Wziąłem się do roboty, starając się za bardzo nie myśleć o tym, co mam zrobić, ponieważ nie był to najlepszy moment na zadawanie pytań i powątpiewanie w swoje umiejętności. Musiałem tylko być silny, nie zwariować i wmówić sobie, że to po prostu jedna z wielu moich pacjentek, której muszę w trybie awaryjnym zrobić cesarkę (czego, nawiasem mówiąc, nigdy nie robiłem).

Wyjąłem z torby skalpel i odłożyłem go na worek. Przemyłem brzuch Cerpdas alkoholem i przetałem środkiem znieczulającym. Odetchnąłem głęboko, modląc się w duchu, żeby był to kolejny z moich sennych koszmarów, ale w głębi duszy wiedziałem, że tym razem nie obudzę się tak po prostu w łóżku i nie wykpię krwią na rękach.

Wziąłem skalpel do ręki i powoli naciąłem brzuch. Brunatna krew spłynęła na boki i z rozcięcia wynurzyła się malutka dłoń, bryzgając mi krwią w twarz. Przedramieniem otarłem oczy – w samą porę, żeby zobaczyć, jak pojawia się druga rączka i pięć kościstych palców z żółtymi

paznokciami. Zawahałem się, nie chciałem ich dotykać, ale Fenal co chwilę powarkiwał „Pomóc... pomóc...”, więc tylko zamknąłem oczy i sięgnąłem w głąb rany.

Złapałem płaczącą istotę i wyciągnąłem ją z brzucha matki.

Trzymając ją w wyprostowanych rękach, otworzyłem oczy. Zobaczyłem małego, włochatego demona, trochę obrzmiałego jak zwyczajne ludzkie dziecko po narodzinach, ale bacznie zerkającego szeroko otwartymi oczami. Krztusił się zgęstniałą mieszaniną płynów, które odciągnąłem ssakiem. Oddałem rozryczane młode stojącemu za mną Izolantowi, który natychmiast cofnął się w ciemny kąt pomieszczenia.

Spojrzałem na matkę. Jej oczy lśniły słabo, jakby zbierała siły, żeby mi podziękować.

Oczyściłem ranę, zaszyłem ją niezdarnie i przykryłem grubą warstwą gazy i bandaża.

Podąłem penicylinę i pogodziłem się z myślą, że nic więcej nie mogę zrobić.

Cofnąłem się po omacku i oparłem plecami o ścianę; głową natrafiłem na miękkie płat pleśni. W słabym świetle pochodni obserwowałem pozostałych obecnych – około tuzina Izolantów, którzy utkwili we mnie pytające spojrzenia. Jeden z nich, strasznie zdeformowany, odłączył się od stada i podszedł do mnie, powłócząc bezwładnie jedną nogą. Powiódł palcem po węzlastej bliźnie na udzie.

Drugi odepchnął tamtego i złapał mnie za rękę. Z jednego złotego oka płynęły mu łzy, drugie – zasuszone, skurczone, szare jak kamień – zwisało z oczodołu na skrawku mięśnia i kołysało się jak wahadło.

Fenal również dopadł do mnie.

– Pentaff! Blahtah! – Tamci natychmiast się odsunęli, a w jego oczach zalśnił podziw.

– Wybawiciel – powiedział.

Wybawiciel? Boże święty...

Na miękkich nogach wróciłem do wielkiej komory, gdzie otoczył mnie tłum Izolantów: ociekające chorobliwym śluzem pyski, źle zrosnięte złamania, zdeformowane kończyny, lament, błagania o pomoc. Nagle wszystko stało się jasne. Wiedziałem już, jaką rolę mi wyznaczyli. Mieli to wypisane na wykrzywionych cierpieniem twarzach: rozpaczliwą nadzieję, że uzdrowię ich wszystkich, że dzięki mnie odzyskają dawną siłę, że zaopiekuję się nimi jak przedtem Neil Farris. I tak jak lekarz, który przed nim mieszkał przy Harlan Road 17.

Wybawiciel...

Chwytały mnie szponiaste dłonie. Potworne jęki wypełniały mi głowę. Dusilem się.

Ogarnęła mnie ciemność, którą powitałem z wdzięcznością i osunąłem się na ziemię.

# ROZDZIAŁ 27.

Nudziłem się.

Nie od razu dotarło do mnie, że udało mi się przeżyć tę noc. Próbowałem się poruszyć, ale cały byłem odrętwiały, z czego wnioskowałem, że bardzo długo leżę już w tej pozycji, na brzuchu. Na dodatek nic nie widziałem. Mogłem tylko leżeć i próbować złapać oddech, który mimo moich wysiłków ciągle mi się wymykał. Wkrótce odzyskałem zmysły.

Podmuch wiatru prześliznął mi się po skórze. Pod palcami i twarzą czułem miękką, trawiastą ziemię. Poruszył mnie rozbrzmiewający w oddali ptasi śpiew. Znalazłem w sobie w końcu dość energii, aby podnieść powieki i stwierdziłem, że otacza mnie mrok przedświt. Gwiazdy bledły, odłamek księżyca budził słabiutkie cienie... Miałem aż nadto dowodów na to, że mimo wszystko przeżyłem noc. Że jednak mnie oszczędzili.

Kiedy wreszcie zacząłem normalnie oddychać, podniosłem się ostrożnie z ziemi, spodziewając się zawrotów głowy. I rzeczywiście, zakreśliło mi się w głowie na potęgę, omal nie straciłem równowagi. Stałem na trawniku za domem. Widok okien biblioteki natychmiast otrzeźwił mnie, przywrócił do rzeczywistości i uświadomił mi, co powinienem z nimi zrobić, i to jak najszybciej. Stały mi przed oczami stalowe drzwi, zainstalowane przez Neila Farrisa i pochopnie zdemontowane przeze mnie. Następne posunięcie z mojej strony było absolutnie konieczne, nawet jeśli wyda się jeszcze bardziej drastyczne.



Wszedłem do poczekalni; drzwi nie były zamknięte na klucz. Izolanci mogli mnie spokojnie okraść, kiedy odwiedzałem ich w ich legowisku. Nie widząc błotnistych śladów na dywanie, doszedłem do wniosku, że jednak tego nie zrobili, chociaż na pewno nie z wrodzonej szlachetności.

Nie zapalając światła, po omacku przemierzyłem poczekalnię i korytarz i wszedłem do kuchni, gdzie szurając ostrożnie nogami, podszedłem do stołu. Nie od razu wymacałem w powietrzu sznurek wyłącznika żyrandola, ale w końcu złapałem go i pociągnąłem. Okrutne światło zalało pomieszczenie, siekąc mnie po oczach jak promień lasera. Poczekałem, aż odzyskam wzrok, i odkryłem stojący na stole talerz z przykrytymi folią resztkami świątecznej kolacji.

Powinienem się ucieszyć, ale nie było mi za wesoło. Wzdrygnąłem się tylko i milion paranoicznych myśli jednocześnie naparło na mój mózg, takich jak: A jeśli jedzenie jest zatrute? albo: To pewnie jakiś podstęp. Bałem się zaufać jakiemukolwiek aktowi dobroci, nawet temu hojnemu gestowi Christine, która w ten sposób desperacko próbowała ratować nasze małżeństwo. Usiadłem przy stole. Miałem ochotę coś zjeść, byłem głodny jak wilk, ale tylko gapiałem się w talerz. Bałem się, że... A poza tym to jedzenie wcale nie wyglądało zachęcająco. Ani trochę. Najwidoczniej w domu Izolantów zostawiłem nie tylko duszę, ale i apetyt.

Wstałem, napiłem się wody z kranu, zgasilem światło i poczłapałem na sofę w salonie, gdzie zwinięty w pozycji płodowej doczekałem świtu.

W którymś momencie musiałem zasnąć. W pewnej chwili coś wynurzyło się z ciemności i dotknęło mojej zwisającej ręki. Ktoś mnie wołał. Wrzasnąłem, ciężko przerażony, i wybałuszyłem oczy. Obok sofy stała Jessica, skąpana w porannym świetle i wyraźnie przestraszona. Krzyknęła, cofnęła się odruchowo i klapnęła na pupę, ale w mgnieniu oka

zerwała się jak kot, który spada na cztery łapy, i z płaczem uciekła z pokoju.

Do którego natychmiast wparowała Christine. Wyglądała fatalnie: podkrążone, opuchnięte oczy, żółtawa skóra, bez makijażu. Kosmyk włosów wymknął się jej z koka i przesłonił wykrzywioną ze złości twarz.

– Czy ty, cholera, zwariowałaś?!

Jej słowa paliły jak kwas. Krzyczała dalej, ale jej głos tylko zamulał mi głowę jak błoto. Bełkot.

O Boże, pomyślałem. Gdyby wiedziała...

Stałem na obolałych nogach i odkuśtykałem, kuląc się w oczekiwaniu jej następnego posunięcia. Zanim dotarłem do schodów, wróciła do kuchni, skąd za chwilę wybiegła z talerzem jedzenia, które dla mnie przyniosła, i rzuciła nim we mnie. Chybiła, talerz roztrzaskał się o drzwi wejściowe. Większość jedzenia wylądowała na podłodze w salonie, część na mnie. W obawie przed następną salwą wbiegłem na górę i dopiero tam się zatrzymałem.

Słyszałem szloch Christine i głośny płacz Jessiki; serce mi się krajało na myśl o przykrości, jaką sprawiam córce. Zatkaną sobie uszy i pobiegłem w głąb przedpokoju.

Drzwi do łazienki były otwarte. Wyrzuciłem kolanem w futrynę mniej więcej w tym samym momencie, gdy z parteru dobiegł mnie trzask zamykanych drzwi frontowych. Ból wgryzł się w moje ciało. Przygryzłem sobie język, złapałem się za kolano i podskakując na jednej nodze, stanąłem przed lustrem. Szczeka mi opadła, kiedy zobaczyłem swoje odbicie.

Błoto. Wszędzie: na twarzy, we włosach, na ubraniu. W mordę jeża, wyglądałem jak jakieś monstrum! Ściągnąłem brudne ciuchy, wszedłem do wanny i przesiedziałem w niej ponad godzinę, zmywając z siebie nocną

ohydę i próbując wypłukać wspomnienia z głowy – ale bez powodzenia. Wiedziałem, że przeżycia tej nocy zostaną ze mną na wieki.

W końcu z trudem wygramoliłem się z wanny; woda dawno ostygła. Zdjąłem z wieszaka ręcznik, wciąż wilgotny po kąpieli Christine, i wytarłem się nim, wdychając delikatny, kobiecy zapach uwięziony w miękkim materiale. W końcu wepchnąłem sobie róg ręcznika do ust, żeby poczuć smak przeszłości i minionych rozkoszy.

Boże, jak ja chciałem, żeby ta przeszłość wróciła.

Jak bardzo tego chciałem.

Piękna, cudowna przeszłość.

Pół godziny później siedziałem w pokoju w czystym ubraniu, zdeterminowany, aby odzyskać wszystko, co straciłem.

Wiedziałem, że istnieje tylko jeden sposób.

Musiałem walczyć do samego końca. Gorzkiego końca.

## ROZDZIAŁ 28.

**W**salonie pachniało trochę jak po kolacji w Święto Dziękczynienia. Uprzątnąłem rozrzucone jedzenie najlepiej, jak umiałem. Zebranie wszystkiego było niemożliwe (postanowiłem nawet nie przymierzać się do ściany pod schodami, na której piure ziemniaczane i żurawina utworzyły surrealistyczny wzór), ale co większe kawałki indyka, nadzienia i słodkich ziemniaków powędrowały do kosza.

W którymś momencie moje ciało zasygnalizowało wreszcie, że jest głodne. Pusty żołądek lwim rykiem obwieszczał swoje niezadowolenie, napełniłem go więc bajgłem, bananem i kawą rozpuszczalną. Od tygodnia nie zjadłem tyle na jeden raz. Siedząc przy stole, planowałem pierwszy ruch, który wcale nie zapowiadał się łatwo. Chciałem zabezpieczyć dom przed intruzami. Po tym, jak dowiedziałem się, co naprawdę nam zagraża, musiałem zabić deskami wszystkie drzwi i okna. Nie chciałem przeżywać kolejnej nocy ze świadomością, że moja rodzina nie jest bezpieczna. Kiedy już to załatwię, co zajmie mi większość dnia, zacznę się zastanawiać, jak się wynieść z Ashborough.

Wiedziałem, że będę musiał wykazać się sprytem. Szybka ucieczka nie wchodziła w grę.

Mam gdzieś tutejsze „prawo” i jego stróżów.

Wyjrzałem przez okno.

Jakiś człowiek szedł w stronę domu.

Kurczę. Zapomniałem o pacjentach.

Najwyraźniej jacyś jednak byli poumawiani. Oto pierwszy z nich, pan Punktualny: zameldował się u mnie dokładnie o dziewiątej trzydzieści.

Wstałem od stołu, przejrzałem się w lusterku nad kuchenką (zobaczyłem potwora, ale czego innego się spodziewałem?) i przeszedłem do poczekalni. Na sofie siedział drobny, całkiem zwyczajnie wyglądający mężczyzna, mniej więcej czterdziestoletni. Miał skrzyżowane nogi, ręce trzymał na kolanach, prawie łysą głowę oparł na oparciu sofy.

Spojrzał na mnie, kiedy podszedłem, i uśmiechnął się przyjaźnie spod kilkudniowego zarostu.

Wstał, podaliśmy sobie ręce. Dłoń miał wątłą i zimną.

– Dzień dobry, doktorze Cayle. Cieszę się, że mogę w końcu poznać pana osobiście.

Sporo o panu słyszałem.

– Pan...

Zawahał się, nerwowym gestem przeczesał rzednące włosy, zmrużył oczy i przekrzywił głowę, jakby ogromnie się zdziwił.

– Sam. Sam Huxtable. Nie byłem umówiony.

W normalnych warunkach skończyłoby się pewnie tak, jak tego oczekiwał: uśmiechy, wymiana uprzejmości, przejście do gabinetu, badanie. Ja jednak zareagowałem z arogancją typową dla ofiary paranoi, człowieka żyjącego w potwornym strachu, ale napędzanego wolą przetrwania za wszelką cenę. Nie mogłem się powstrzymać. Musiałem wyładować na kimś swoją frustrację i tym kimś stał się Sam Huxtable.

Złapałem go za przód koszuli i pchnąłem na ścianę. Wisząca na niej reprodukcja Moneta spadła z hukiem na podłogę, a ja kopnąłem Sama kolanem w krocze. Zgiął się wpół, co pozwoliło mi przejąć kontrolę nad sytuacją. Rzuciłem go na podłogę, odwróciłem na plecy i usiadłem na nim

okrakiem. Jedną ręką dalej trzymałem go za koszulę, drugą wczepiłem w resztki włosów na jego głowie.

Spod jego kurczowo zaciśniętych powiek pociekły łzy. Wilgotne od śliny usta wykrzywił grymas przerażenia.

– To boli...

– No ja myślę!

– Proszę mnie puścić.

– Zrobię to... kiedy odpowiesz na moje pytania.

Natychmiast otworzył oczy, zaczerwienione i szkliste. Puściłem jego włosy, ścisnąłem za to mocniej za kołnierz, żeby mi nie uciekł, i walnąłem nim parę razy o podłogę, żeby dać do zrozumienia, że naprawdę nie żartuję.

– Pytania? Nie wiem... czy będę umiał... – Rozkaszłał się.

– Będziesz umiał i zrobisz to. Gotowy?

Nie odpowiedział, nawet się nie poruszył.

– Gotowy?!

– Po–postaram się. Niech mi pan nie robi krzywdy.

Nie rozluźniłem uścisku. Widziałem, że nie ma ochoty ze mną rozmawiać. Może uważał, że nie powinien; domyślał się pewnie, że nowy lekarz spotkał się w końcu z prawdziwymi władcami Ashborough, ale nie jest jeszcze gotowy przestrzegać ich praw. Ale przede wszystkim wiedział, że nie może puścić pary z ust, bo w przeciwnym razie małe skurczybyki zawłoką mu żonę albo córkę do lasu i odeślą z powrotem bez ręki albo nogi.

Chciałem go zabić. Naprawdę miałem ochotę zatłuc skurczybyka!

Odetchnąłem głęboko, wziąłem się w garść.

– Nie staraj się – powiedziałem – tylko mów wszystko, co wiesz. Jeśli tego nie zrobisz, to jak mi Bóg miły, połamię ci ręce i nogi, zawłokę cię na

ten wielki zakrwawiony kamień i nakarmię tobą leśne ludki. Co ty na to?  
No?

Bóg mi świadkiem, że byłem gotowy spełnić swoją groźbę.

– Proszę mnie puścić.

– Słucham?! Nie mam najmniejszego zamiaru.

– Niech mnie pan puści. Obiecuję, że powiem wszystko, co wiem.

Przycisnąłem go mocniej do ziemi, aż zaczęły mnie łapać skurcze w rękach. Stęknął z bólu, zakaszłał, drobinki śliny poleciały mi na twarz. Jego i tak blada skóra zbieleła jeszcze bardziej, kiedy dotarło do niego, że właśnie mnie opluł.

– Przepraszam... – Znow odkaslnął. I znow na mnie splunął. – Przepraszam, niech mnie pan puści!

– Dlaczego mam ci zaufać?

– Daję słowo... Powiem wszystko, co wiem.

Rozluźniłem uścisk.

– Wszystko...

– Wszystko, co wiem – podkreślił. Czyli nie powinienem spodziewać się zbyt wiele. – Proszę nie robić mi krzywdy.

Wstałem i pociągnąłem go za sobą. Omal nie straciliśmy równowagi, ale w końcu zawlokłem go do biblioteki, pchnąłem na środek pokoju i zamknąłem za sobą drzwi. Oparł się o biurko i stał nieruchomo; tylko jego pierś unosiła się i opadała w przyspieszonym rytmie.

Najwidoczniej nie przywykł do tak intensywnych ćwiczeń fizycznych.

„Zacznij ćwiczyć, ogranicz spożycie tłuszczów. Więcej owoców, więcej błonnika. Zalecenie lekarza”.

Obaj przez chwilę dyszeliśmy ciężko, zanim wskazałem mu krzesło przy biurku i kazałem usiąść. Nie chciał mi spojrzeć w oczy. Został pokonany. Od początku nie miał ze mną szans i dobrze o tym wiedział.

Skinął głową, poczłapał do krzesła ciężkim krokiem, jak ranny żołnierz, i usiadł, wpatrując się w blat biurka. Koszulę miał rozdartą przy kołnierzyku, jeden policzek poczerwieniał mu intensywnie, łzy płynęły ciurkiem po twarzy. Wyglądał żałośnie, chociaż pewnie i tak lepiej ode mnie.

Kiedy tak na niego patrzyłem, nagle ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Było mi wstyd.

Frustracja i determinacja doprowadziły mnie do punktu, w którym poczucie winy dręczyło mnie jak złośliwy wirus. Zrobiłem coś, czego nie da się już cofnąć, i po drodze straciłem kawałeczek duszy, a właściwie kawałeczek tego kawałeczka, który mi jeszcze został.

Tłumaczyłem sobie, że nie miałem wyboru, bo przecież chodziło o dobro mojej rodziny.

Działaj albo giń.

Sam podniósł na mnie wzrok.

– Kijowo wyglądasz – stwierdził bez ogródek.

Na jego miejscu trzymałbym raczej buzię na kłódkę, ale chyba po prostu przejrzał mnie na wylot. Zdawał sobie sprawę, że nie jestem mordercą. Wręcz przeciwnie.

Nawet jeśli... To czy człowiek nie jest zdolny zabić w obronie rodziny?

Schowałem ręce do kieszeni, szukając w tym geście pociechy, ale bez powodzenia.

– Ty też – odparłem. – Przynajmniej w tej chwili.

– Już wcześniej się tak czułem, zanim przyszedłem.

Pokiwałem głową.

– O co chodzi?

– To ty powiedziałaś, że chcesz pogadać – burknął ze złością.



Zorientował się, że przejąłem inicjatywę i zepchnąłem go do obrony. Mogłem teraz swobodnie zwiększyć presję i coś z niego wydusić.

– Mam kilka pytań, Sam. Pewnie się domyślasz, czego dotyczą. Nie lubię, kiedy coś się przede mną ukrywa, zwłaszcza jeśli dotyczy to mojej rodziny. A ja muszę ci powiedzieć, że sprawy, o które zamierzam cię zapytać, dotyczą mnie jak nigdy wcześniej.

Patrzył na mnie bez słowa.

– Powiem tak: dałem się zrobić w konia, tak samo jak wszyscy, którzy żyją w Ashborough... Chociaż ja bym tego nie nazwał życiem, bardziej mi to przypomina trwanie pod rządami współczesnej inkwizycji. Nie uważasz? Różnica między mną a wami jest taka, że ja nie zamierzam tego znosić i guzik mnie obchodzi, czy w ten diabelski spisek zamieszane jest nasze miasteczko i pół okolicy. Zapłaciłem haracz, a teraz stąd spieprzam.

Uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Genialne... – Nagle odzyskał mowę. – Myślisz, że ja nie próbowałem wyjechać? Że inni nie próbowali? Nic nie rozumiesz, doktoru. Oni są wszędzie jak jakieś cholerne karaluchy. Wszystko widzą i słyszą. I kiedy człowiek sobie myśli, że może się spakować i zwać, uderzają ze zdwojoną siłą i robią mu z życia piekło. Nie wahają się zabić. Na pewno już widziałeś, co potrafią, prawda? Dlatego mnie przepytujesz? Widziałeś, do czego są zdolni, i boisz się zaryzykować. Zapłaciłeś haracz? Nie żartuj. Nawet nie zacząłeś ich spłacać.

– Tak? To powiedz mi, jak mieliby mnie zatrzymać, kiedy wsiądę do samochodu?

Instynktownie przeczuwałem, że jest to możliwe, ale chciałem usłyszeć, co powie człowiek bardziej doświadczony, znający więcej faktów.

– Może sam sprawdzisz? Mogą ci rozgrzebać silnik. Jak będzie trzeba, rzucą się pod koła. Zrobią wszystko, żeby cię nie wypuścić. A wiesz, co w

tym wszystkim jest najbardziej pokręcone, doktorku? To, że później przyjdą po ciebie, żebyś leczył ich poharatanych męczenników. Śmiało, jedź. Zabierz rodzinę i pędź jak wiatr swoim minivanem. Potem przez tydzień będziesz składał połamane ręce i bandażował potrzaskane żebra.

Pomyślałem o Christine i tajemniczym „zwierzęciu”, które wyskoczyło jej przed maskę. Przypomniałem sobie nocną wizytę w ich legowisku. I to, jak jeden z nich podszedł do mnie, kiedy skończyłem operować.

Powłóczył nogą. Jak po potrąceniu przez samochód.

To nie były żarty.

– Boże...

– Kiedyś też chciałem wyjechać – ciągnął Sam. – W środku nocy. Wsadziłem żonę i syna do samochodu; wydawało mi się wtedy, że nic nie wiedzą o Izolantach. Myliłem się. Wróciłem do domu po kluczyki, które zostały na stole w kuchni. Kiedy wybiegłem z powrotem na dwór, kłębili się wokół samochodu. Nic nie widziałem, nawet kół; wyglądał jak ciastko, które oblażyły mrówki. Moja żona i syn zostali w nim uwięzieni na wiele godzin, a ja mogłem tylko stać, patrzeć i czekać, aż wstanie nowy dzień. Wtedy Izolanci uciekli, rozpierchli się wszyscy naraz, to była przerażająca scena. Nadal chciałem wsiąść do wozu i jechać, ale mój syn spanikował, nastąpiła hiperwentylacja i zapadł w śpiączkę. Niewiele brakowało, żeby zmarł. Doktor Farris go uratował, ale ja wcale nie jestem przekonany, że dobrze się stało. Teraz codziennie mam przyjemność oglądać Josha w łóżku, gdzie leży zwinięty w kłębek i cierpi z powodu odleżyn.

– Nie... nie zawiozłeś go do szpitala?

Zmęczonym gestem przetarł oczy.

– Nie słuchałeś mnie, doktorku. Szpital jest w Ellenville, a mnie nie udało się nawet odjechać spod domu.

Chciałem zapytać, dlaczego nie zadzwonił po pomoc do innego miasta, ale sam przecież próbowałem i wiedziałem, jak to się kończy.

– Ale to przecież nie ma sensu... Niemożliwe, żeby cały świat sprzyściągł się przeciwko Ashborough. Rząd nic nie może zrobić? Przecież można wezwać Gwardię Narodową, niech wykurzy skurwieli z lasu!

Sam złożył ręce na kolanach.

– Mogę się czegoś napić?

Skinąłem głową i nalałem nam obu brandy z barku. Sam upił mały łyk i mówił dalej: – To efekt bufora. W promieniu osiemdziesięciu kilometrów od Ashborough jest pięć większych miasteczek: Ellenville, Claybrooke, Townshend, Beverly i Beauchamp. Dzielą je od nas setki hektarów lasów zamieszkałych przez Izolantów. Pewnie byłeś już w ich legowisku.

– Tak, miałem tę przyjemność...

– Właśnie, legowiska... To tutejsze, w Ashborough, jest największe, ale po lasach są rozrzucone dziesiątki innych, niniejszych. Są połączone i tworzą ogromny labirynt; Izolanci przemierzają się nim z wielką łatwością i obserwują mieszkańców, którzy mają domy na obrzeżach Ashborough. Ci ludzie z kolei pilnują, żeby żadne informacje na temat Izolantów nie wydostawały się poza miasto. Wiedzą, kto do nas przyjeżdża, i dbają o to, żeby nikt nie wyjechał.

– Chcesz powiedzieć, że mają szpiegów? Wśród ludzi?!

Skinął głową.

– Ci szpiegowie są stale obserwowani tak jak ty czy ja, a poza tym zastraszeni. Nie mają innego wyjścia, jak spełniać żądania Izolantów, jeśli nie chcą paść ich ofiarą ani narazić swoich bliskich.

– To już słyszałem.

– Zapewne także widziałeś. To nie są zwierzęta. To rasa inteligentnych i przebiegłych... powiedziałbym ludzi, którzy przez setki lat rządili się

swoimi prawami. Mają swoje zasady, których bezwzględnie przestrzegają. Nie ma przed nimi ucieczki, doktoru.

Dlatego radzę ci, jeśli chcesz spokojnie żyć, zajmij się pracą, jakby nigdy nic, a kiedy każą ci coś zrobić, zrób to. I nie zapominaj, że jedną z najważniejszych reguł jest zakaz wspomniania o ich istnieniu.

– To dlaczego teraz mi o nich mówisz?

– Groziłeś mi śmiercią.

Pokiwałem głową. Znow zaczęło mnie gryźć sumienie.

– Przepraszam...

– Nie przepraszaj, doktoru. Wiem, jak jest. Mieszkam tu od pięciu lat. Staram się żyć normalnie, z poprawką na stan mojego syna, ale prawdę mówiąc, mam już dość oglądania go w takim stanie. I tak sobie myślę, czy nie lepiej byłoby, gdyby on... gdyby...

– Nie mów tak.

Sam Huxtable rozmawiał ze mną otwarcie, ponieważ chciał, żeby zabrali jego syna.

Ale przecież nie miał gwarancji, że nie będą go dalej dręczyć, prawda? Albo że nie przyjdą po jego żonę?

Po żonę...

– Powiedziałeś, że kiedy postanowiłeś wyjechać, wydawało ci się, że twoja rodzina nie wie o istnieniu Izolantów. Co miałeś na myśli?

Pociągnął jeszcze jeden mały łyk brandy, potem dopił resztę jednym haustem i się skrzywił. Dolałem mu.

– Próbowałem nie wspominać o Izolantach, ale okazało się, że Janice, moja żona, również ich widziała. Stara pani Zellis ją także nastraszyła, kazała jej siedzieć cicho i wykonywać polecenia. Przez trzy lata manipulowali niezależnie mną i moją żoną. Nie mieliśmy nawzajem pojęcia o swojej udręce; nie chcieliśmy o nich rozmawiać, żeby nie narażać Josha.

W końcu Janice się załamała: przedawkowała przepisany jej przez Farrisa środek uspokajający. Na szczęście skończyło się na trwających dobę wymiotach, ale przy tej okazji odkryliśmy, że oboje mieliśmy nieprzyjemność poznać panią Zellis i od dłuższego czasu jesteśmy dręczeni przez Izolantów.

Nagle ostrzegawczy strzał Lauren Hunter nabrał dla mnie sensu.

Christine...

Ta ewentualność przenikała mnie grozą do szpiku kości.

– Chcesz powiedzieć, że mogę nie być jedyną osobą, nad którą się pastwią?

Sam pokiwał głową i wstał.

– Chyba już czas na mnie.

Zaniemówiłem. Nagle to ja poczułem się pokonany.

– Po co w ogóle przyszedłeś?

Przyspilił mnie spojrzeniem ciemnych oczu.

– Stara pani Zellis mi kazała.

I wyszedł.

## ROZDZIAŁ 29.

Rozkołysaną ścianę drzew na tle pochmurnego nieba oświetlało słońce, które jakoś nie mogło nagrzać powietrza. Straszło deszczem, zimny wiatr przeszywał mnie na wskroś.

Stałem w drzwiach poczekalni i zastanawiałem się, w którą stronę poszedł Sam Huxtable. Mógł skręcić w lewo, do domu, albo w prawo, w głąb lasu, aby złożyć meldunek ze spotkania z pocziwym lekarzem. Rozstaliśmy się przed półgodziną, którą spędziłem przyklejony do fotela za biurkiem. Zbierałem siły niezbędne do wykonania zadania, które wcześniej sobie wyznaczyłem.

W końcu poczucie rzeczywistości zwyciężyło i wyszedłem przed dom. Przeciąłem podwórko z energią maratończyka po skończonym biegu, po raz tysięczny sięgnąłem do najgłębszych rezerw organizmu, żeby obronić się przed obłędem. Poszedłem do garażu, gdzie zamierzałem spędzić następną godzinę, ściągając z poddasza składowane tam deski.

Garaż okazał się przytułkiem dla rozmnażających się na potęgę myszy i insektów, które znalazły w nim schronienie przed jesiennymi chłodami i nie omieszkały mi zasygnalizować swojego niezadowolenia z tego, że ktoś rozmontowuje ich azyl. Ja równie stanowczo dałem do zrozumienia, że ze mną nie ma żartów i za pomocą kawałka deski wyładowałem złość na wszystkich małych diabelstwach, które nawinęły mi się pod rękę.

Składzik drewna kazał mi przypuszczać, że Neil Farris również planował w którymś momencie zabicie deskami drzwi i okien w domu, ale nie zrealizował tego zamierzenia.

Oprócz desek znajdujących się na strychu, schludny stosik grubych dech piętrzył się pod ścianą w głębi, obok sterty nowych i używanych belek nośnych. Znalazłem również kilka nienapoczętych paczek gwoździ i nowiuteńki młotek, jeszcze z metką ze sklepu.

Zacząłem segregować deski i szło mi to doskonale, dopóki drzazga wielkości szpikulca do szaszłyków nie weszła mi w dłoń. Ból natychmiast przypomniał mi o gwoździu, którym przebiłem stopę w dniu przeprowadzki. Teraz tamto wydarzenie wydało mi się dawno zapomnianym ostrzeżeniem. Wydobycie drzazgi było równie bolesne i nie mniej krwawe, zamiast jednak opatrywać ranę, wróciłem do pracy, krzywiąc się czasem z bólu.

Postanowiłem zacząć od ponownego zainstalowania stalowych drzwi na obu końcach korytarza łączącego gabinet z resztą domu; cieszyłem się teraz, że ich nie wyrzuciłem. Dwoje drewnianych drzwi, które zdjąłem teraz z zawiasów, posłużyło mi do zasłonięcia lewej połowy frontowego okna. Drugą połówkę zabiłem drzwiami od garderoby.

Wydeptałem ścieżkę z garażu do domu, wynosząc deski i belki na dwór i rozkładając je na trawie jak kolekcjoner. Porównywałem ich rozmiary i przymierzałem do kolejnych okien.

Pochłodziła, pod lasem zebrała się szara mgła. Wiele razy przerywałem pracę i spoglądałem podejrzliwie na drzewa jak na rozumne istoty spiskujące z Izolantami.

Zwłaszcza że z lasu cały czas dobiegały dźwięki: szelesty, trzask łamanych gałązek, szmer liści. Starłem się nie zwracać na nie uwagi, ale za każdym razem, gdy odwracałem się tyłem, wzdrygałem się odruchowo, jakby przeszywały mnie lodowate spojrzenia. Pracowałem tak przez kilka godzin, spodziewając się, że lada chwila Izolanci wyskoczą z ukrycia i zniszczą moje dzieło.

Wiele godzin (i wiele skaleczeń) później większość możliwych dróg wejścia do domu została zabarykadowana. Zostawiłem tylko okna w bibliotece, wejście do niej i główne drzwi do poczekalni, solidne, dębowe, na których zainstalowałem cztery dodatkowe zasuwki.

Stalowe drzwi, oddzielające gabinet od reszty domu, miały zatrzymać intruzów. Izolanci udowodnili już, że bez trudu mogą wejść przez komin, którego również nie zabiłem. To o mnie im chodziło. Dopóki będą mieli dostęp do mnie, moją rodzinę zostawią w spokoju.

W którymś momencie przypomniałem sobie słowa Sama Huxtable'a, jak pryskającą bańkę mydlaną z proroczego snu: „Jeśli chcesz spokojnie żyć, zajmij się pracą, jakby nigdy nic, a kiedy każą ci coś zrobić, zrób to”.

Rozmawialiśmy potem o jego żonie; o tym, jak nie zdawał sobie sprawy, że ją również zastraszyli; jak zmuszali ją do różnych okropieństw w imię bezpieczeństwa rodziny – dokładnie tak samo jak jego. Trwało to całe lata i małżonkowie nie wiedzieli o sobie nawzajem. Gdyby podobnie rzecz miała się ze mną i Christine, wiele by to wyjaśniało.

Doskonale tłumaczyłoby jej nagłe wybuchy złości i żalu, ustawiczną frustrację przebijającą z jej słów, fakt, że traktowała ciężę jak dopust Boży.

„Michael, używałeś przecież gumek, do cholery!”

Używałem. Wcześniej rzadko korzystaliśmy z prezerwatyw, wszystkiego może ze trzy, cztery razy. Zadrzałem na myśl o tym, jak bardzo mroczna i tajemnicza się stała.

Ciekawe, czy i ona miała swoją rolę do odegrania. Najpierw zaczęła mnie unikać, ja jej również, ale ja miałem swoje powody. Czy ona miała takie same? Potem cięża, o której mówiła jak o najgorszym przekleństwie. A przecież kiedy czekaliśmy na Jessicę (od takich szczęśliwych wspomnień całkiem mi się w głowie pokręciło), zachowywała się jak Kopciuszek, jak kobieta, która znalazła się w siódmym niebie i robi wszystko, żeby



dziecko bezpiecznie przyszło na świat. A teraz? Nic. Żadnych witamin, żadnej literatury dla przyszłych mam, nic, co by mnie przekonało, że w ogóle przejmuję się swoim nienarodzonym dzieckiem. Do diabła, nawet nie próbowała o nim ze mną porozmawiać!

A po co? Przecież od dawna już zachowujesz rezerwę i dystans.

Przyszła mi do głowy dość irracjonalny pomysł – żeby znowu zmusić ją do konfrontacji. Tym razem jednak zamiast spowiadać jej się z wiedzy o Izolantach (co bezskutecznie próbowałem już zrobić przed paroma miesiącami), mógłbym kazać jej powiedzieć prawdę: czy ona również skrywa jakąś ponurą tajemnicę? Czy też została zastraszona?

Słońce schowało się za chmury, kolory przybladły, zrobiło się szaro i smętnie.

Kręciłem się po podwórku, zerkając w okna na piętrze, przez które dawniej można było zajrzeć do sypialni i łazienki. Teraz mój wzrok napotykał drewniane parawany jak puste oczodoły. Wziąłem głęboki wdech i odwróciłem się w kierunku lasu.

I usłyszałem dźwięk, który dobrze zapamiętałem z wizyty w legowisku Izolantów: śmiech. Piskliwy jazgot, niewiele różniący się od płaczu. Urwał się nagle, a potem wybuchnął z nową siłą, mroząc mi krew w żyłach. Zerwał się wiatr, unosząc mgłę na wysokość koron drzew i rozsnuwając ją na widmowe pasemka i wiry. Śmiech przeszedł w chrapliwy charkot i ucichł, ale jego wspomnienie trwało, przenikało mnie na wylot, szarpało mi nerwy na strzępy.

– Walcie się – powiedziałem łamiącym się głosem. – Pokonam was.

Jeszcze przez chwilę stałem nieruchomo, a potem obszedłem dom dookoła, tym razem nie spuszczać lasu z oka. W głębi, piętnaście metrów od linii pierwszych drzew, mignęła mi para złotych ślepi.

Wal się!

§ § §

Kiedy wyszedłem przed front domu, Christine zajeżdżała na podjazd naszym minivanem. Wpatrywała się we mnie zza kierownicy.

Spojrzałem jej w oczy, ale natychmiast spuściłem wzrok. Bałem się. Nie miałem pojęcia, co robić.

## ROZDZIAŁ 30.

**W** tym dniu poznałem, co to strach. Znowu. Dopadł mnie z zupełnie niespodziewanej strony, zaatakował z flanki, z której istnienia zdawałem sobie sprawę, ale nie byłem psychicznie gotowy na tę konfrontację. Groźba Izolantów wisiała nad moją rodziną od początku, od dnia przeprowadzki, ale wydawało mi się dotąd, że jestem jedyną osobą z naszej trójki, która na własne oczy widziała potworności, jakich się dopuszczali. Od niedawna dopuszczałem do siebie możliwość, że Christine także doświadczyła tego koszmaru, ale nadal nie miałem potwierdzenia.

Pozostawała jeszcze Jessica. Czy pięcioletnie dziecko mogłoby kiedykolwiek otrząsnąć się z koszmaru, jakim musiałyby być poznanie chociaż cząstki prawdy?

„Tatusiu? A duchy istnieją?”

Zacząłem się zastanawiać, czy Jessica nie widziała przypadkiem Izolantów albo przynajmniej ich błyszczących wśród drzew złotych ślepi. Jeżeli, jak podejrzewałem, w pewnym momencie przyszli po Christine, to czy Jessica przy tym była? Czy moja żona również spędzała noce na błąkaniu się po lesie? Czy i ona została zmuszona do złożenia krwawej ofiary? Tak wiele pytań i tak mało odpowiedzi.

Mimo gróźb postanowiłem porozmawiać szczerze z Christine.

Wysiadła z wozu i ruszyła w moją stronę. Jessica trzymała się kilka kroków z tyłu, wpatrując się tępo w ziemię. Christine próbowała mnie wyminąć, ale zastąpiłem jej drogę.

Nie patrzyła mi w oczy, uciekała wzrokiem w bok.

Złapałem ją za rękę i przyciągnąłem, tak że nasze twarze znalazły się w odległości kilku centymetrów.

– Puść mnie! – warknęła.

Owszem, natychmiast wpadła w gniew, ale widziałem w jej oczach także ból i lęk.

Jakbym czytał jej w myślach: Nie chcę o tym rozmawiać, Michael. Nie mogę. Wiesz dlaczego.

– Proszę, puść mnie – powtórzyła spokojniej, z desperacją w głosie.

– Musimy pogadać – stwierdziłem stanowczo.

Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziałem do niej od ponad miesiąca. Dziwnie się z tym czułem, jakbym popełnił przestępstwo.

Milczała uparcie i spróbowała mi się wyrwać, ale jej nie puściłem. Szarpaliśmy się przez dziesięć, piętnaście sekund, dopóki nie zaczęła krzyczeć: – Puść mnie! Ty draniu, puść mnie!

Jessica puściła się biegiem i zniknęła za rogiem domu.

Zawołałem ją, Christine również, ale mała nie zareagowała.

W końcu, chcąc nie chcąc, puściłem Christine. Odepchnęła mnie, zawodząc głośno, ale ja, nie zwracając na nią uwagi, pobiegłem za Jessica. Z impetem wpadłem na podwórko za domem; moje nogi poruszały się jak napędzane własną wolą.

Zobaczyłem, że Jessica biegnie dalej, w głąb coraz ciemniejszego lasu. Szybko zniknęła mi z oczu.

Zawołałem ją po imieniu i pogałem za nią na złamanie karku. Nie zwolniła kroku.

Blond loczki migają mi wśród krzewów, zanim w końcu znikną za wzniesieniem, trzydzieści metrów ode mnie. Kiedy straciłem ją z oczu, ogarnęło mnie przerażenie; nie czułem takiego strachu nawet podczas pobytu w legowisku Izolantów. Biegłem ile sił w nogach, wykrzykując jej

imię. Przed oczami cały czas miałem obraz jej spotkania z jednym z tych demonów. Słyszałem, jak pod jej stopami trzaskają gałązki i szeleszczą liście; pomagało mi to utrzymać właściwy kierunek – w lesie, pod gęstym sklepieniem listowia, panował półmrok. Darłem się bez przerwy – Jessica! Jessica! – wypatrując jej w leśnych cieniach.

Usłyszałem jej krzyk.

Przyspieszyłem, przeskakując nad korzeniami i kępami zielska. Nie mogłem pojąć, jak to się stało, że jej krótkie nóżki zaniósły ją tak daleko w tak krótkim czasie. Wspiąłem się na wzgórze, zsuwałem po zboczach, gałęzie siekły mnie po twarzy, ślizgałem się na liściach... W pewnym momencie wyrznąłem jak długi na ziemię i zakłuło mnie boleśnie w krzyżu.

Przestraszyłem się, że już nie wstanę, ale wtedy usłyszałem Jessicę: – Tato!

To wystarczyło, żebym wykrzesał z siebie resztki sił, poderwał się i pobiegł dalej.

Sosnowe igły kłuły mnie przez ubranie. Cały czas wołałem Jessicę po imieniu, ale głos mi słabł, a w gąszczu leśne stworzenia szykowały się do powitania nocy: wyśpiewywały serenady, zagłuszając inne dźwięki. Teren znów zaczął się wznosić i mimo półmroku okolica wydała mi się niebezpiecznie znajoma.

Jezu Chryste...

Zbiegłem ze wzgórza, przeniknąłem po gęsto zarośniętym płaskim terenie i zobaczyłem go.

Kamienny krąg.

W końcu ją dogoniłem. Stała nieruchomo w środku kręgu trzymetrowych monolitów, przy zaplamionym krwią ołtarzu, po kolana w zeschniętych liściach.

Na głazie leżał wypatroszony szop. Wpatrywała się w niego z otwartą buzią i wytrzeszczonymi oczami.

Jak udało jej się tak daleko dotrzeć? Przecież pędziłem jak wariat, a i tak była szybsza...

Podszedłem bliżej i nagle go poczułem. Smród uderzył mnie jak gorący podmuch z pieca: pochodzący nie wiadomo skąd znajomy odór zgnilizny i rozkładających się liści.

Nie umiem wyjaśnić, jak to się stało, że nie wyczułem go w tym miejscu za pierwszym razem, kiedy Phillip mnie tam zaprowadził, teraz jednak czułem go doskonale. I wiedziałem, co oznacza: gdzieś pod drobnymi stopkami Jessiki znajdowało się legowisko Izolantów.

– Jessica? – powiedziałem łamiącym się głosem. – Chodź do mnie.

Próbowałem zrobić krok w jej stronę, ale stałem jak wrośnięty w ziemię. Nogi nie chciały mnie ponieść w głąb kręgu. Znow ogarnął mnie strach, nie o siebie tym razem, lecz o moją córkę.

Za nią stał Izolant.

Cała scena wydawała mi się tak dziwaczna, tak surrealistyczna, jakbym oglądał zdjęcie z dziewiętnastowiecznego albumu o duchach. Ale potwór był jak najbardziej prawdziwy, a od mojej córki dzielił go niespełna metr. Patrzył na mnie złotymi oczami, lekko przyćmionymi, jak przybrudzone latarnie uliczne. Niekształny łeb poruszył się nieznacznie; kojarzył mi się z zagrzebaną w piasku żabnicą, która na morskim dnie czyha na zdobycz.

W miarę jak mój wzrok oswajał się z półmrokiem, dostrzegałem coraz więcej szczegółów. Demonów było chyba z dziesięć, wszystkie doskonale zakamuflowane w brunatnym, ziemistym otoczeniu. Ohydne, powykrzywiane twarze z wydatnymi łukami brwiowymi wpatrywały się we mnie.

Moja córeczka oderwała wzrok od zabitego szopa i pomachała do mnie, zupełnie nieświadoma grożącego jej niebezpieczeństwa.

Kątem oka dostrzegłem jakiś ruch. Dywan liści zadrżał i powstała w nim wypukłość, która zaczęła się zbliżać do Jessiki od tyłu. Zatrzymała się u jej stóp, a ja zamarłem sparaliżowany strachem, z walącym sercem i bez tchu.

Niczym larwa wyłaząca z ziemi spod liści wynurzyła się brunatna twarz, ohydna maska, na wpół ukryta w splątanym poszyciu. Zakończona pazurami łapa wyciągnęła się ku mojej córce, aby złapać ją za kostkę.

Musiała to sprawić moja skoncentrowana wola (bo na pewno nie heroizm), ale w tej samej chwili Jessica zaczęła biec w moją stronę, jakby posłuchała mojego telepatycznego błagania. Rzuciła mi się na szyję, płacząc. Objąłem ją mocno.

Biegiem wróciłem do domu, nie wypuszczając jej z objęć.

Christine wybiegła nam na spotkanie, z twarzą mokrą i opuchniętą od łez. Zabrała ode mnie Jessicę, przytuliła ją do wielkiego brzucha i powtarzała, szlochając: – Moje kochanie, moje małe kochanie... Bogu dzięki, że nic ci się nie stało.

Głaskała japo główce i całowała.

Kiedy ruszyła w stronę domu, zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle zwróciła uwagę, że pozabijałem okna. Weszły z Jessicą przez poczekalnię. Nie zamknąłem stalowych drzwi (ciekawe, czy je zauważy), więc bez problemu dostały się do domu. Chciałem wejść za nimi, porozmawiać z Christine, ale było dla mnie oczywiste, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego... Na pewno nie teraz.

Odetchnąłem głęboko, zmagając się z milionem myśli jednocześnie, z których żadna nie miała sensu.

Poza jedną.

Dopadli Christine.

## ROZDZIAŁ 31.

C hmury zasnuwające za dnia niebo rozproszyły się bez śladu i zbliżający się do pełni księżyc zalał podwórko błękitnobiałą poświatą. W tym świetle dom z zabitymi oknami i poszczerbionym szalowaniem wyglądał jak nawiedzony – chyba zresztą od początku taki był.

Wodziłem wzrokiem po podwórku, sfilcowanym trawniku, jadowym lesie i zielarskiej grządce Christine (która szybko zarosła chwastami i zaczęła przypominać ogródek z opowiadań Lovecrafta, zwłaszcza gdy betonowa fontanna rzucała na nią cień).

Przeszedłem wzdłuż domu, sprawdzając, czy deski w oknach są dobrze umocowane; nie chciałem, żeby jakiś Izolant zakradł się do środka. Kilka gwoździ trochę się obluźowało, ale większość trzymała mocno. W końcu wszedłem do domu przez poczekalnię, usiadłem przy stole w kuchni i zagapiłem się na zegar, który wskazywał pół do dziewiątej. Zrobiłem sobie kanapkę z serem i popiłem ją mlekiem. Nie miałem apetytu i jedzenie przełykałem z trudem; smakowało jak styropian i drażniło wyschnięte na wiór gardło. Po kolacji poszedłem na górę, wziąłem prysznic i włożyłem czyste dżinsy i sweter. Christine zaniknęła się w sypialni; domyślałem się, że Jessica jest z nią, ale na wszelki wypadek zajrzałem do pokoju małej i ze zdumieniem zobaczyłem ją w łóżku.

Moja księżniczka leżała nieruchomo pod pikowaną kołderką, ściskając obszarpanego miśka, który jednym ślepkim wyglądał spod przykrycia – tym oberwanym, zwisającym na nitkach. Pogładziłem Jessicę po główce (była to jedna z niewielu przyjemności, jakie mi jeszcze zostały) i przez



szparę w oknie przy łóżku wyrząłem w ciemność. Wiatr się wzmógł i zawodził przenikliwie. Trochę się przestraszyłem.

Gapienie się na las, często całymi godzinami, stało się moją obsesją; czułem, że muszę być gotowy do działania, gdy tylko pojawią się złote oczy, inaczej nie zdołałbym ochronić rodziny.

Wiedziałem już teraz, że Christine wiele wycierpiała, chociaż z innych powodów, niż wcześniej przypuszczałem. Z początku wydawało mi się, że jej ból jest po prostu reakcją na moją gwałtowną przemianę i paranoję. Uginając się pod brzemieniem tajemnicy, wiedziałem, że moje zachowanie sprawia Christine przykrość.

Jeśli jednak Sam Huxtable miał rację, okrutnie się myliłem. Przyczyną cierpienia Christine nie była wcale moja oziębłość, lecz ta sama tortura, której i ja padłem ofiarą.

Christine przeżywała własny koszmar z Izolantami w roli głównej i dręczyła ją świadomość, że nie może ze mną o tym porozmawiać.

Sam Huxtable miał rację.

Lauren Hunter miała rację.

Dopadli Christine.

Ale co jej zrobili? Czym jej zagrozili?

Musiałem się tego dowiedzieć.

## ROZDZIAŁ 32.

**N**ie przestając głaskać Jessiki, wyprostowałem się nad łóżkiem. Zamierzałem pójść do sypialni, naszej małżeńskiej sypialni, i nawiązać jakieś porozumienie z Christine, żeby móc z nią porozmawiać. Z przyzwyczajenia jeszcze raz wyjrzałem na dwór.

Od razu ich zobaczyłem. Wychodzili z lasu i powoli skradali się w stronę domu. Złote ślepia, chyba z tuzin, zdawały się unosić w powietrzu jak duszki z bajki dla dzieci.

Byłem wstrząśnięty. Moja dłoń zsunęła się z główki Jessiki, zahaczyła o misia i wyrwała jej go z objęć. Spadł na ziemię z cichym, wdzięcznym stukotem. Mała poruszyła się przez sen, ale na szczęście nie obudziła.

Zamiast podnosić zabawkę, wyszedłem pospiesznie z pokoju, zszedłem na parter i przez kuchnię przemknąłem do korytarza łączącego dom z gabinetem.

Z biblioteki zabrałem torbę lekarską – już wcześniej uzupełniłem znajdujące się w niej zapasy: antybiotyki, bandaże, zaciski, skalpele (te ostatnie dorzuciłem po cesarce) – i przez poczekalnię wyszedłem na dwór.

Złote oczy natychmiast dały mi znak. Idąc ich śladem, zagłębiłem się w las.

Wśród drzew Izolanci natychmiast zaczęli mnie łąpać za ubranie i syczeć alarmująco, jakby chcieli zasygnalizować moje przybycie. Prowadzili mnie znajomą ścieżką, poszturchując mnie i drapiąc pazurami, kiedy zaczynałem zostawać w tyle. Potykałem się co parę kroków, w którymś momencie nawet się przewróciłem i przyszło mi do głowy, że

mógłbym udać trupa, ale ponieważ nie bardzo wierzyłem, że dadzą się nabrać, wolałem wstać i ruszyć dalej. Przetarłem usta dłonią: krew. Upadając, rozciąłem sobie wargę.

– Jasna cholera... – mruknąłem tylko, mocniej ściskając torbę.

Pięć minut później znaleźliśmy się przy kamiennym kręgu. Izolanci biegali po nim we wszystkie strony jak psy goniące za piłką. W świetle gwiazd zobaczyłem dwa postawione na sztorc włazy z plecionej słomy i błota, na co dzień zamaskowane liśćmi i gałęziami. Dwóch Izolantów pchnęło mnie bez pardonu w głąb jednego z otworów, prowadzącego do wąskiego i stromego przejścia. Nie chcąc się znowu przewrócić, wyciągnąłem ręce przed siebie, aby wymacać drogę. Barkami ocierałem się o ziemne ściany, czubkiem głowy szorowałem o niskie sklepienie. Tunel wił się i kluczył, ale cały czas biegł w dół, w ciemność. W jednych miejscach się rozszerzał, w innych zwężał, od czasu do czasu odchodziły od niego boczne odgałęzienia, w których także zebrali się Izolanci, ciekawi widoku „wybawiciela”. Schodząc coraz głębiej pod ziemię, czułem przemykające obok mnie postaci, słyszałem coraz głośniejsze pokrzykiwania, dotknięcia kierujących mnie rąk – ale w absolutnej ciemności widziałem tylko te okrągłe złote ślepie.

W końcu zamajaczył odblask światła, a gdy dotarłem na miejsce, powitał mnie znajomy widok: olbrzymia podziemna komora mieszkalna. Pod ścianami płonęły setki pochodni, rozświetlając pieczarę złotawym, nieziemskim blaskiem.

Jakiś Izolant wyskoczył z cienia i zastąpił mi drogę. Byłem tak zaskoczony, że torba (o której całkiem zapomniałem) wypadła mi z rąk.

To był Fenal. Uciszył tłum i odsunął się na metr ode mnie. Zamachał rękami jak w jakimś tańcu i się uśmiechnął. Oddech miał cuchnący, blizna na twarzy wiła mu się jak wąż.

– Wybawiciel.

Przez tłum przebiegły szepty. Nic nie powiedziałem. W ustach czułem smak krwi i potu.

– Lecz nas – polecił Fenal.

Otoczyli mnie potrójnym kordonem, sami chorzy i kalecy. Dwóch podsuwało mi pod nos połamane kończyny, jakby chcieli mi je dać w prezencie. Wielu skubało ropiejące rany, abym mógł je lepiej widzieć. Jedna z kobiet, po nieudanym położeniu, przyczołgała się, ciągnąc za sobą łożysko jak torebkę na sznurku. Fenal przepchnął się przez tę ciżbę i zabrał mnie do niszy, gdzie musiałem ich po kolei przyjmować.

Upływały kolejne godziny w świetle pochodni, a ja nastawiałem złamania, szyłem rany, podawałem antybiotyki i odbierałem porody. Podczas tego wyczerpującego, ciągnącego się bez końca niby–dyżuru przyjąłem dwudziestu jeden Izolantów. Czworo nie doczekało wizyty, dalszych dwóch zmarło podczas zabiegu.

Stwierdziłem, że są mocno osłabieni wskutek chorób i obrażeń, i zaczynało do mnie docierać, że moją rolą, jako „wybawiciela”, jest ich leczenie, aby odzyskiwali siły i witalność, szybciej się rozmnażali i stali się pełnoprawną rasą. Tego samego oczekiwali zapewne od Neila Farrisa.

Ach, byłbym zapomniiał: zjadali swoich zmarłych.

Cały czas bałem się, że natrafię na jakiś nieuleczalny przypadek. Trzeci z moich pacjentów nie został pokąsany ani podrapany przez leśne zwierzęta, nie miał połamanych rąk ani nóg, nie był świeżo upieczoną pechową matką.

Nie. Ten demon był naprawdę chory.

Leżał na jutowym worku w osobnej wnęce, dygocząc z zimna i zgrzytając z bólu zębami. Krew i odchody otaczały go jak cuchnąca fosa. Żłote oczy zszarzały i zmatowiały. Po bliższym badaniu znalazłem na jego

ciele liczne ślady ugryzień: na nogach, brzuchu i w kroczu. Najprawdopodobniej pokąsały go szczury. Podałem mu penicylinę, ale wiedziałem, że niewiele to zmieni.

Godzinę później nie żył.

Paniki, jaka mnie wtedy ogarnęła, nie opiszą żadne słowa. Czy teraz mnie zabiją, bo nie spełniłem ich oczekiwań?

Nagle zostałem sam w maleńkiej wnęce. Izolanci powyłazili ze swoich nor i zebrali się w głównej komorze. Schodzili się bez pośpiechu, po cichu, mnie od chrobotu pazurów i zgrzytania zębów przebiegały paskudne dreszcze, a kiedy ich zobaczyłem, omal nie zemdlałem. Nawet sobie nie wyobrażałem, że może ich być tylu. Biorąc pod uwagę liczebność tego klanu, rychłe zajęcie nowych terytoriów, dalej od Ashborough, wydawało się nieuniknione.

Kłęczałem na skraju wnęki i gapiałem się w setki par utkwionych we mnie złotych oczu. Ostrożnie zszedłem z podwyższenia ze wzrokiem utkwionym w ziemię, ocierając się o nich po drodze. Odpowiedziało mi głośnie szuranie nogami. Skuliłem się odruchowo, czekając, aż wszyscy rzucą się na mnie, a kiedy nic takiego nie nastąpiło, podniosłem wzrok zaciekawiony, co przyciągnęło ich uwagę. Widok był upiorny.

Kilka bestii wywlekło trupa i zaczęło mu odrywać kończyny. W ułamku sekundy doskoczyły do nich kolejne, a mnie przypomniał się film przyrodniczy, na którym stado lwów uczestniczyło w podziale upolowanego gnu. Ohydne szczęki szarpały mięśnie, ścięgna i kości, usiłując wyszarpać jak najwięcej pożywienia. Rozległ się dziki jazgot i skowyt i zanim zdążyłem oprzytomnieć, z trupa zostały ścięgna, które jego pobratymcom utkwili między zębami.

Właściwie nie powinienem się dziwić. Widziałem przecież obrażenia odniesione przez Lauren Hunter i Rosy Deighton. Ale zobaczyć coś takiego

na własne oczy... Zamurowało mnie. Po zakończonej uczcie Fenal odprowadził mnie do wnęki, w której zaczynałem przyjmować pacjentów, i podesłał mi kolejnych.

Kiedy doszedłem do wniosku, że dłużej tego nie wytrzymam, przestali przychodzić.

Bałem się stamtąd ruszyć, siedziałem więc w niszy; chwilę nawet zdrzemnąłem się z głową opartą o ścianę. Śniły mi dawne dobre czasy i nasze mieszkanie na Manhattanie. Hałaśliwe miejskie życie wydawało mi się teraz nieskończenie odległe.

Ocknąłem się, kiedy dwóch Izolantów próbowało mnie postawić na nogi. Nie bardzo wiedząc, o co chodzi, pozwoliłem się wyprowadzić do głównej komory legowiska, gdzie zebrała się ich już cała masa. Wszyscy wpatrywali się we mnie złotymi oczami.

Fenal – stojący na czele – również. Nie spuściłem wzroku. Zastanawiałem się, czy to już koniec ze mną. W pewnym sensie miałem nawet nadzieję, że tak właśnie będzie.

Fenal podniósł ręce. Spod jednej pachy wylazł mu czarny żuk, zakręcił się w kółko i zniknął w kudłach na torsie.

– Kahtah! – zawołał Fenal.

Dwustu złotookich mieszkańców podziemi ryknęło i zawyło w odpowiedzi, wymachując kościstymi łapskami na wszystkie strony.

Coś mi tu nie pasowało. Naprawdę miałem wrażenie, że zbliża się kres mojego życia, że wyzionę ducha w tym przedsionku piekła. Modliłem się, żeby Bóg zlitował się nade mną i ochronił Jessicę i Christine.

Wokół Fenala zakotłowało się i usłyszałem krzyk.

Ludzki krzyk: głęboki, gardłowy, wyrażający ból i udręczenie i bez wątplenia dochodzący z gardła mężczyzny. Wyciągnąłem szyję, żeby zajrzeć za plecy Fenala i towarzyszących mu Izolantów, ale paru innych

trzymało mnie mocno za ręce i nogi i nie mogłem ani rozeznąć przyczyny całego zamieszania, ani zlokalizować krzyczącego.

Fenal cały czas patrzył na mnie; jego oczy świeciły jasno jak pochodnie rozjaśniające tę diabelską norę. Stojący wokół niego Izolanci rozpierzchli się nagle i rozbiegli po komorze jak spłoszone koty. Echo poniosło ich piski.

Stałem, patrzyłem i czekałem. Przez myśl mi nie przeszło, że może mi się przydarzyć coś gorszego niż to wszystko, czego doświadczyłem przez ostatnie pół roku. Myliłem się.

Najgorsze było jeszcze przede mną.

Wytężyłem wzrok, koncentrując się na poruszającym się kształcie za plecami Fenala.

Izolant w tym samym momencie odsunął się na bok, a ja zobaczyłem ludzką sylwetkę, przygarbioną i wymizerowaną. Twarzy jeszcze nie widziałem, ale rozpoznałem ciemne dżinsy i kurtkę.

Dwóch Izolantów doskoczyło do niego i chwyciło go mocno, wbijając mu pazury w ubranie i ciało. Krzyknął przeraźliwie, a wtedy złapali go za włosy i zaczęli przedrzeźniać.

Popchnęli go tak, że padł na kolana. Migotliwe światło pochodni padło na jego twarz – zrozpaczoną, obitą, zakrwawioną i posiniaczoną.

Phillip.

Fenal podszedł do mnie. Wydatne, spękane usta znalazły się parę centymetrów od mojej twarzy.

– Wybawiciel – szepnął. Jego wstrętny oddech cuchnął zgnilizną. – Maltor...

Cały klan powtórzył za nim to słowo, głosem stłumionym, ale przepełnionym nienawiścią. W półmroku lśniły setki złotych światełek. Mój udręczony umysł nic z tego nie rozumiał.

Maltor?

Phillip patrzył na mnie błagalnie zapuchniętymi oczami. Ociekające krwią wargi trzęsły się, głos, który dobył się spomiędzy nich, łamał się i drżał ze zmęczenia i strachu: – Nie powinienem był ci nic mówić, Michael.

O Boże... Izolanci zamierzali go ukarać za złamanie ich praw. Tamtej nocy, kiedy rozmawialiśmy na werandzie, powiedział mi, że szpiegują ludzi i podsłuchują ich rozmowy.

Wyjaśnił mi również, jak skrzywdzili jego bliskich, czym dalece wykroczył poza dozwolone ramy namawiania mnie do złożenia ofiary.

Podsłuchiwali nas wtedy z lasu. I nie spodobało im się to, co usłyszeli.

A teraz Phillip za to zapłaci.

Ja również.

Fenal kocim ruchem podszedł i znowu zatrzymał się tuż przede mną. Wcisnął mi w dłoń drewnianą pałkę. Chwyciłem ją, zdając sobie sprawę, co czeka mnie i Phillipa.

Maltor.

Zabij.

Chcieli, żebym zabił Phillipa Deightona.

Trzymałem pałkę oburącz, zaciskając mokre od potu dłonie, a mój umysł dreptał w kółko, usiłując doszukać się jakiejś logiki w ich chorym żądaniu. Bez powodzenia. Na dole, pod ziemią, nie istniała żadna logika. Złotoocy są wcieleniem zła, ohydny i okrutny; sama idea logiki jest im obca. Zabijają Neila Farrisa, zaczynają im zagrażać nowe choroby i kalectwo wskutek nieleczonych złamań, i na scenę wkracza nowy lekarz. Porywają mnie, biorą z całą rodziną na zakładników i czekają, aż ich wszystkich wyleczę, po kolei. Aż dzięki mnie znów staną się silni.

Wybawiciel. Tak mnie właśnie nazwali. Teraz rozumiałem dlaczego: miałem ocalić ich rodzaj przed wyginięciem. Jeśli dobrze ich rozgryzłem,



wkrótce przestaną mnie potrzebować, tak jak z czasem przestali potrzebować doktora Farrisa.

– Maltor! – ryknął Fenal.

Całe plemię powtórzyło jego żądanie. Zgiełk był ogłuszający.

– Nie – odparłem drżącym głosem, chociaż wiedziałem, że odmawiając współpracy, tylko przedłużam tę bezsensowną grę.

Zza pleców Fenala wyczołgał się inny demon. Pełzł w moją stronę na czworakach, z szerokim uśmiechem na pysku. W brudnej łapie ścisnął misia Jessiki, z okiem zwisającym na nitce.

Mój Boże...

Wdarli się do mojego azylu, jedyne miejsce, gdzie mogłem czasem zaznać spokoju; miejsca, które ceniłem nade wszystko; jedyne, które było dla mnie naprawdę święte. Do pokoju mojej córki.

Jak im się to udało, na Boga?!

Potwór wbił szpony w misia i jednym szybkim ruchem rozdarł go na pół. Ze środka wypadła miękka, biała wata, kompletnie nie na miejscu w tych odrażających podziemiach.

– Maltor – powiedział.

Nie miałem wyboru. Groźba była oczywista. Albo ja zabiję Phillipa, albo oni moją córkę.

Przeniosłem wzrok na Phillipa. Płakał. Łzy płynęły mu po zmalretowanej twarzy, żłobiąc ślady w krwi i brudzie.

Zamknąłem oczy, wziąłem zamach pałką i uderzyłem.

Ledwie miałem siłę wejść po schodach. Podniosłem wzrok, pełen obaw, że przywita mnie najgorszy koszmar: moje małeństwo rozszarpane na strzępy.

Przy każdym kroku serce na chwilę mi zamierało. Mięśnie wyły z bólu. Wreszcie dotarłem na piętro, skręciłem w korytarz i wszedłem do pokoju

Jessiki. Nerwy zapłonęły mi żywym ogniem, kiedy ją zobaczyłem.

Leżała w łóżku. Obróciła się w moją stronę i przetarła oczka. Złote loczki opadały jej na twarz.

– Cześć, tatusiu.

Słodki, delikatny, niewinny głosik.

Uśmiechnąłem się i przysiadłem obok niej na materacu.

Usiadła. Odgarnęła włosy, odsłaniając smugę krwi na czole.

Zadrzałem i przytuliłem ją mocno. Musiałem znaleźć jakiś sposób na opuszczenie Ashborough. Moje ciało i umysł dłużej tego nie zniosą. Musiałem coś wymyślić, musiałem ochronić rodzinę przed Izolantami!

Miałem w ogóle jakieś szanse? Zabicie okien i drzwi nie pomogło. Inni, którzy chcieli stąd wyjechać przede mną, przypłacili te próby życiem. Od tamtej pory plemię potworów urosło w siłę...

Nie, to nie była kwestia tego, czy skrzywdzą moją rodzinę – tylko kiedy to zrobią.

Teoretyczna możliwość stała się realną groźbą.

Wyjazd nie byłby żadnym rozwiązaniem. Na tym polu bitwy, gdzie dobro starło się ze złem, musiałem kontratakować.

To była moja jedyna nadzieja.

– Tatusiu?

– Tak, skarbie?

– Gdzie jest mój miś?

Nie odpowiedziałem. Patrzyłem, jak słońce wschodzi ponad lasem. Tuliłem Jessicę, głaskałem ją po włosach i obserwowałem las, rozpaczliwie planując następne posunięcie.

# **CZĘŚĆ III**

## **POKARM DLA ROBACTWA**

## ROZDZIAŁ 33.

Codziennie miałem ochotę się poddać. Dwa, może trzy razy poważnie rozważałem możliwość samobójstwa, ale powtarzałem sobie, że w moim wypadku równałoby się to morderstwu. Na pewno uznaliby moje samobójstwo za cios wymierzony przeciwko nim i w odwecie zabiliby Christine i Jessicę, czyniąc ze mnie (teoretycznie) zabójcę własnej rodziny.

„Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę” – tylko w upiornie wypaczonej wersji.

Darowałem więc sobie myśli samobójcze i żyłem z dnia na dzień. Patrzyłem (albo słuchałem), jak Christine odwozi Jessicę do szkoły. Codziennie przyjmowałem dwoje, troje małomównych pacjentów, którzy zwykle w ogóle nie potrzebowali lekarza (zacząłem podejrzewać, że to Izolanci każą im przychodzić, aby w ten sposób mnie szpiegować, tak jak szpiegowali Sama Huxtable’a. Paranoja? Każdy na moim miejscu miałby paranoję). Jadłem, wydalałem, po południu przesypiałem godzinkę albo dwie, a potem zaszywałem się w bibliotece i czekałem na sygnał. Przez ten czas Christine wracała do domu, a ja łamałem sobie głowę nad tym, gdzie spędza całe dni i co właściwie robi. Nadal nie rozmawialiśmy – na mocy, jak mi się wydawało, nieformalnego porozumienia, które tym bardziej kazało mi przypuszczać, że moja żona skrywa jakiś związek z Izolantami sekret, ale darowałem już sobie próby odkrycia go. Z czasem wszystko wyjdzie na jaw, powtarzałem sobie. Gównu wpadnie w wentylator.

Prędzej czy później musiało do tego dojść.

I doszło, trzy tygodnie po śmierci Phillipa Deightona.

Z mojej winy.

## ROZDZIAŁ 34.

**O**budził mnie porywisty grudniowy wiatr. Okna w bibliotece tak głośno trzeszczały, że w pierwszej chwili przyszło mi do głowy, że uderza w nie zbłąkane stado ptaków.

Podskoczyłem na sofie i rozejrzałem się po pokoju, który w niepokojący sposób upodabniał się do graciarni wariata: pozdejmowane z półek książki, stosy brudnych talerzy, papiery zaścielające każdy skrawek podłogi. Mniej więcej dwa tygodnie wcześniej przeprowadziłem się na stałe do biblioteki i moje kontakty z Jessicą i Christine ograniczały się do przypadkowych spotkań przy okazji wizyt w kuchni i łazience. Pacjenci już nie przychodzili, telefon milczał, a ja nie odpowiadałem nawet na dzwonek do drzwi.

Codziennie słyszałem, jak Christine zbiera się do wyjścia: najpierw kroki w kuchni, krótka, oschła wymiana zdań z Jessicą, trzaśnięcie frontowych drzwi, wreszcie warkot silnika minivana i chrzęst żwiru pod kołami, kiedy cofała z podjazdu na drogę. Całymi dniami rozmyślałem o tym, czy Izolanci naprawdę mają ją w garści i do jakich okropności ją zmuszają. I czy groźbami wobec Jessiki (albo nawet naszego jeszcze nienarodzonego dziecka!) zmusili ją do milczenia i posłuszeństwa.

A kiedy w końcu przestawałem myśleć o mojej rozpadającej się rodzinie, gapiłem się w las i zastanawiałem, kiedy tamci znowu po mnie przyjdą.

Nie niepokoiłi mnie od czasu, gdy drewnianą pałką zatłukłem Phillipa Deightona.

Dzień w dzień prześladowało mnie wspomnienie jego twarzy: posiniaczonej, opuchniętej, z powiekami kurczowo zaciśniętymi w oczekiwaniu ciosu, który zdruzgocze mu czaszkę.

Oczyrna wyobraźni widziałem jego ciało... Jak osuwa się mi pod nogi, już bez życia, ale wciąż rozdygotane, wciąż pełzające; krew i mózg wylewają się jak owsianka przez otwór wyłupany w czaszce, czuję ich ciepło, kiedy przesiąkają mi przez buty. Ta scena codziennie stawała mi przed oczami jak powracający koszmar senny, a wtedy miałem wrażenie, że pod skórą roją mi się jakieś insekty. Siłą woli nakazywałem sobie opierać się narastającemu obłądowi. Mijały godziny, aż w końcu, kiedy zapadał zmierzch, otrząsałem się z tej niemocy, siadałem przy biurku, z torbą pod ręką, i czekałem na wezwanie.

Tego ranka czułem się... inaczej, chociaż to chyba nie jest najlepsze określenie. Przed północą, czyli w porze, kiedy zwykle kładłem się spać, zasnąłem przy biurku i ocknąłem się w środku nocy. Powłócząc nogami, powlokłem się na sofę i pierwszy raz od wielu miesięcy spałem jak zabity do samego rana.

Zegar wskazywał szóstą. Christine jeszcze nie wstała. Czując dziwny przypływ energii i entuzjazmu poszedłem do kuchni, gdzie wypłem szklanek mleka i zjadłem kanapkę z masłem orzechowym. Przespana noc ożywiła moje zmysły; jedzenie smakowało mi jak nigdy.

Pogoda był typowa dla grudnia w Nowej Anglii: zimno, wietrznie, drobniutki śnieg.

Ubrałem się w sweter wyciągnięty z kosza na pranie przy suszarce. Nagle uświadomiłem sobie, że zamierzam podjąć się zadania, na które ostatnio stale nie starczało mi sił. Wyjmując kurtkę z szafy przy drzwiach wejściowych, usłyszałem krzątającą się na piętrze Christine.

Byłem podekscytowany. Krew żywiej płynęła mi w żyłach, kiedy wymykałem się na dwór i szedłem do samochodu.

Zanim jeszcze do niego wsiadłem, obejrzałem się na okna, zapomniawszy, że wciąż są na głucho zabite; tylko w jednym miejscu, w sypialni dla gości, wiatr poluzował jedną deskę, która kołysała się jak wahadło. W tej krótkiej chwili wahania umysł próbował płatać mi figle, ale broniłem się przed tym ze wszystkich sił. Doszedłem do wniosku, że nie mam nic do stracenia. Musiałem się dowiedzieć, co Christine porabia całymi dniami. Logika, nawet tak pokręcona, jak ta obowiązująca w Ashborough, podpowiadała, że musi wypełniać sobie czas czymś więcej niż tylko odwożeniem Jessiki do szkoły i robieniem zakupów. I właśnie dziś postanowiłem to sprawdzić.

Otworzyłem tylną klapę minivana, wcisnąłem się do bagażnika i przykryłem leżącym tam wełnianym kocem, nie tylko po to, żeby się ukryć, ale także dla ochrony przed zimnem.

Mniej więcej pół godziny później usłyszałem trzask zamykanych drzwi frontowych.

Christine z Jessicą w milczeniu podeszły do samochodu, wsiadły i zajęły miejsca na przednich fotelach. Bałem się, że któraś z nich sięgnie do tyłu po jakiś potrzebny drobiazg albo zaniepokoi się dziwnym odorkiem (nie kąpałem się od tygodnia), ale Christine uruchomiła silnik i tyłem wyjechała na drogę.

Krzywiąc się z bólu, kiedy samochód podskakiwał na wybojach, próbowałem ułożyć się wygodniej. Mimo chłodu pocilem się jak zajechany koń i całkiem podobnie śmierdziałem.

Zamknąłem oczy, starałem się nie myśleć o niewygodach i czekałem, aż jazda się skończy.

Silnik mrucał jednostajnie; Christine jechała wolno, ze stałą prędkością. Kilka razy skręciliśmy, w lewo i prawo, zawsze ostro, pod kątem prostym, ale po pierwszym zakręcie straciłem rachubę. Nikt się nie odzywał, więc poza pomrukiem silnika słyszałem tylko podmuchy wiatru uderzające w tylną szybę i stukot kamyków o podwozie.

W końcu samochód zwolnił, wolno skręcił w prawo i znalazł się na długiej, bitej, wyboistej drodze. W pierwszej chwili pomyślałem, że zajeżdżamy pod szkołę, ale byłem tam już wcześniej, gdy zapisywaliśmy Jessicę, i nie przypominałem sobie nieutwardzonego podjazdu. Nie byliśmy zatem w szkole. Więc gdzie?

Minivan skręcił lekko w lewo i się zatrzymał. Christine zgasła silnik.

Byłem zlany potem, ubranie kleiło mi się do ciała. Wokół panowała cisza, słyszałem tylko skrzypienie smaganych wiatrem nagich drzew. Christine wysiadła i trzasnęła drzwiami.

Usłyszałem, jak obchodzi samochód od przodu i mówi: – Chodź, skarbie.

Głos miała bezbarwny i nieznoszący sprzeciwu, jakby ćwiczyły to już setki razy.

Drzwi po stronie Jessiki otworzyły się i zamknęły. Żwir zachrzęścił pod dwiema parami stóp, potem chrzęst ucichł i usłyszałem metaliczny zgrzyt zawiasów, pewnie jakiejś furtki lub bramy. Odgłos kroków ścichł w oddali.

Czekałem. Minęło dziesięć minut, może trochę więcej, zanim uznałem, że na razie nie wrócą. Podniosłem się i wyjrzałem przez tylną szybę.

Był późny poranek, ale w gąszczu drzew, pod zasnutym chmurami niebem panował półmrok. Wąska bita dróżka biegła do drogi odległej o jakieś sto metrów. Po obu stronach gęsto rosły sosny, skutecznie zasłaniając widok na boki.



Otworzyłem bagażnik i wygramoliłem się z auta. Porywisty wiatr próbował wyrwać mi z rąk klapy; musiałem ją dopchnąć z całej siły, żeby się zamknęła. Postawiłem kołnierz kurtki, obiegłem samochód i schowałem się za ogromnym wiązem rosnącym przy żelaznym ogrodzeniu posiadłości. Płot wysokim półkolem otaczał samotny, zaniedbany dom. Szukałem tabliczki „Uwaga, zły pies” i mimo że nigdzie jej nie dostrzegłem, postanowiłem się mieć na baczności. To przy takich właśnie domach najczęściej biegają toczące pianę z pyska dobermany i pitbulle.

Upłynęła minuta. Tkwiłem przy drzewie jak przyklejony. Nie chciałem, żeby ktoś mnie zobaczył – Christine, pies albo właściciel domu, który od płotu dzieliło około trzydziestu metrów. Kiedy uznałem, że na horyzoncie nikogo nie ma, podbiegłem do furtki i przytuliłem się do wiekowego dębu, którego konary pojękiwały niespokojnie na wietrze. Podszyta wiatrem kurtka nie chroniła przed chłodem, tym bardziej że lodowata fala strachu przenikała mnie do szpiku kości od wewnątrz.

Spojrzałem na parterowy dom – jeszcze starszy niż mój, znacznie mniejszy, z zachodzącą na boki werandą, w której balustradzie brakowało ponad połowy podpórek, a te, które zostały, były popękane i spróchniałe. Sfatygowane dachówki poszarzały ze starości, z okiennic zostały smętne szkielety. Weranda zapadła się z jednej strony, szkło z rozbitych szyb walało się po dziurawej podłodze.

Christine i Jessica są w środku, pomyślałem. Przetrzemywane wbrew swojej woli i pod groźbą śmierci (ich lub mojej) zmuszane do jakichś okropności.

Wydostanę was stamtąd. Ocalę was obie i razem stąd wyjedziemy. Na zawsze.

Choćbym miał za to zapłacić życiem.

Wyciągnąłem rękę pomiędzy prętami ogrodzenia i otworzyłem zasuwkę, zerkając z ciekawością na mierzącą dwa i pół metra wysokości ozdobną furtkę. Popchnięta zgrzytnęła przeraźliwie, całkiem podobnie do zawodzącego wiatru. Wśliznąłem się za ogrodzenie i zamknąłem furtkę; cieszyłem się, że nie muszę się wspinać na zardzewiały płot z zaostrzonych prętów. Tylko tego brakowało, żebym zakończył tę eskapadę nadziany na szpikulec jak jagnię na rożen.

Pobiegłem naprzód i schowałem się za pniem wiązu rosnącego na środku dziedzińca.

Cały byłem zlany potem.

Cisza. Było słyhać tylko wiatr i skrzypienie drzew.

Uznałem, że bezpieczniej będzie darować sobie werandę, i obiegłem dom dookoła. Z tyłu rosło więcej drzew. Skutecznie odcinały dopływ światła, było wśród nich ciemno jak w nocy. I zimno.

Odetchnąłem głęboko. Nie zastanawiałem się, czy to, co zamierzam zrobić, ma jakiś głębszy sens. Rozsądek przypominał mi, że tutejsze „prawo” jest wyjątkowo surowe i drugiej szansy nie dostanę, bo Izolanci na pewno cały czas mnie obserwują, ciekawi, jakaż to sztuczkę ma w zanadrzu ich dobry pan doktor. Krótko mówiąc, jeśli teraz się wycofam, nigdy się nie dowiem, co Christine robi w tym dziwnym domu. Sama na pewno mi nie powie, a Izolanci nie pozwolą mi tu wrócić. Nie wiedziałem nawet, czy pozwolą mi żyć.

To była moja jedyna okazja, aby poznać prawdę. Tak niewiele jej w moim życiu zostało...

Rozejrzałem się. Podwórko było niewielkie, najdalej po pięciu metrach zaczynał się las, który ciągnął się aż do następnego domu.

Na skraju lasu był grób.

Widok nagrobka natychmiast przypomniał mi słowa nieżyjącego już człowieka: „Za domem jest grób, podobno właśnie matkę tam pochowała; z drogi go widać”.

Przekrzywiony betonowy nagrobek był omszały ze starości. Sterczał z zamarzniętej ziemi. Litery na nagrobku układały się w jedno słowo: *Zellis*.

Nagle w lesie rozległ się jakiś szelest. Uskoczyłem za najbliższe drzewo, przyciskając twarz do szorstkiej kory. Złote światło omiotło pień i przeniosło się dalej, jak szperacz poszukujący zagubionej łodzi na morzu. Serce zaczęło mi boleśnie tłuc o żebra. Modliłem się jak szalony, żeby demon mnie nie zauważył. Złote światło, bardzo jasne w półmroku pod drzewami, przeniknęło po krawędzi lasu, a potem zawróciło w miejscu, jakby chciało się cofnąć po własnych śladach. Schyliłem głowę i schowałem ręce do kieszeni, żeby biel skóry nie rzucała się w oczy. Światło znów padło na moje drzewo, ale przeniosło się dalej, coraz dalej i w końcu zgasło. Czekałem, przywierając do pnia.

Aż w którejś chwili, woląc się już dłużej nie zastanawiać, przebiegłem przez podwórko i doskoczyłem do ściany domu.

Domu starej pani *Zellis*.

Dysząc ciężko, dopadłem do tylnego wejścia, cały oproszony kawałkami kory.

Poczułem ostry ból w kolanie. Znieruchomiałem, czekając, aż ból zelżeje i zbierając się na odwagę, aby wejść do środka. W tej krótkiej chwili ze zgrozą skonstatowałem, co właściwie robię: zachowuję się jak bohater taniego horroru. Zamierzałem zaskoczyć czarne charaktery w ich kryjówce i uratować więzioną przez nie dziewczynę. Miałem wrażenie kompletnego oderwania od rzeczywistości: oto wyruszyłem z misją ocalenia rodziny z łap prastarej rasy potworów, które trzymają w szachu całe nowoangielskie miasteczko.

Chciało mi się krzyczeć, ale się powstrzymałem. Przeszywał mnie chłód, który miał już mi towarzyszyć do końca moich dni. Objąłem się ramionami, drżąc z zimna. Spojrzałem na dom.

Na drzwi.

Położyłem dłoń na szorstkiej od rdzy kłamce.

Przekręciłem ją.

Wszedłem do środka.

## ROZDZIAŁ 35.

Znalazłem się w niewielkim przedpokoju. Powietrze miało gorzki posmak kurzu i starości. Wszedłem do małej kuchni, ledwie rozjaśnionej matowym blaskiem dnia: brudne okno prawie nie przepuszczało światła z zewnątrz. Przez jedną przerażającą chwilę próbowałem sobie wyobrazić żonę i córkę w tym dziwnym, mrocznym domu i stwierdziłem, że nie pamiętam, jak wyglądają!

W ostatnich miesiącach spędzałem z nimi bardzo niewiele czasu, one zaś przez ten czas mogły się zmienić nie tylko pod względem emocjonalnym, ale także fizycznym. Patrząc na zapuszczoną kuchnię – rdzewiejący zlew, popróchniałe szafki, obłazącą tapetę – zdałem sobie sprawę, że ja i moja rodzina staliśmy się sobie całkiem obcy, że Christine i Jessica były dla mnie tak samo nieznanymi jak ten dom. Mogłem od biedy przypomnieć sobie rysy ich twarzy, brzuch Christine i jej wiecznie zmarszczone czoło, jasne loczki i błyszczące niebieskie oczy Jessiki – ale niemożliwością wydawało mi się odtworzenie w pamięci, jak wyglądały przedtem, zanim się to wszystko wydarzyło, tak jakbyśmy nigdy nie przeżyli naszych szczęśliwych chwil. Kiedy na siłę próbowałem przywołać wspomnienia dawnych, lepszych dni, przed oczami przepływały mi tylko mroczne cienie.

Zapominając na chwilę o rodzinie, spojrzałem w głąb domu, gdzie powinien się znajdować pokój gościnny, chociaż z miejsca, w którym stałem, nie wyglądał zbyt gościnnie.

Patrzyłem przez niego na przestrzał: za frontowymi oknami widziałem werandę i, w oddali, żelazne ogrodzenie. Tak jak przedtem nic się tam nie

poruszało. Gdyby nie nasz minivan, mógłbym pomyśleć, że od lat nie było tu żywej duszy.

Ale przecież Christine z Jessicą muszą tu gdzieś być. Samochód stoi przed domem.

A widziałeś, żeby tu wchodziły?

Nie.

Wszedłem do salonu. Był pusty, jeśli nie liczyć rozrzuconych skorup i szczotki ze złamanym kijem. Podłogę zaścierała gruba warstwa kurzu.

W najbliższym kącie znajdowały się niskie drzwi i prowadzące do nich dwa rzędy śladów: duże i małe. Dorosłego i dziecka.

Podszedłem bliżej, przyjrzałem im się i otworzyłem drzwiczki.

Schody do piwnicy.

Christine? Jessica? Gdzie jesteście?

Zawahałem się. Czy na pewno wiem, co robię? Niemożność przywołania jakichkolwiek radosnych wspomnień kazała mi przypuszczać, że Izolanci mają na mnie przemożny wpływ. Czy i tę wyprawę zainspirowali? Czy była jednym z elementów ich Wielkiego Planu? Czy naprawdę byłem panem swojej woli?

Przypomniał mi się nagrobek na tyłach domu, tyle że oczyma wyobraźni ujrzałem wyryte na nim swoje nazwisko: „Cayle”. Może za chwilę umrę i będę takiego nagrobka potrzebował.

Same schody tonęły w ciemnościach, ale głębiej w piwnicy migotało światło świec: miękka pomarańczowa poświata padała na zbudowane z pustaków ściany. Pierwszy drewniany stopień zaskrzypiał przeraźliwie pod moją stopą. Odwróciwszy się, zobaczyłem, że moje ślady, podobnie jak te poprzednie, zniknęły pod warstwą kurzu na podłodze pokoju.

Boże...

Serce łomotało mi w piersi, wolno i głośno. Spojrzałem w dół schodów. Mniejsze zło?

Wiedziałem, że zejście do piwnicy wszystko wyjaśni, wszystko rozstrzygnie. Spotkam tam Christine i Jessicę, prawdopodobnie starą panią Zellis, może także jakichś Izolantów.

Znów wyjrzałem do pokoju. Śladów naprawdę nie było nigdzie widać. To nie mój wzrok płatał mi figle; to była sprawka tych przeklętych Izolantów: zatarli mój ślad, jakby chcieli zniszczyć wszelkie dowody mojego pobytu w tym domu. Przypomniałem sobie słowa Phillipa z dnia naszego pierwszego spaceru po lesie: „Zahipnotyzowała mnie spojrzeniem tych swoich okrągłych oczu, brązowych, złoto nakrapianych, jakby lekko świecących w ciemności...”

Czyżby w Ashborough działała jakaś forma magii? Czy Izolanci nie tylko zastraszały ofiary fizycznie, ale umieli je również zahipnotyzować? A jeśli tak, to czy znalazłem się pod ich wpływem i uwierzyłem, że ślady zniknęły? Mogli mnie wprowadzić w trans, podobnie jak wtedy, kiedy kazali mi pójść do kamiennego kręgu i zabić Page'a. Wszystko było możliwe.

Schodziłem po schodach krok za krokiem. Zajrzałem w głąb swojej duszy i zrozumiałem, że bez względu na to, co się ze mną stanie, nie mam wyboru: muszę zakończyć tę sprawę. Najłatwiej byłoby uciec, wsiąść do samochodu i wrócić do domu; niech sprawy toczą się dalej bez mojego udziału. Wiedziałem jednak, że w ten sposób rozczarowałbym siebie, zawiódł moją rodzinę i skazał nas wszystkich na śmierć. Dlatego opierając się o ścianę, zszedłem na sam dół, do piwnicy.

Boże święty... To niemożliwe...

Przed oczami miałem scenę tak potworną, tak makabrycznie surrealistyczną jak żywcem wyjętą z sennego koszmaru. Nie był to jednak

sen, lecz jawa, równie rzeczywista jak buzujące w moich żyłach przerażenie.

Były tam obie, Christine i Jessica. Na ich widok zasłoniłem twarz rękami. Gniew, który we mnie wezbrał, czarny i lodowaty, przytłumił inne emocje, które od dawna rządziły moim ciałem i duszą.

Nogi ugięły się pode mną, jakby były z gumy, żołądek podszedł mi do gardła, aż poczułem kwaśny smak na języku. Moja złość narastała... Strach również. Ten niezwykły koktajl emocjonalny był dla mnie czymś zupełnie nowym i dodatkowo oddalał mnie od rzeczywistości; czułem się jak medium, którego ciało astralne bada międzygwiazdne przestrzenie, podczas gdy materialne spoczywa spokojnie na odległej o miliony kilometrów Ziemi.

Ruszyłem do przodu, stopy same mnie niosły. Smród uderzył mnie w nozdrza, zaczął dławić w gardle. Był potworny i bardzo znajomy. Oparłem się o ścianę, żeby nie stracić równowagi, i dyszałem ciężko. Zrobiłem następny krok w przód. Trząsałem się, bałem się, że za chwilę upadnę. W oczach mi się mgliło, nie mogłem zogniskować wzroku.

Michael... To, co widzisz, to niedorzeczność. Wytwór twojej zmęczonej wyobraźni.

Przez ostatnie pół roku dużo przeszedłeś i oto są tego skutki. To już koniec. Żegnaj. Było miło.

W piwnicy znajdowały się trzy osoby: Christine, Jessica i zaszuszonej staruszka, która odwiedziła mnie w domu – stara pani Zellis. Nie widziały mnie. Otaczał je krąg stojących na podłodze świec, których blask z pewnością trochę je oślepiał. Christine leżała na betonowej płycie naga, z rozłożonymi nogami. Stara wiedźma przykucnęła przed nią i z drewnianej balii wygarnęła jakąś zielonkawą, galaretowatą substancję. Rozsmarowała maź na brzuchu i narządach płciowych Christine; dwoma pazurzystymi



palcami malowała jakieś dziwne hieroglify na jej skórze. Trochę spłynęło z brzucha na boki. Te resztki z zapałem zebrała w garść i rozsmarowała po całym tułowiu Christine, aż po pachy.

Jessica siedziała na podłodze w kącie, jakby nieświadoma tego, co się wokół niej dzieje. Oczy miała otwarte, ale szkliste od łez i wpatrzone gdzieś w dal. W rozmigotanym blasku świec jej buzia miała dziwnie demoniczny wyraz.

Udało mi się opanować dreszcze. Zbliżyłem się jeszcze o krok, chociaż nie bardzo wiedziałem, co powinienem zrobić. Stara kobieta nabrała tymczasem kolejną porcję galarety, ale zamiast rozsmarować ją po ciele Christine, wsunęła jej dłoń do pochwy, aż po nadgarstek.

Zielona maź wypływała z otworu po bokach sondującej, szponiastej ręki. Christine albo nic nie czuła, albo w ogóle jej to nie przeszkadzało, bo prawie nie reagowała na zabiegi wiedźmy; chwilami tylko pojękiwała cicho albo lekko się krzywiła. Siedząca w kącie Jessica zaczęła śpiewać. Głębokim, obcym, melodyjnym głosem powtarzała jakieś niezrozumiałe słowa.

Dopiero teraz, kiedy moja córeczka zaczęła przemawiać w obcym języku, dotarła do mnie potworność tej całej sceny. Naprawdę do mnie dotarła. Zacząłem krzyczeć.

Ogłuszające echo zwielokrotniło mój wrzask. Czułem, jak moja twarz wykrzywia się w paskudnym grymasie; oczy wychodziły mi z orbit, mięśnie szczęk się napinały, skóra czerwieniała. Wyłem jak syrena, wydawałem z siebie przeraźliwy jazgot, sygnał zaczątków obłądzenia, skargę na miłość, którą utraciłem i odnalazłem – niepełną i niespełnioną. Wróciły wspomnienia z ostatniego pół roku: Rosy Deighton w sypialni, łania w szopie, Lauren Hunter na chodniku przed moim domem, krew Page'a na moich rękach, stara pani Zellis w bibliotece, pękająca czaszka Phillipa

Deightona. Ale najgorsze były wspomnienia samych Izolantów, przeklętych demonów, które zrujnowały mi życie.

Jessica umilkła.

Stara pani Zellis wyjęła rękę z pochwy mojej żony.

Ujawniłem się. Teraz musiałem coś z tym zrobić.

Światło świec deformowało przestrzeń i fałszowało rozmiary piwnicy i nagle stwierdziłem, że stoję znacznie bliżej betonowego postumentu, niż mi się wydawało.

Stara pani Zellis odsunęła się od Christine powoli, jakby nie chciała już bardziej zakłócać tej sceny. Wyśliznęła się z kręgu świec, ale nie podeszła do mnie, tylko przesunęła się w lewo, pod ścianę, w pobliże schodów. Nie spuszczała ze mnie wzroku. W migotliwym świetle jej twarz nabierała pięknych, niemal królewskich rysów; włosy stawały się ciemne i jedwabiste, skóra czysta i gładka, ruchy pełne wdzięku. Łachmany zmieniły się w powłóczystą suknię, związaną na szyi, opadającą na piersi, sięgającą kostek i zdobioną złotymi klejnotami, które zalśniły w blasku świec.

– Michael... – powiedziała. Jej głos, cichy i melodyjny, sączył się z półmroku jak dźwięki fortepianu.

Była... piękna.

Nagle cały mój strach i cierpienie wydały mi się niewiarygodnie odległe. Pragnąłem tylko jej, pożądałem jej mrocznej urody, gracji, z jaką przywarła do ściany, jej uwodzicielskiego uśmiechu, wdzięcznego gestu, którym mnie przywoływała. Miałem przed sobą najbardziej niezwykłą i egzotyczną istotę, jaką w życiu spotkałem. Była jak zapierająca dech w piersi syrena z nieznanego mi niemego filmu.

– Tata!

Głos przesączył się do mojej świadomości. Kątem oka zobaczyłem, jak Jessica podrywa się z ziemi i wyciąga do mnie rękę. Odwróciłem się do

niej. Do mojej córki.

– Jessica?

– Tatusiu! – zawołała. – Nie... Nie patrz na nią...

Nie posłuchałem jej: spojrzałem, a ona – stara pani Zellis – spojrzała na mnie. Znow była przerażającą wiedźmą, szczyrzyła paskudne zęby w uśmiechu, wpatrywała się we mnie złotymi oczami, które napełniły moje serce przerażeniem. W ułamku sekundy zmroziła i splugawiła moje pożądliwe fantazje. Jej dłonie i stopy znowu upodobniły się do szponiastych łap i umożliwiły jej wspinaczkę po ścianie. Paraliżując mnie spojrzeniem, usadowiła się wśród dźwigarów nisko zawieszzonego sufitu. Wbiła pazury głęboko w napęczniałe drewno.

W tej chwili bardziej przypominała Izolanta niż człowieka; szczyrzyła kły i syczała wściekle.

Jej władza nad Christine i Jessica słabła. Jessica przycisnęła ręce do piersi i głośno płakała. Buzię miała trupioblada i mokrą od łez. Christine, bardziej chyba zdumiona niż przerażona, usiadła, obiema rękami podtrzymując brzuch, i spuściła nogi na ziemię. Jej piersi, nabrzmiące i zielone od mazi, kołysały się jak wahadła, jakby w każdej z nich też rósł płód.

Nie otrząsnęła się jeszcze do końca z transu: zgarnęła trochę galarety z ziemi pod nogami i zlizala ją z ręki. Zaraz jednak skrzywiła się i splunęła z niesmakiem, a potem zwymiotowała strugę zielonego ohydztwa, obryzgując posadzkę pod siedzącym na belce potworem.

Podąłem jej rękę. Skuliła się, odsunęła i wrzasnęła ze strachu. Zachowywała się jak w koszmarze sennym. Tak jakby to mnie się bała, jakby wcale nie chciała, żebym ją ratował.

Próbowała się odsunąć, ale Jessica zdążyła się przez ten czas ucześcić jej drugiej ręki i trzymaliśmy ją oboje, ciągnąc ze wszystkich sił, wlokąc jej

brzemienne ciało po betonowej posadzce. Zostawał za nią zielonkawy ślad jak odcisk ubłoconej opony.

– Christine! – krzyknąłem. – Musimy uciekać! Szybciej!

Jessica przestała płakać i tylko powtarzała błagalnie: – Mamusiu! Proszę, mamusiu!

Christine wykrzyczyła coś histerycznie. Powiodła wzrokiem po piwnicy, kompletnie zagubiona. Trans się urwał i nagle stała się małą dziewczynką, która zabłądziła w lesie i szuka mamy. Zagubioną i oszołomioną. Znowu wrzasnęła, wodząc bezradnie oczami.

– Chodź. – Ścisnąłem ją mocniej za ramię. – Idziemy!

Stara pani Zellis podrygiwała nerwowo na grzędzie pod sufitem. Oczy świeciły jej jasno jak nigdy przedtem, jak ślepie Izolantów. Zasycała przeraźliwie jak wąż w sytuacji zagrożenia i oderwała jedną pazurzystą rękę od dźwigara. Trzymała w niej gruby odłamek drewna.

– Do schodów! – ryknąłem, popychając przed sobą Jessicę i Christine.

Potykając się, biegliśmy na górę. Na ostatnim stopniu obejrzałem się przez ramię, szykując się na widok wiedźmy siekającej szponami powietrze, syczącej przeraźliwie i hipnotyzującej mnie tymi złotymi, świecącymi ślepiami. Ale wcale jej nie zobaczyłem.

Zatrzasnąłem drzwi, licząc w duchu na to, że może zatrzymają potwora. Christine osunęła się na zakurzoną podłogę, zasłaniając rękami swoją nagość. Wszędzie było pełno zielonej galarety, ale dopiero teraz rozpoznałem jej ostrą woń.

Zielona herbata. Przepis Rosy Deighton.

Mogłem zacząć wyciągać najróżniejsze wnioski, ale na żaden nie miałem w tej chwili czasu. Pomyślałem tylko, że wszystko jest częścią Wielkiego Planu – spisku Ashborough wymierzonego przeciwko rodzinie

Cayle'ów. Jeżeli tylko przeżyjemy ten koszmar, to później sobie o nim porozmyślam do woli. Oby.

Wyciągnąłem rękę do Christine. Płacząc, próbowała wstać z podłogi, ale pośliznęła się na zielonej galarecie. Spojrzała na mnie błagalnie, jakby prosząc o wybaczenie. Skinąłem głową.

– Chodźmy, Christine. Musimy jak najszybciej stąd wyjść.

Znowu spróbowała się podnieść, ale w tej samej chwili drzwi do piwnicy otworzyły się z hukiem i w progu stanęła stara pani Zellis. Jeszcze bardziej upodobniła się do potwora, z twarzą zdeformowaną w odrażającą maskę i oczami płonącymi złotem.

I nagle znów zobaczyłem zamiast niej piękną kobietę... Wyciągała do mnie ręce, a jej pełne, czerwone usta wypowiadały słowa: – Chodź do mnie, Michael. Chcę się z tobą kochać, tu i teraz.

Wiedziałem, że nie powinienem się godzić, wcale nie miałem na to ochoty, ale zawładnęła mną całkowicie. Wyciągnąłem do niej ręce, chciałem poczuć smak jej czerwonych jak wino warg i śliskiego języka, dotknąć delikatnej białej skóry, wpleść palce w lśniące kasztanowe pukle. Przeszył mnie dreszcz rozkoszy, przy którym wszystkie moje lęki zbladły. Pragnąłem jej i chciałem się poddać jej rozkazom. Nasze palce się zetknęły, przeskoczyła iskra. Zaśliniłem się. W tej chwili była wszystkim, o czym kiedykolwiek w życiu marzyłem. I była cała moja.

Nagle coś się stało. Wydała z siebie przeraźliwy skrzek, piskliwy i boleśnie przenikliwy, emanujący czystym złem. Cofnąłem się. Przestaliśmy się dotykać. Jej postać zafalowała i znowu stała się starą panią Zellis. Odskoczyła pod ścianę z twarzą wykrzywioną w grymasie wściekłości, bólu i wzgardy. Odwróciła się do mnie bokiem i wreszcie zobaczyłem, co się stało. Co Christine jej zrobiła.

Kiedy pierwszy raz wszedłem do pokoju, zastałem w nim tylko skorupy, złamaną szczotkę i, oczywiście, mnóstwo kurzu. Złamany kij od szczotki był zakończony ostrym szpikulcem, co nie uszło uwagi Christine, która z rozmachem wbiła go w szyję monstrum.

Fontanna krwi bryznęła na ścianę. Wiedźma osunęła się na kolana, macając na oślep w poszukiwaniu drzewca, ale zanim zdążyła go pochwycić, podszedłem i kopnąłem ją z całej siły w twarz. Zakrztusiła się. Wbity w szyję kij utrudniał jej mówienie, więc z jej ust dobył się tylko chrapliwy szept. Upadła. Krew trysnęła z rany. Schyliłem się, wyrwałem kij i wymierzonym ruchem wbiłem jej go przez usta w głąb gardła. Rozległ się gulgoczący jęk, usta wiedźmy otworzyły się do krzyku, złote oczy wyszły z orbit. Drapała pazurami podłogę, jakby rozpaczliwie usiłowała rzucić jeszcze jeden, ostatni urok. W powietrzu rozszedł się przyprawiający o mdłości zapach gorącej krwi, która rozlewała się po ziemi niesamowitą kałużą: szeroką, rozedrganą i rosnącą w oczach. Wiedźma miotała się, chrypiała, syczała nienawistnie, aż w końcu złote oczy wyblakły i zmieniły się w matowoszare szkliste kulki, tępo wpatrzone w sufit.

Stara pani Zellis nie żyła.

Rozsądek poszeptywał mi, że i nas czeka wkrótce ten sam los.

## ROZDZIAŁ 36.

**W**ymknęliśmy się frontowymi drzwiami. Nie chciałem wychodzić tylnym wyjściem, za blisko było stamtąd do lasu. Świeciło tam mnóstwo złotych ślepi, które natychmiast wypatrzyłyby morderców starej wiedźmy. A wtedy nie uszlibyśmy z życiem. Wołałem zaryzykować przejście przez werandę, której pułapki – dziury w podłodze i spróchniałe belki – okazały się niegroźne. Przebiegliśmy przez podwórko.

Co to musiał być za widok. Naga kobieta w ciąży, oblepiona zieloną mazią i kurzem, z krwią na rękach; prowadzący ją mężczyzna, także z zakrwawionymi rękami; i na koniec postać w tym towarzystwie wyglądająca najbardziej zwyczajnie – pięcioletnia dziewczynka, która na pierwszy rzut oka wyglądała całkiem normalnie, ale przed chwilą wyszła z transu i dopiero dozna szoku. Na szczęście nikt nas nie widział, chyba że ktoś (lub coś) krył się w szpalerze drzew łączącym posiadłość z główną drogą.

Bez słowa dopadliśmy do samochodu i wcisnęliśmy się do środka: Christine z tyłu, Jessica obok mnie, na przednim fotelu pasażera.

Sięgnąłem do stacyjki.

Kluczyki...

– Psiakrew, Christine! Gdzie są kluczyki, do cholery?!

Z tyłu dobiegł szloch mojej żony.

– O Jezu...

Odwróciłem się. Leżała skulona na tylnej kanapie i drżała jak w gorączce. Na całym ciele miała gęsią skórkę. Zielone paskudztwo jakimś

sposobem przemieściło się z jej żołądka nawet na włosy.

– Gdzie masz kluczyki?

– W torebce...

Głos jej zadrżał, załamał się i ukryła twarz w dłoniach, jakby spodziewała się, że ją uderzę.

– Niech to szlag!

Obiema pięściami wyrzniętem w kierownicę, aż zawibrowała.

– Tatusiu... – Jessica rozglądała się w panice dookoła. – Jedźmy stąd, proszę.

Nie miałem wyboru: musiałem tam wrócić.

– Ja teraz wysiądę. Zamknijcie drzwi od środka i nie otwierajcie ich, dopóki nie wrócę.

Cokolwiek by się działo.

Jessica bez przekonania pokiwała głową.

– A jeśli nie wrócisz? – dobiegł ponury głos z tyłu.

– Tu chodzi o życie was dwóch i mojego nienarodzonego dziecka – odparłem beznamiętnie. – Wrócę. A wtedy wyjedziemy stąd na zawsze. Obiecuję.

Kłamałem już wcześniej. Skłamałem i teraz. „Wtedy w lesie to były świetliki, kochanie...”

– Torebka jest w piwnicy – powiedziała Christine. – Leży w kącie, razem z ubraniem.

Skinąłem głową i wysiadłem. Sprawdziłem, czy nie widać Izolantów, i zamknąłem drzwi. Szczęknął centralny zamek. Uśmiechnąłem się pogodnie do obserwującej mnie zza szyby Jessiki. Chciałem jej w ten sposób dodać otuchy, ale w odpowiedzi tylko spuściła wzrok.

Wyjąłem z bagażnika wełniany koc, pod którym wcześniej się chowałem, i rzuciłem go na tylną kanapę, do Christine. Zdziwiłem się,



widząc leżącą obok niego apteczkę samochodową. Wyjąłem z niej jedyny znajdujący się tam skalpel – malutki, z dwucentymetrowym ostrzem. Lepsze to niż nic.

Trzasnąłem klapą bagażnika i podbiegłem do furtki, której nie zamknęliśmy za sobą.

Wiatr powiał mocniej i poruszył sosnami, które westchnęły chrapliwie; ten dźwięk świetnie pasował do tej zimnej, przerażającej scenerii. Przebiegłem przez trawnik, przeskoczyłem dziury w podłodze werandy i wpadłem do domu starej pani Zellis.

I od razu ją zobaczyłem: twarz stężała w krwawym uśmiechu, martwe oczy wpatrzone w sufit, kij od szczotki sterczący z szyi jak kołek z serca wampira. Krew utworzyła półorametrową kałużę. W pokoju unosiła się gorąca, organiczna, znajoma woń. Pierwszy raz poczułem ją na stażu w szpitalu. Tego zapachu się nie zapomina.

Usiłując nie wdepnąć w krew, przestąpiłem nad ciałem (bałem się; wyobrażałem sobie, że stara pani Zellis tylko udaje trupa i zaraz złapie mnie za kostkę) i potykając się w półmroku, zszedłem do piwnicy. Na ścianach zostały makabryczne krwawe ślady w miejscach, gdzie opierałem się o nie rękami. Zachodziłem w głowę, jaką diabelską istotą była stara pani Zellis. Na pewno w jej żyłach płynęła izolancka krew, dowodziły tego złote oczy i ostre żółte szpony, ale przecież potrafiła do złudzenia przypominać człowieka. Czyżby urodziła się z mieszanych rodziców? Z człowieka i Izolanta? Nie wyobrażałem sobie, żeby człowiek mógł z własnej woli wejść w taki związek. Ale jak inaczej?

Może wyjaśniłby ci to trup z grobu na tyłach domu?

Znowu przypomniały mi się słowa Phillipa: „Za domem jest grób, podobno matkę tam pochowała; z drogi go widać”.

Na dole w dalszym ciągu płonęły świece, rozlany wokół nich stopiony wosk przypominał liście lilii wodnych. Spojrzałem w kąt naprzeciwko schodów: leżało tam ubranie i torebka Christine. Podbiegłem do nich, porwałem je z podłogi i włożyłem pod pachę, cały czas trzymając w jednej ręce skalpel. Szybko, na palcach wróciłem na górę.

Na ostatnim stopniu schodów stanąłem jak wryty.

Zdrętwiałem.

Na podłodze zobaczyłem krwawe odciski stóp.

Łap Izolanta.

Trop był pojedynczy, ale wystarczył, żeby śmiertelnie mnie przestraszyć. Stwór wszedł w kałużę krwi, a potem cofnął się i poszedł do kuchni. Oczami wyobraźni ujrzałem Izolanta, który – zaniepokojony hałasem – zajrzał do domu i znalazł starą panią Zellis w nader niekorzystnym stanie. Teraz pewnie wybiegł na dwór, aby poinformować braci i siostry o tragedii. Psia mać... Zaraz mnie dopadną.

Biegłem jak zwierzę, które wie, że myśliwy bierze je na cel. Wypadłem przez frontowe drzwi, na śmierć zapomniawszy o dziurawej podłodze werandy. Gdybym miał wskazać jeden moment, w którym byłem bliski poddania się, to byłaby ta właśnie chwila: moja stopa weszła w spróchniałą deskę jak kciuk w miąższ nadgniętego owocu. Noga ugrzęzła mi w dziurze po kolano i musiałem zaprzeć się ręką, żeby nie wpaść głębiej. Rozdarłem dzinsy; świeża rana – od połowy piszczeli do wysokości kolana – zalśniła wiśniową czerwienią, a płat zdartej skóry zawisł boleśnie przy jej górnej krawędzi. Zatkanie mnie, płuca zaczęły mnie palić. Odrzuciłem ubranie i torebkę i wsparłem lewą rękę mocniej na (jak sądziłem) solidniejszym kawałku deski, tej samej, która przed chwilą poharatała mi nogę, a teraz przeszorowała mi po ranie drugi raz. Niewiele brakowało, żebym zemdlął z bólu.

Spojrzałem na samochód. Jessica i Christine siedziały z twarzami przyklejonymi do szyb, wpatrując się we mnie jak dzieci, które na wycieczce w zoo oglądają egzotycznego zwierzaka. Boże... Nie chciałem, żeby tak wyglądało nasze ostatnie spotkanie. Musiałem się uwolnić i to szybko; wyrzesać resztki sił; dać z siebie wszystko. Kurczę, do tej pory szło mi całkiem nieźle. Nie mogłem się teraz poddać!

Czyżby, Michael?

Wyciągnąłem rękę, chwyciłem krawędź najwyższego schodka i wyczołgałem się z pułapki. Złapałem torebkę; ubranie Christine postanowiłem sobie darować. Spadłem ze schodków werandy i wyrzniętem kolanami o betonową ścieżkę.

Coś wypadło z domu i rzuciło się na mnie. Kątem oka dostrzegłem chudą sylwetkę, która jednym susem przesadziła werandę i frunęła w moją stronę w powietrzu. Zrobiłem unik, ale bestia zahaczyła mnie szponem na wysokości pasa i nie udało mi się wstać. Wyciągnąłem przed siebie trzymany w ręce skalpel (cud, że jeszcze go nie upuściłem!). Izolant skoczył na mnie, szczerząc kły, ale byłem szybszy: rozorałem mu policzek skalpelem. Patrzyłem mu z bliska w pysk, gdy desperacko próbował mnie dosięgnąć zębami, i dźgałem na oślep: w barki, pierś, szyję. Gorąca krew tryskała na wszystkie strony, bryzgała mi na twarz, przesiąkała przez koszulę. Stwór młócił łapami na wszystkie strony, zębiska mijały mnie o milimetry, szukając ciała i znajdując tylko ubranie. W końcu kwiknął z bólu i na moment cofnął łeb.

Wystarczyło mi to, żeby pchnąć skalpelem prosto w jedno ze świecących ślepi.

Zawył i zatoczył się w tył, uderzając łapą w tkwiący w oczodole nóż. Żółta, gęsta jak budyń maź spłynęła mu na policzek. Wygląda jak tapioka, pomyślałem od rzeczy. Przewrócił się na wznak, bezradnie tłukąc pięściami

w ośnieżony trawnik. Skalpel sterczał mu z oka jak... jak kij od szczotki z szyi starej pani Zellis.

Wstałem nieporadnie, jak sparaliżowane dziecko. Zmrużyłem oczy i popatrzyłem z ukosa na samochód. Świat wirował mi przed oczami.

– Tatusiu! – wrzasnęła Jessica. – Szybko!

Ruszyłem w stronę auta.

– Tato! Torebka! – usłyszałem. – Torebka!

Leżała obok wijącego się z bólu potwora. Dopadłem do niej na zdrętwiałych nogach i podniosłem ją z ziemi. Izolant chwiejnie dźwignął się. W jednym oku nadal miał wbity skalpel, drugie jarzyło mu się wściekłym złotym ogniem. Jeszcze nie stracił woli walki.

Mimo bólu, wyczerpania i żądz mordy rzuciłem się do ucieczki. Biegłem szybko.

Doskoczyłem do samochodu i szarpnąłem za klamkę od strony kierowcy. Bez skutku. Zamek trzymał.

– Jessica! – warknąłem. – Otwórz drzwi, do diabła!

Patrzyłem, jak mozoli się z przyciskiem od strony pasażera, aż w końcu usłyszałem głośnie klik i zamek został odblokowany. Wskoczyłem do środka, ale Izolant zdążył przez ten czas dobiec do auta.

Zamiast próbować mnie wyciągnąć, pchnął mnie głębiej, na Jessicę, i wskoczył na mnie. Jessica i Christine zaczęły krzyczeć, wszyscy wymachiwali rękami, rozdając ciosy na oślep. Szpon bestii chlasnął mnie po twarzy. Pocięła krew, zimne powietrze wżarło mi się w ranę jak kwas. Jessica wpadła w histerię; drapała paznokciami szybę, chcąc znaleźć się jak najdalej od toczonej na sąsiednim fotelu walki na śmierć i życie. Christine usiadła prosto i z tylnej kanapy ostrożnie wymierzała ciosy pięściami. Celowała doskonale, ale nie udało jej się ani zranić Izolanta, ani nawet

odwrócić jego uwagi. Przewrócił mnie prawie na bok i siedział na mnie całym ciężarem, okładając po plecach i ramionach.

Brzytwiaste pazury z łatwością cięły na mnie ubranie i wiedziałem, że jeśli szybko czegoś nie wymyślę, skończę jak stara pani Zellis. Byłem coraz słabszy i zupełnie bezradny.

Nagle usłyszałem przeszywający ryk bólu. Ciężar na moich plecach zelżał.

Podniosłem głowę i zobaczyłem plamę krwi na przedniej szybie. Odczułem ból ze zdwojoną siłą, ale korzystając z chwili ulgi kopnąłem obiema nogami i poczułem, że trafiam w ciało.

Izolant zawył, ale nie uderzył mnie w odpowiedzi. Usłyszałem charkot, podniosłem się i przelazłem na siedzenie Jessiki, trzymając gardę i szykując się do zadania ciosu. Mała siedziała wtulona w najdalszy kąt fotela, roztrzęsiona i spocona ze strachu.

Izolant dogorywał. Skalpel sterczał mu z drugiego oczodołu, świeży tapiokowy ślad spływał mu po policzku, dygotał jak pod wpływem impulsów elektrycznych.

– To ja to zrobiłam, tatusiu... – powiedziała Jessica. – Ja... ja go...

Wybuchnęła płaczem. Trzęsła się jak galareta.

– Michael... – odezwała się Christine. – Czy on... nie żyje?

Szturchnąłem stwora nogą. Zsunął się z kierownicy i opadł na drzwi.

Skalpel, który Jessica odważnie wyszarpnęła mu z jednego oczodołu i wbiła w drugie ślepię, oparł się tylnym końcem o szybę i zagłębił w czaszkę, tak że wystawał tylko koniuszek rękojeści.

Zauważyłem coś jeszcze, coś, co ścisnęło mnie za gardło. Żołądek fiknął koziółka ze strachu.

– Kto zamknął drzwiczki? – spytałem szeptem.

Nikt mi nie odpowiedział.

Włączyłem zamek centralny.

– Kluczyki. – powiedziałem. – Gdzie są kluczyki?

Przesunąłem się, odpychając martwego Izolanta. Jessica podniosła torebkę z podłogi.

– Nie żyje? – dopytywała się Christine. – Na pewno nie żyje, Michael?

Dotknąłem jego nadgarstka. Déjà vu. Robiłem to dziesiątki razy u nich w legowisku.

– Nie żyje – potwierdziłem. Zapadła złowieszcza cisza. – Cokolwiek się stanie, nie otwierajcie drzwi – dodałem.

Zepchnąłem trupa między fotele. Christine wrzasnęła, kiedy okaleczony łeb zwisał w jej kierunku.

– Ciszej! – syknąłem, rozglądając się. Ktoś zamknął drzwi... – Połóż go obok siebie na siedzeniu. Tylko nie otwieraj drzwi.

– Nie mogę na niego patrzeć... Jest cały zakrwawiony. Nie moglibyśmy po prostu wyrzucić go przez okno?

Sam wrzuciłem zwłoki na tylną kanapę. Christine odsunęła się w drugi kąt, ciasno, owijając się kocem, tak jakby mógł ją ochronić przed zabitym potworem.

– Obserwują nas – wyjaśniłem. – Wiedzą, co zrobiliśmy. Czekają.

– Na co?

– Na dogodny moment, żeby nas zabić.

## ROZDZIAŁ 37.

Cicho. Zbyt cicho. Górą przeleciał nietoperz, wydając takie dźwięki, jakby się z nas podśmiewał. Pewnie dobrze wiedział, ilu tych skurczybyków czai się za drzewami.

Jessica podała mi wyjęte z torebki kluczyki. Uruchomiłem samochód. Jakby w reakcji na warkot silnika w całym lesie zapłonęły złote oczy: dwadzieścia, może trzydzieści par.

Powoli ruszyłem po bitej drodze.

Izolanci rzucili się za nami w pościg. Jeden znajdował się wyraźnie bliżej od pozostałych (pewnie to on zamknął nas w samochodzie) i teraz wskoczył nam na maskę.

Wczepił się pazurami w wycieraczki, przycisnął odrażający pysk do szyby i zawył przeciągle.

Wcisnąłem gaz do dechy. Tuman kurzu spod tylnych kół zasnuł pół okolicy. Minivan wystrzelił jak z katapulty.

– Gonią nas, tatusiu! – krzyknęła Jessica.

Ledwie ją zrozumiałem, bo samochód podskakiwał na wybojach.

Dojechaliśmy do końca bitej dróżki, gdzie musiałem zaryzykować. Założyłem, że niewidoczną zza gęsto rosnących drzew drogą nie będzie akurat przejeżdżał żaden samochód.

Z poślizgiem skręciliśmy na asfalt. Izolant na masce puścił wycieraczki i zsunął się na pobocze jak nieumocowana walizka. Trup na tylnym siedzeniu poleciał na Christine, która wrzasnęła przeraźliwie, odepchnęła

go z obrzydzeniem i nie przestawała go kopać, jakby w ten sposób mogła sprawić, że zniknie.

W lusterku zobaczyłem kilkunastu kolejnych stworów wypadających na drogę; poruszali się zygzakiem, jak wygłodniałe szczury w poszukiwaniu jedzenia.

Samochód zdążył się już jednak rozpędzić i kiedy po chwili zdali sobie sprawę, że nas nie dogonią, schronili się w ośnieżonym lesie.

Zamierzałem uciec z Ashborough, albo przynajmniej spróbować. Wystarczy przecież, że będę trzymał nogę na gazie, aż ta pieprzona miejscina zostanie za nami, prawda?

Dojechałem do drogi stanowej i zawahałem się: w prawo czy w lewo? Nie mogłem skręcić na wschód, bo przejechałbym wtedy przez sam środek miasteczka, gdzie czekali by na mnie gliniarze i mieszkańcy, posłuszni rozkazom Izolantów, może nawet uzbrojeni w pałki i pochodnie. Brakowałyby im tylko koszulek z napisem: „Witajcie w Ashborough! Nie wyjedźcie stąd żywi!” Postanowiłem więc pojechać na zachód. W ten sposób minęlibyśmy nasz nowy dom, a później dotarli do Ellenville.

– Spadamy stąd – powiedziałem.

– Nie pozwolą nam – zaproponowała Christine. – Oboje o tym wiemy, Michael.

– Pieprzyć ich – stwierdziłem, nie mając żadnych racjonalnych argumentów.

– Gdybyśmy mogli uciec, dawno byśmy to zrobili. Tak jak wszyscy inni. Nic się nie zmieniło: nie wypuszczą nas. Zresztą po tym, co zrobiliśmy tej kobiecie, pewnie będą nas chcieli po prostu zabić. Sam tak powiedziałeś.

Potrzebowaliśmy odrobiny nadziei. Postanowiłem zmienić płytę: – Nie zabiją nas... Nie damy im do tego okazji. – Mimo krętej drogi jechałem ostro, ponad sześćdziesiąt na godzinę. Knykcie zbieleły mi od ściskania



kierownicy. – Niby jak mieliby nas teraz zatrzymać? No bez jaj, przecież jedziemy samochodem!

Niech to wszyscy diabli... Gadałem od rzeczy i sam o tym wiedziałem. Potrafili przecież uszkodzić samochód, kiedy jechała nim Christine. Dlaczego nie mieliby zrobić tego po raz drugi? No... Pewnie by mogli. Problem polegał na tym, że po głowie kołatała mi się dziwna koncepcja tak zwanej wolności i byłem gotowy, chętny i zdolny zrobić wszystko, aby ją odzyskać.

Jessica się rozplakała.

– Ja chcę wyjechać, tatusiu! Proszę, wyjedźmy.

– Widzisz, Chris? Twoja córka chce wyjechać, więc wyjeżdżamy.

– Powinniśmy pojechać do domu – stwierdziła smętnie Christine. – Oni tego chcą.

Przełknąłem z wysiłkiem ślinę.

– Całkiem ci się w głowie pochrzało? – zapytałem. – Mam wrócić? Mowy nie ma. Ja tam nie pojedę i nie pozwolę, żebyście wy tam pojechali.

– Zabiliśmy tę starą babę, do cholery! – Christine krzyknęła tak głośno, że zagłuszyła warkot silnika. Napięcie w aucie sięgnęło zenitu; było jak wilgotny letni dzień, ciężkie i duszące. – Mało ci, że znowu rozmawiamy? Powinniśmy wrócić i zamknąć się w domu na cztery spusty.

Spojrzałem na nią w lusterku wstecznym. Miała dziwny wyraz twarzy: jakby zobaczyła Meduzę i została zamieniona w kamień. Zmrużyła oczy, jakby dla potwierdzenia moich skojarzeń. Przecież do tej pory baliśmy się nawet rozmawiać, pod groźbą kalectwa lub śmierci. Izolanci od dawna mieli nas w garści.

A teraz? Po tym, co się dzisiaj wydarzyło? Musiałem jej przyznać rację. Zabiliśmy ich duchową przywódczynię. W odwecie oni zabiją nas.

Od miesiący grozili nam śmiercią, a teraz te groźby spełnią. Z mojego punktu widzenia nie miało znaczenia, co zrobimy. Ale mimo wszystko próba ucieczki wyglądała sensowniej.

Wcisnąłem mocniej pedał gazu, nie zwracając dłużej uwagi na Christine. Minivan nie był może najbardziej zrywnym wozem na świecie, ale przynajmniej przemieszczał się z miejsca na miejsce. Jechaliśmy już osiemdziesiątką i rozpędzaliśmy się coraz bardziej.

Christine krzyczała, żebym zwolnił, ja jednak rozmyślałem głównie nad tym, jak Izolanci mieliby nas zatrzymać. Naprawdę byli gotowi rzucać się nam po kolei pod koła?

Od naszego domu dzieliło nas czterysta metrów. Właśnie minęliśmy dom Phillipa, a ja zacząłem się zastanawiać, kiedy agencja nieruchomości sprzeda dom kolejnemu młodemu małżeństwu, skuszonemu doskonałą okazją.

– Tato! – wrzasnęła Jessica. – Uważaj!

Przed chwilą na ułamek sekundy zerknąłem w bok, na dom Deightonów. Kiedy znów spojrzałem na drogę, zdjęło mnie przerażenie. Jakby mnie ktoś znokautował.

Wdusiłem pedał hamulca. Minivan wpadł w poślizg i wykonał pełny obrót wokół własnej osi; było o wiele za późno, żeby uniknąć zderzenia z leżącym w poprzek drogi jesionem, od którego dzieliło nas mniej niż dziesięć metrów. Uderzyliśmy czołowo.

Samochód stanął dęba na przednich kołach i omal nie przekoziółkował. Rozległ się podwójny ogłuszający huk: pękły opony. Jesion eksplodował milionem odłamków, które posypały się na nas drewnianym deszczem. Samochód odbił się od drzewa i oklapł, gdy przednie koła odpadły od osi. Natychmiast poczułem zapach benzyny.

Zrobiło się cicho. Siedzieliśmy oszołomieni, wyraźnie słyszałem nasze przyspieszone oddechy. Jessica pierwsza zaczęła płakać, zaraz potem zawtórowała jej Christine. Mnie też chciało się płakać, ale powstrzymałem łzy. Ktoś musiał być silny, a nie mogłem w tej kwestii liczyć na żonę ani pięcioletnie dziecko. W lusterku widziałem czerwoną plamę na twarzy Christine; nie wiedziałem, czy to jej krew, czy zabitego Izolanta.

– Jesteście całe? – zapytałem.

Musiałem wyrznąć głową o dach, bo ból właśnie zaczynał dawać znać o sobie. Na szczęście nikomu nic się nie stało, mimo że jechaliśmy bez pasów.

– Czuję benzynę, Michael.

Wysiadłem z auta. Kawałki drewna były dosłownie wszędzie, kilka utkwilo w atrapie chłodnicy, jeden sterczał ze zderzaka jak celowo wbity kołek. Przednia oś pękła, koła spadły z niej i leżały na asfalcie. Benzyna wyciekała z pękniętego baku. Nasz samochód umierał... Tak jak wiedźma.

Jessica również wysiadła i stanęła na poboczu. Blisko lasu.

– Jessica! Nie zbliżaj się do lasu!

Wyobraziłem sobie, jak Izolant wyskakuje spomiędzy drzew, porywają i znika w gąszczu.

– Samochód może wybuchnąć – odparła i wybiegła na środek jezdni, z dala od minivana.

Miała rację. Otworzyłem tylne drzwi i pomogłem Christine wysiąść. Otuliła się kocem jak szalem; piersi i wydatny brzuch wyraźnie się pod nim rysowały. Na jej ciele zaschnięty zielony żel zmieszał się z krwią i błotem. Wybuchnęła śmiechem, wysokim, piskliwym, zwiastującym początki hysterii.

Odciągnąłem ją od wozu i ruszyliśmy pieszo środkiem drogi. Kiedy przestała chichotać, odezwałem się smętnie: – Teraz chyba nie mamy

innego wyjścia, jak tylko wrócić do domu.

– Tego właśnie chcą! – zawołała, nagle zupełnie spokojna i opanowana.

Było to trochę przerażające.

– Powiedziałaś tak już wcześniej...

– Gdyby chcieli nas zabić, już byśmy nie żyli. – Zadygotała i wytarła nos rąbkiem koca. – Ale właściwie to ich nie rozumiem... Dlaczego po prostu nas nie zabijają?

Zacząła wodzić dookoła wzrokiem paranoiczki, oglądała się przez ramię, zerkała w głąb lasu. Cały czas była o krok od wpadnięcia w histerię. Jessica tuliła się do mnie. Nie zachowywała się w ten sposób od miesiący.

– Nie zabijają nas... – powiedziałem. – Bo jestem im potrzebny. To dobry powód.

Zawahała się.

– Michael...

– Tak?

– Musimy pogadać.

– Ja...

Dawne lęki wróciły ze zdwojoną siłą. Bałem się z nią rozmawiać, tak jakby jej słowa obudziły stary, negatywny engram w mojej świadomości. Teraz to ja zacząłem trwożliwie oglądać się przez ramię: gdzie mogą być, skąd nas obserwują i podsłuchują...

– Nie boję się ich grózb – stwierdziła Christine, kierując się nie tyle odwagą, co raczej chęcią potwierdzenia swoich nadziei. – Gdyby chcieli nas zabić, zabiliby nas. Nie mam racji?

Jakby chciała przekonać samą siebie.

– Chyba że czekają na odpowiedni moment.

– Jeśli tak, to wracajmy do domu i zacznijmy układać jakiś plan. Wymienimy się doświadczeniami, może dowiemy się o nich czegoś

nowego. Może mają jakąś słabość, którą uda się wykorzystać i zdołamy uciec. I tak nie mamy chyba wielkiego wyboru...

Niech to diabli...

Stałem jak wryty i zacząłem myśleć. Słowa Christine wydały mi się zdumiewająco odkrywczyste.

Słabość, dzięki której zdołamy uciec.

Christine i Jessica obejrzały się na mnie. Stałem nieruchomo na środku drogi przez dobre pół minuty, pocierałem twarz i myślałem... myślałem... aż pomyślałem, że może faktycznie jest pewien sposób. Potrzebowałem tylko...

– Michael? Co się stało?

Podniosłem wzrok.

– Farris... Farris coś kombinował.

– Kto? O czym ty mówisz?

– Nie teraz. Na pewno nas słyszą.

Z bijącym sercem i krwią łomoczącą w skroniach wróciłem biegiem do samochodu i wywlokłem ze środka zabitego Izolanta. Przypominał wór ziemniaków, ciężki i bezkształtny.

Leciał mi przez ręce, ale ścisnąłem go mocniej i wróciłem do żony i córki, od czasu do czasu zerkając ze siebie.

– Michael?! Co ty wyrabiasz?

– Chodźmy do domu. Potem porozmawiamy.

## ROZDZIAŁ 38.

Powrót do domu wyglądał tak, jak mogliśmy sobie wymarzyć: trwał krótko i obeszło się bez przygód. Prawie nie rozmawialiśmy. Pociągając nosami w zimnym, wilgotnym powietrzu, rozglądaliśmy się po cichym, ośnieżonym lesie. Zaledwie pół godziny po zderzeniu z drzewem dotarliśmy bezpiecznie do domu przy Harlan Road pod numerem 17 i pozamykaliśmy wszystkie drzwi. Siedzieliśmy przy stole w kuchni, popijaliśmy wodę, a zabity Izolant mroził się w zamrażarce. Christine nadal była owinięta kocem jak całunem, ja krwawiłem z licznych ran, a Jessica w jasnym świetle zdawała się o wiele brudniejsza niż przed godziną w domu wiedźmy. Zjedliśmy coś i doszliśmy do wniosku, że powinniśmy się wykapać i spróbować zapomnieć o wszystkim, co się rano wydarzyło. Dwie osoby, uzbrojone w kuchenne noże, stały na straży w korytarzu na piętrze, podczas gdy trzecie z nas brało prysznic. Pół godziny później znów zasiedliśmy do stołu, czyści i gotowi dyskutować o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości rodziny Cayle'ów.

Zegar w salonie wybił południe. Nie chciało mi się wierzyć, że poranne wydarzenia rozegrały się w ciągu niecałych trzech godzin – tyle czasu upłynęło od momentu, gdy schowałem się w samochodzie, do obecnej chwili. Miałem raczej wrażenie, że minął tydzień.

– Czy Jessica musi tego słuchać? – spytałem.

Jessica się nie odzywała, siedziała tylko obok nas z podkrążonymi, mokrymi od łez oczami.

– Jess, kochanie, zostań. Posłuchaj, co tata i mama będą mówić, a jak przyjdzie ci coś do głowy, to nam powiesz.

Mała skinęło słabo głową i siorbnęła wody. Chyba było jej obojętne, co jej każemy zrobić.

Tak, tak stres pourazowy na dobre mości się w jej główce.

Zacząłem. Odetchnąłem głęboko i opowiedziałem im o wszystkim: o spotkaniu z Rosy Deighton w dniu przeprowadzki (Christine mówiłem już o tym wcześniej, ale uznałem, że właśnie od tego zdarzenia powinienem zacząć, chociażby przez wzgląd na Jessicę); o rannej łani w szopie; o Lauren Hunter; o moim śnie z Page'em w roli głównej; o Phillipie Deightonie – jak próbował mnie sprowokować, jak powiedział mi o śmierci Rosy i jak w końcu zginął z mojej ręki; o spotkaniach ze starą panią Zellis i Samem Huxtable'em; o tym, jak rozmowa z Samem popchnęła mnie do rozmyślań, czy cała moja rodzina nie jest przypadkiem zamieszana w ten, jak go nazwałem, Wielki Plan. Zrelacjonowałem moją wizytę w legowisku Izolantów, którzy nazwali mnie „wybawicielem”. Opisałem ze szczegółami wszystko, do czego mnie zmusili. Kiedy doszedłem do chwili, gdy zakradłem się do samochodu, aby stwierdzić, co właściwie porabia Christine, spojrzałem na zegar. Minęła godzina, odkąd zacząłem swoją niewiarygodną opowieść.

– Okazało się, że miałem rację. Byłaś ich więźniem, tak samo jak ja.

Christine zmarszczyła brwi.

– Z tą różnicą, że ja nie zdawałam sobie sprawy z tego, że mną manipulują. Dopóki nie pojawiłeś się w tamtej piwnicy, byłam święcie przekonana, że regularnie jeżdżę do lekarza.

Tak to dla mnie wyglądało: ten dom, wszystko... W moich oczach to był gabinet lekarski. Nie przejrzałam iluzji.

– Kiedy wiedźma odkryła, że jestem w jej domu, też rzuciła na mnie urok – przyznałem. – Nagle upodobniła się do pięknej syreny. Zniewoliła mnie swoim widokiem. Nie mogłem się poruszać, mówić, nic zrobić. Czułem się, jakbym umarł i poszedł do nieba, gdzie przy perłowych wrotach czeka już na mnie mój anioł stróż. Gdybyś nie dziabnęła jej tym kijem od szczotki, nie siedzielibyśmy tu teraz razem.

– Nie czułeś, żeby Izolanci mieli podobną moc?

– Nie. Może we śnie...

– Czyli jest możliwe, że tylko wiedźma to potrafiła?

Skinąłem głową. Nagle coś sobie uświadomiłem.

– Jak często tam jeździłaś?

– Do domu wiedźmy?

– Tak.

Łzy napłynęły jej do oczu.

– Codziennie, odkąd Jessica zaczęła chodzić do szkoły.

Pokręciłem głową.

– Boże... To znaczy, że w ogóle nie wozilaś jej do szkoły?

Christine spojrzała z żalem na córkę i skinęła głową.

– Wozilaś, do zeszłego miesiąca. Ale lekarka... To znaczy, wiedźma, upierała się, żebym zabierała Jessicę ze sobą na nasze sesje. Czułam, że nie mam innego wyjścia. Miałam wrażenie, że jeśli jej nie posłucham, stanie się coś strasznego.

– To na pewno też był element czarów. Ale zaczynam w związku z tym podejrzewać, że Izolanci również próbowali mnie kontrolować. Byłem święcie przekonany, że jeśli spróbuję z wami porozmawiać, zabiją was. To dlatego od miesiący prawie się nie odzywałem.

Jezu Chryste... – Przeczesałem palcami włosy. – Wygląda na to, że nie samymi bezczelnymi groźbami podporządkowali sobie całe miasteczko.



– Ci ludzie, którzy zabrali trupa do domu... Wyglądali jak zombi. Jakby nie mieli własnej woli.

Próbowałem sobie wyobrazić tę niezwykłą scenę, tak jak opisywała ją Christine.

Spojrzałem na Jessicę, która wpatrywała się jak w transie w słoje na blacie stołu. Pewnie próbowała nie słuchać naszej rozmowy.

– Czy ta stara pani coś ci zrobiła, kotku? – zapytałem.

– Nie.

– Na pewno?

– Na pewno – odparła i dodała: – Myślałam, że siedzę w poczekalni. Przez cały czas.

Nigdy nic nie widziałam.

– Nie próbowała ci grozić?

– Nie.

Przeniosłem wzrok na Christine.

– Czego ta baba mogła chcieć od małej?

Pytanie oczywiście musiało pozostać bez odpowiedzi. My jej w każdym razie nie znaleźmy. Przecież nawet sama Christine nie miała pojęcia, co się tam właściwie działo.

– Niewiele zostało mi w pamięci – przyznała. – Ale pamiętam fragmenty rozmów z kobietą, którą wtedy brałam za lekarkę. Mówiła mi, że od dawna mieszka w tej okolicy. Jej matka mieszkała w tym samym domu, a kiedy zmarła, została pochowana na podwórku za domem. Nie wiem czemu, ale ta informacja utkwiała mi w pamięci.

– Może dlatego, że jest prawdziwa. Widziałem grób.

– No to kim ona właściwie była? Człowiekiem? Czy stworem z lasu?

– Mieszańcem. Tak mi się wydaje: pół Izolantem, pół człowiekiem, obdarzonym dodatkowo talentem jasnowidza.

– A ty co tam widziałeś, Michael? W piwnicy. Widziałeś, co ze mną robiła?

Przez chwilę chciałem powiedzieć prawdę, ale uznałem, że to nie ma sensu. Pewne rzeczy lepiej przemilczeć. Tak jak nie mówi się dziewczynie, że się ją zdradza. Powiedzenie żonie o tym, że wiedźma grzebała jej szponiastą łapą w pochwie, nie byłoby najrozsądniejszym pomysłem.

Jesteś pewien, Michael? Wiedźma nie robiła tego bez powodu. Może lepiej powiedz Christine? Tu przecież chodzi o jej ciało. I o wasze dziecko.

Słodki Jezu, chciała coś zrobić dziecku!

– Nic szczególnego. Po prostu umazała cię całą tym szlamem.

– Liście.

– Jakie liście?

Christine wzruszyła ramionami.

– Robiła galaretę z tych dziwnych liści. Pamiętam, jak ubijała je drewnianym tłuczkiem w beczce.

– Kiedy zszedłem do piwnicy, poczułem taki gryzący zapach... Wydał mi się znajomy.

A potem dotarło do mnie skąd go znam: herbata. Te liście... Uprawiałaś je w ogródku i parzyłaś sobie z nich herbatę, prawda?

Łzy napłynęły jej do oczu. Oparła mi głowę o pierś, tłumiąc szloch.

– Jak mogłam być taka głupia?

– Nie wiedziałaś. Po prostu nie wiedziałaś.

– Ufałam Rosy.

– Tak jak ja Phillipowi. Nie mogliśmy się wtedy domyślić, co jest grane.

Pogładziłem ją po plecach i spojrzałem ponad jej ramieniem na blat, na który wyładowaliśmy rzeczy z zamrażarki. Przeniosłem wzrok na samą zamrażarkę i ze zgrozą uświadomiłem sobie, że zamknięty w niej Izolant jest naszą jedyną nadzieją.

## ROZDZIAŁ 39.

L odowate popołudnie przyniosło drobniutki śnieg. Jedna z trzech desek na oknie na piętrze odpadła (albo została oderwana) i leżała teraz na ziemi trzy metry od grządki z dogorywającymi ziólkami.

Kiedy zacząłem się przekopywać przez sterty papierów zalegające bibliotekę i gabinet, dotarło do mnie, że prawdopodobnie widzę je po raz ostatni, co bardzo mi odpowiadało. Myśli kłębiły mi się w głowie, ale gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, za dzień, najdalej dwa powinniśmy znaleźć się daleko stąd. Taką miałem nadzieję.

Wyjaśniłem Christine istotę mojego odkrycia i wytłumaczyłem, co w związku z tym zamierzam. Zareagowała z entuzjazmem, ale i z odrobiną sceptycyzmu. Ja jednak nie widziałem innego wyjścia: mogliśmy albo zrealizować plan Neila Farrisa, albo czekać, aż Izolanci po nas przyjdą, co moim zdaniem mogło nastąpić już najbliższej nocy. Pokiwała głową. Ona również zaczynała rozumieć, że musimy stanąć do walki ze złem.

Kazałem jej i Jessice przygotować się do pospiesznego wyjazdu. Poszły na górę spakować trochę rzeczy, ale tylko tych absolutnie niezbędnych, przede wszystkim ubrania i jedzenie. Minivan nie nadawał się do jazdy, czekał nas długi spacer poza granice Ashborough i kampania przeciw Izolantom musiała być stuprocentowo skuteczna, jeśli mieliśmy mieć jakieś szanse. Byłem przekonany, że po drodze bez problemu ukradniemy czyjś samochód, nie napotykając wielkiego oporu.

Zabity Izolant, którego przyniosłem z minivana, tkwił zaklinowany w zamrażarce.

Musiałem mu połamać nogi, żeby się zmieścił, ale nie miałem wyboru: nie zamierzaliśmy męczyć się w trupich oparach, które na dodatek ściągnęłyby nam na głowy tłumy jego pobratymców.

Otworzyłem zamrażarkę. Skóra stworza przymarzła do ścianek i kiedy próbowałem go wyciągnąć, wydawała odgłos jak rozklejane rzepy i zostawiała krwawo–ziemiste ślady, przypominające plamy farby na abstrakcyjnym obrazie.

Krzywiąc się z obrzydzenia, przeciągnąłem zwłoki do biblioteki i położyłem na leżance dla pacjentów. Mierzyły około stu dwudziestu centymetrów długości i przedstawiały żałosny widok: ręce i nogi, powykrzywiane pod jakimiś nieprawdopodobnymi kątami, zwisały z leżanki jak kończyny bezwładnej marionetki. Twarz pokryła się szronem jak siwym zarostem. Można by pomyśleć, że mam przed sobą jednego ze służących Świętemu Mikołajowi elfów, który przed chwilą wrócił z piekła.

Rozłożyłem ciało na leżance (trochę jakbym układał pacjenta) i naprostowałem wszystkie kości i stawy, które odzyskując kształt, wydawały głośnie, suche trzaski. Śluzowata wydzielina wsiąkała w białą narzutę.

Zegar wybił czwartą. Mrok zakradał się pod dom jak morderca. Wiedziałem, że niedługo przyjdą po ciało – a to oznaczało, że drugiej szansy miał nie będę. Czasu było coraz mniej.

Słyszałem kroki kręcących się na górze Christine i Jessiki; przygotowywały się do opuszczenia tego przekłętego miejsca. Ciekawe, pomyślałem, czy Izolanci podeszli już pod dom, wpatrują się w zabite okna i próbują odgadnąć nasze zamiary. Mogłem się tylko modlić, żeby nie udało im się to zbyt szybko.

Układałem sobie w głowie plan najbliższych działań, ale ciekawość chwilowo wzięła górę i postanowiłem zbadać dokładniej trupa. Twarz miał przerażającą, jak dziecko zarażone progerią: pomarszczona skóra,

przerośnięte i zdeformowane zęby, cienkie, wiotkie włosy jak pajęczyna osnuwające zniekształconą czaszkę. Obrazu dopełniała zapadnięta klatka piersiowa, wklęsły brzuch z żyłastymi pasmami mięśni, długie, patykowate kończyny...

Zupełnie inny od człowieka, a genetycznie niezwykle podobny.

Niezwykle podobny genetycznie...

W tej krótkiej chwili przysłała mi do głowy trochę abstrakcyjna myśl, a właściwie wspomnienie, jedno z nielicznych wyniesionych ze stażu w Columbii: człowieka od małp różni tylko jeden gen. Tymczasem patrząc na leżącego przede mną stwora, musiałem przyznać, że małpy różnią się od nas znacznie bardziej niż Izolanci. Czy to możliwe, żeby te demony były po prostu jakąś niezwykle odmianą homo sapiens? Ale skąd u nich te świecące oczy? Pewnie przystosowanie do podziemnego środowiska. A te stopy? Pięciopalczaste, owszem, ale bardziej gadzie niż ssacze, czego nie dałoby się wyjaśnić teorią ewolucji.

Miałem dziesiątki takich pytań, ale wyglądało na to, że na razie pozostaną one bez odpowiedzi.

A może nie?

Mimo że byłem posłuszny ich żądaniom, od dawna zastanawiałem się nad tym, jak mógłbym się z nimi rozprawić. Myślałem o podpaleniu legowiska, ale bałem się, że pod ziemią szybko zabraknie tlenu i ogień zgaśnie. Poza tym przy panującej tam wilgoci w ogóle ledwie by się tlił... Pewnie zabiłbym w ten sposób kilkudziesięciu, zwłaszcza gdybym zablokował wyjście, ale Sam Huxtable miał rację, kiedy mówił, że wejść jest więcej. A ja nie miałem pojęcia, gdzie są pozostałe.

Inne pomysły wydawały mi się jeszcze bardziej nieprawdopodobne: zalanie legowiska wodą albo wyłapanie potworów jeden po drugim; szkoda było nawet czasu na ich rozważanie.

Izolantów było mnóstwo, a ja nie miałem jak zawiadomić świata zewnętrznego o ich istnieniu. Gdybym spróbował, złapaliby mnie i poddali torturom, a potem na moich oczach zabiliby mi rodzinę.

Kiedy jednak Christine wspomniała na drodze o poszukiwaniu ich słabych punktów, stało się dla mnie oczywiste, że na pewno mają jakieś ograniczenia i że Neil Farris je odkrył, i dlatego próbował uciec. Odkryli jego plan i zabili go, zanim zdążył się z kimś skontaktować.

Dostrzegłem w tym naszą jedyną szansę: musiałem dokończyć to, co on zaczął.

Naciągnąłem rękawiczki chirurgiczne i otworzyłem wciśniętą między regał i szafę lodówkę, w której Neil Farris przechowywał próbki krwi pacjentów. Kiedy pierwszy raz je tam znalazłem, nie mogłem pojąć, do czego były mu potrzebne, pomijając już fakt, że gromadzenie krwi zakażonej wirusem dżumy jest przestępstwem federalnym: gdyby rząd przyłapał Farrisa na czymś takim, zapuszkowałby go na trzydzieści lat.

W lodówce znajdowało się łącznie siedemnaście plastikowych probówek, zawierających próbki czterech różnych wirusów: dżumy, malarii, HIV i hantawirusa. Ten ostatni interesował mnie najbardziej.

Uśmiechnąłem się. Pierwszy raz od pół roku się uśmiechnąłem.

Wyjąłem probówkę z hantawirusem, przeniosłem ją do gabinetu lekarskiego i umocowałem w uchwycie na stalowym stole z instrumentami, obok leżanki. Sięgnąłem do wiszącej szafki po strzykawkę, uzbroiłem ją w igłę i stanąłem twarzą w twarz z zabitym bestią.

Igła z łatwością wkłuła się w tętnicę. Pociągnąłem tłoczek i napełniłem strzykawkę krwią, która jeszcze nie zdążyła skrzepnąć. Jedną kroplę przeniosłem na szkiełko i wsunąłem pod mikroskop.

Spojrzałem przez okular i natychmiast go zobaczyłem, jak trzepotał się na skraju pola widzenia: mikrob, napędzany cienką jak włos wicią.

To zbyt proste...

To był elementarz mikrobiologii. Obecność drobnoustroju dowodziła niezwykłego faktu: Izolanci byli ludźmi, zakażonymi, zdeformowanymi ludźmi. Zarazek, który miałem przed oczami, przez wiele lat oddziaływał na ich genom i doprowadził do mutacji na niespotykaną skalę. Zniekształcone rysy twarzy, wysuszona skóra, przygarbiona sylwetka, nawet zwierzęca agresja, wszystko to zawdzięczali temu małemu skubańcowi, którego miałem tu pod mikroskopem.

To było niesamowite odkrycie. Dziesiątki tysięcy lat temu mikrob się rozprzestrzenił, niosąc chorobę i śmierć ogromnej liczbie ludzi. Wybuchła epidemia. Ci, którzy przeżyli, uodpornili się, ale nie obyło się bez konsekwencji. Doszło do mutacji genetycznej, która wywołała deformację sylwetki i zmiany usposobienia. Wskutek chowu wsobnego i przystosowania do środowiska ludzie ewoluowali do postaci Izolantów, aż stali się wyalienowaną, zdziczałą rasą, jaka po dziś dzień zamieszkuje lasy Nowej Anglii.

Ludzie po mutacji genetycznej, naturalnej mutacji, jak sześciorogie żabki żyjące tylko w jednym jeziorze na północnym zachodzie USA albo dwugłowe węże występujące w amazońskiej dżungli na terenie zaledwie pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych.

A zatem... Skoro Izolanci byli podatni na zwykłe choroby, czego dowodziła obecność tego mikroba we krwi, mogli się również zarazić wirusem jak wszyscy ludzie. A gdyby udało się dobrze dobrać wirus, mogli wymrzeć. Szybko. W mękach.

Neil Farris o tym wiedział. A teraz wiem i ja.

Wygrzebując z otchłani pamięci strzępy mojej medycznej edukacji, przypomniałem sobie, że w niesprzyjających warunkach biologicznych niektóre wirusy tworzą tak zwane spory, które po odłączeniu się od wirusa

macierzystego cechuje wyjątkowo wysoka odporność na niekorzystne czynniki chemiczne i fizyczne. Kiedy sytuacja wraca do normy i powstają sprzyjające warunki do życia, ze spor odtwarzają się zdolne do reprodukcji wirusy.

W ten właśnie sposób łapiemy przeziębienie albo grypę. W legowisku Izolantów, w tłoku i przyjemnie wilgotnym środowisku, mechanizm ten powinien zadziałać jak marzenie.

Kilka lat temu miałem pacjenta z biegunką, wymiotami, gorączką, katarem i kaszlem.

Wszystko to zważyło się na niego w ciągu jednego dnia, po tym jak przy sprzątnięciu w stodole został ugryziony przez szczura. Pobrałem od niego krew i dałem ją do zbadania. Testy wykazały obecność hantawirusa.

Dwa dni później pacjent zmarł na skutek ostrej niewydolności oddechowej i gorączki krwotocznej, takie są okrutne skutki uboczne działania wirusa. Hantawirus jest wysoce zaraźliwy, a przy braku odpowiedniego leczenia prawdopodobieństwo zgonu wynosi blisko sto procent.

Wystarczyło zarazić nim jednego z Izolantów. Tylko jednego.



## ROZDZIAŁ 40.

Zapadła noc. Zakończyłem większość przygotowań i czekałem, wyglądając przez okno w bibliotece, aż wynurzą się z lasu. Ciało leżało obok mnie na krześle, ze zwieszonymi rękami i nogami. Rozmarzło już i śmierdziało na potęgę. Szara skóra przybrała bury, błotny odcień. Zamknięte oczy były przesłonięte paroma pasemkami włosów. Podniosłem rękę, w której trzymałem strzykawkę z krwią zarażoną hantawirusem i po raz setny w ciągu ostatniej godziny spojrzałem pod światło na gęstą, intensywnie czerwoną ciecz.

Czekałem. Dotknąłem zwłok Izolanta, żeby upewnić się, że nie zniknęły, a ja nie przeżywam kolejnego z moich realistycznych snów, być może spowodowanego przez Izolantów, abym pomyślał, że naprawdę mam szansę im zaszkodzić. Mimo że od tamtego snu (albo przypadku lunatyzmu, jak kto woli) minęło sporo czasu, jego wspomnienie nadal trzymało mnie w uścisku jak żelazna obręcz.

Zegar wybił dziesiątą. Przy ostatnim kurancie uświadomiłem sobie, że co najmniej od godziny nie słyszę już, żeby Christine i Jessica krzątały się po domu. Przebiegł mnie dreszcz.

Kątem oka dostrzegłem blask złotego światła.

Oto decydująca chwila...

Wyrząłem przez okno. Pojawiły się jak za sprawą magii: pół tuzina, może więcej złotych ślepi wypłynęło z leśnych mroków. Serce zabiło mi mocniej, aż przed oczami pojawiły mi się białe plamy, a kiedy odzyskałem wzrok, dostrzegłem skradające się ku mnie ciemne sylwetki. Łapy mieli

oblepione śniegiem jak watą. Zerwałem się z miejsca, z trudem przełknąłem ślinę i czym prędzej wbiłem igłę w brzuch zabitego stwora. Wstrzyknąłem mu połowę zawartości strzykawki.

Przykucnąłem i wziąłem go na ręce, czule, ostrożnie, jakbym podnosił dziecko. To ohydzstwo było moją jedyną bronią przeciw potworom i nie chciałem, żeby mu się coś stało.

Niosąc go na rękach, wyszedłem z biblioteki i przez poczekalnię wyniknąłem się na dwór.

Powiał wiatr, wciskając mi do nosa dławiący smród rozkładającego się ciała. Żołądek podszedł mi do gardła. Księżyc w pełni oświetlał mi drogę snopami światła, nocna mgła kłębiła się pod nogami. Ziemia była zimna i zmrożona, lodowate powietrze kłuło mnie igiełkami po twarzy.

Tak pewnie wygląda piekło: zimno, strasznie, trupio.

Zabity Izolant zwisał mi bezwładnie z rąk jak przeznaczona na ofiarę dziewica.

Opanowałem mdłości i skręciłem za róg domu, na podwórko. Izolanci natychmiast ruszyli w moją stronę, niektórzy na dwóch łapach, większość na czworakach. Przypominali mi elementy jakiejś symulacji, istoty z ponurej gry komputerowej. Otoczyli mnie w mgnieniu oka: osiem, może dziewięć potworów warczało, szczyrzyło kły i poszturchiwało mnie szponami. Czuję się jak kucyk osaczony przez stado szakali.

Podąłem im ciałem; po nie przecież przyszli. Dwóch z nich wyrwało mi trupa z rąk, szarpiąc go szponiastymi łapami jak kociaki bawiące się kłębkami włóczki. Pozostali z zapalem poszli w ich ślady, wszyscy oprócz jednego.

Tego jednego złapałem za kudły, odchyliłem mu łeb do tyłu i bez namysłu wbiłem strzykawkę w tętnicę. Wstrzyknąłem mu resztę zakażonej krwi. Zawył, zeszywniał i wyciągnął rękę po strzykawkę, ale nie zdołał jej

dosięgnąć. Wiatr się wzmógł, jakby w reakcji na to, co zrobiłem, i zajęczał wśród drzew. Rozejrzałem się niespokojnie. W pobliżu mogło się czaić więcej Izolantów, żądnych zemsty za śmierć starej pani Zellis.

Stwór dźgnięty przeze mnie strzykawką zatoczył się do tyłu (zdążyłem go już puścić) i zaczął się oddalać. Strzykawka nadal sterczała mu z szyi, ale jego rozochoceni bracia, którzy właśnie zaczęli pożerać trupa, niczego nie zauważyli.

Znowu się uśmiechnąłem. Pomodliłem się w duchu i pospiesznie wycofałem do domu, gdzie czułem się bezpieczniej. Zastanawiałem się tylko, dlaczego od razu mnie nie zabili w odwecie za zamordowanie wiedźmy. Może po prostu ucieszyli się z kolacji.

# ROZDZIAŁ 41.

**W**szedłem do salonu, krzywiąc się z bólu, który nagle przeszył mi brzuch: gdzieś po drodze musiałem naciągnąć sobie jakiś mięsień i teraz poczułem się jak dźgnięty nożem.

Żona i córka siedziały na sofie jak pacjentki w poczekalni, skulone ze strachu, z rękami na kolanach. Na mój widok Christine wstała, podtrzymując brzuch, i spojrzała na mnie pytająco; jej szeroko otwarte oczy pałały nadzieją. Jessica siedziała nieruchomo, walcząc z sennością i starając się nie przegapić niczego istotnego. Spoglądaliśmy po sobie w milczeniu, zachodząc w głowę, jak to możliwe, że sprawy potoczyły się w taki sposób. Nagle strach, który powinienem był odczuć na dworze podczas spotkania z Izolantami, grzmotnął mnie jak salwa z karabinów. Zachwiałem się, omal nie upadłem.

To twoja rodzina, Michael. Musisz być silny. Nie poddawaj się teraz!

To bez znaczenia, pomyślałem. Zanim zdążyłem powiedzieć coś na głos, osunąłem się na podłogę.

Pierwszym moim uczuciem po odzyskaniu świadomości był niepokój o Christine i Jessicę, ale zaraz w moim polu widzenia pojawiła się ta pierwsza, z zimną szmatką, którą otarła mi czoło. Chciałem się podnieść, podeprzeć na łokciach, ale wyczerpanie dało znać o sobie i tylko bezradnie opadłem na łóżko.

– Nie wstawaj – powiedziała Christine. – Jeszcze nie teraz.

Obmyła mi twarz. Długie minuty zbierałem siły, zanim wydusiłem pytanie: – Długo byłem nieprzytomny?

- Parę minut.
- Nic się wam nie stało?
- Nie. – Pokręciła lekko głową.
- Jessica?
- Siedzi na sofie. Wszystko jest w porządku.

Jej zapewnienia nie były jednak w stanie rozwiązać moich obaw. W myślach cały czas dręczyły mnie te same pytania: Co będzie, jeśli mi się nie uda? Zginiemy wszyscy? Jak Neil Farris? A może nie? Przecież wdowie po Farrisie dali spokój, pozwolili jej wyjechać. Może taka była umowa? Może Farris się poświęcił, żeby ratować rodzinę? A może wszystko było po prostu częścią Wielkiego Planu? Może wdowa została strażniczką granic i teraz obserwuje tych, którzy przyjeżdżają do Ashborough lub z niego wyjeżdżają (mając oko głównie na tych pierwszych)? Sam Huxtable wspominał mi o takich ludziach.

Powątpiewałem w siebie, nie sądziłem, żeby starczyło mi odwagi, by oddać życie za gwarancje bezpieczeństwa dla moich bliskich, ale zaraz potem uświadomiłem sobie, że Ashborough można opuścić tylko w jeden sposób i czy tego chcę, czy nie, rodzina będzie mi w tej drodze towarzyszyć. Zgrzytnąłem zębami, byłem sfrustrowany i podenerwowany. Co nas czeka? Życie czy śmierć? Trzeciej możliwości nie było. Wziąłem głęboki wdech, przetrzymałem powietrze w płucach i wydmuchnąłem je powoli, próbując się uspokoić.

W którymś momencie znowu straciłem przytomność.

Miałem sen. Koszmarny sen. Stara pani Zellis powróciła z zaświatów i pokrzyżowała mi wszystkie plany, zniszczyła wszystko, co do tej pory osiągnąłem.

Zaprowadziła mnie do kamiennego kręgu i stała obok mnie, gdy Izolanci kanibale obżerali się uśmiechniętym Lou Scullym, który leżał na wznak na

ofiarnym kamieniu. Lou Scully... Zachował się jak prawdziwy przyjaciel, pomógł mi znaleźć ten dom; dom, który miał się dla mnie stać bezpieczną przystanią, a okazał się przekleństwem. Ale wtedy dosłownie spadł mi z nieba.

Z perspektywy czasu widziałem, że Lou od początku brał udział w spisku, w Wielkim Planie – nie wiedziałem, czy robił to celowo, czy zupełnie nieświadomie, ale nie miało to znaczenia. To on nas tu sprowadził. Oderwałem wzrok od postaci człowieka, którego nagle znienawidziłem, i rozejrzałem się dookoła.

Phillip i Rosy Deightonowie wyrosli obok głazu jak spod ziemi i również zaczęli szarpać ciało Scully'ego: darli je na pasy, które żarłocznie pchali sobie do ust, zupełnie jak Izolanci. Krew ściekała im po brodach, a ja nagle ujrzałem Rosy taką, jaka była, zanim odniosła te potworne obrażenia: miała całą zuchwę i skórę pozbawioną blizn.

Gdzieś z prawej rozległ się odgłos przywodzący na myśl szczekanie. Spojrzałem w tamtym kierunku i zobaczyłem Lauren Hunter, również całą i zdrową, schludnie ubraną, opaloną, z doskonałą fryzurą i perfekcyjnie zrobionym makijażem. Siedziała po turecku na ziemi przy jednym ze stojących pionowo monolitów, uśmiechała się i klaskała, od czasu do czasu łamiąc wyklaskiwany rytm psimi szczęknięciami. Ten odgłos wydał mi się dziwnie znajomy, ale dopiero kiedy obok niej pojawił się jeleni, zrozumiałem, że Lauren naśladuje rozpaczliwe beczenie zranionej łani, którą znalazłem w szopie.

Spojrzałem teraz na starą panią Zellis, która zakrzywionym palcem wskazywała mi coś na lewo od nas: Sam Huxtable jechał wierzchem na jeleniu, kierując nim przez polanę w stronę głazu ofiarnego. Tam zeskoczył na ziemię, sięgnął w głąb rozprutego brzucha Lou Scully'ego (który uśmiechał się do mnie jak wariat i poruszał brwiami w górę i w dół, jakby

mówił: Niezłe ma wiedźma cycuchy, nie, Michael?) i wyjął nerkę albo wątrobę. Ścisnął ją mocno, żeby nie przeleciała mu przez palce, włożył sobie do ust, szybkim ruchem odchylił głowę, jakby łykał pastylki, i z głośnym siorbnięciem przełknął.

Wszyscy aktorzy zebrali się na scenie. Uczta trwała.

Nagle za najwyższym z głazów zobaczyłem jakąś nienazwaną istotę, wielką jak okoliczne drzewa, ciemnoskórą, owłosioną, ze świecącymi złotymi ślepiami, których blask padał na sześć krętych rogów i warkocze na jej głowie. Wszyscy obecni oderwali się od swoich zajęć, zapomnieli o mojej obecności i utkwili wzrok w gigantycznym potworze, który oparł szponiaste łapy na stojącym przed nim kamieniu.

Na scenę wkroczyła Christine. Przyszła, a właściwie przyleciała, bo unosiła się nad ziemią, zza moich pleców. Wyciągnąłem rękę, żeby ją złapać, ale prześliznęła się poza moim zasięgiem, albo nie zdając sobie sprawy z mojej nieobecności, albo świadomie mnie ignorując. Chciałem krzyknąć, ale z mojego obolałego gardła dobył się tylko chrapliwy szept.

Próbowałem się poruszyć, ale nogi miałem jak przyklejone do gruntu, a kiedy spojrzałem w dół, stwierdziłem, że stoję zagrzebany po kostki w ziemi, z której wynurzają się łapy Izolantów i chwytają mnie za łydki. Tłum się cofnął, zabierając ciało Scully'ego. Kamień ofiarny pokrywała gruba warstwa krwi.

Christine rozebrała się i usiadła na nim. Martwymi, szklistymi oczami wpatrywała się w górującego nad polaną potwora, który teraz wszedł do kręgu. Całe jego ciało falowało jak woda, jakby pod jego skórą roiły się dziesiątki insektów. Z sierści sypały mu się grudy błota i mokrych, gnijących liści. Otaczał go charakterystyczny odór, taki sam jak woń zrobionej z liści mazi starej pani Zellis; jak zapach herbatki Rosy Deighton. Uklęknął przy głazie. Jedną przednią łapą podparł się o ziemię, w drugą

ujął organ, który musiał być jego penisem w erekcji: czarny, nakrapiany drogą, ociekający żółtą, lepką cieczą. Oczy zalśniły mu jak płynne złoto.

Christine spojrzała na mnie. Też miała złote oczy. Uśmiechnęła się i rozłożyła nogi.

Stwór ryknął ogłuszająco i wszedł w nią.

Obudziłem się z krzykiem.

Usiadłem na łóżku, mokry od potu i roztrzęsiony. Christine podbiegła do mnie, przysiadła na skraju łóżka i przetarła mi czoło wilgotną szmatką. Zamknąłem oczy. Pod palcami czułem prześcieradło i materac. Moje łóżko, w którym nie spałem od miesiący.

Dotyk pościeli był cudowny. Ciekawe, pomyślałem przelotnie, czy była ostatnio prana.

Poczułem znajomą woń, dziwnie... organiczną.

Ognisko? Liście gnijące w rynnie?

Liście... Ta herbata.

– Michael? Dobrze się czujesz?

– Jezu, ale miałem sen... koszmar! Nawet nie mogę go... To było coś okropnego!

Christine dalej gładziła mnie po głowie.

– Ćśś, spokojnie... Nie martw się tym teraz. Jesteś chory.

Odwróciłem głowę w bok. W głowie kręciło mi się i szumiało jak po narkotykach.

Zza okna sączyło się żółte światło. Ciekaw byłem, jak długo spałem.

– Która godzina?

Christine zdjęła mi szmatkę z czoła.

– Dochodzi południe.

Znów zaleciał mnie ten zapach: jakby rumianku, tylko lekko sfermentowanego.



Atmosfera w pokoju była spokojna, ale wyczuwałem napięcie, które tłamsiło mnie jak uparte wspomnienia, one zaś wydawały mi się dziwnie odległe, jakby zarejestrowane na starych odbitkach, w sepii.

– Jesteś chory, Michael – powtórzyła Christine. – Od trzech dni gorączkujesz, na szczęście chyba przyszło przesilenie. Masz trzydzieści siedem i dwie kreski. Nie jestem lekarzem, ale jako żona lekarza mogę chyba powiedzieć, że rokowania są pomyślne.

Trzy dni?!

Wpadłem w panikę. Usiadłem na łóżku, zmagając się ze zmęczeniem, zawrotami głowy i obolałym ciałem.

– Jezu... Ale ja... Dlaczego...

Zabrakło mi słów. Jak mogłem przespać całe trzy dni? To nie miało sensu. Czyżbym był aż tak wykończony, że ciało odmówiło mi posłuszeństwa i na dłuższy czas wyłączyło mnie z obiegu? Nie mogłem tego wykluczyć, ale nasuwała mi się także inna możliwość, przerażająca, ale zarazem zachęcająca do oporu. Bitwa nie została jeszcze wygrana.

– Co się przez ten czas działo? – wykrztusiłem w końcu. – Ostatnie, co pamiętam...

...to ten sen. Sen, w którym stara pani przyszła po ciebie i zabrała cię do kamiennego kręgu. Twoimi przyjaciółmi odgrywali napisane dla nich role w jakimś chorym rytuale, a wielki złotooki demon objawił ci się i zgwałcił twoją żonę...

Drżącą ręką przeczesalem włosy. Dłoń miałem całą moką od potu. Christine poszła do łazienki, odkręciła wodę i wróciła ze świeżo zmoczoną szmatką w ręce. Uśmiechnęła się niepewnie, przystanęła, skrzywiła się i złapała za brzuch.

– Co się dzieje? – zaniepokoiłem się.

Pytanie samo spłynęło z moich ust. Mój umysł nadal zmagał się ze wspomnieniem snu i informacją, że przez trzy dni byłem unieruchomiony.

– Dziecko kopie – odparła Christine dziwnie bezbarwnym tonem.

– Musimy cię stąd wywieźć – powiedziałem.

Zwlokłem się z łóżka.

– Mówiłaś, że ile czasu byłem nieprzytomny?

– Trzy dni.

Trzy dni. Naprawdę wydawało mi się to niemożliwe.

– Jesteś pewna?

Skinęła głową.

– Boże, dlaczego nic nie pamiętam?! Jadłem coś?

Włożyłem dzinsy i bluzę, starając się nie zwracać uwagi na palący ból w mięśniach.

– Dużo spałeś. Miałeś wysoką gorączkę. Łykałeś aspirynę, popijałeś herbatą jak grzeczny pacjent i znów się kładłeś.

Popijałeś herbatą.

Stałem przed lustrem w łazience i spryskałem sobie twarz zimną wodą. Na umywalce dostrzegłem dziwne zielone zacieki, które jednak szybko zniknęły, spłukane wodą z kranu.

Chcesz zielonej herbaty, Michael?

Podniosłem wzrok. Człowiek w lustrze postarzał się o dwadzieścia lat w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy.

Chciałem zapytać Christine, czy nadal pija tę herbatę albo mnie nią poi, ale stanęła nagle w drzwiach i odezwała się: – Nie powiedziałeś mi, co zrobiłeś.

Minę miała poważną, zawziętą, słowa również zabrzmiały ostro; słyszałem w nich raczej oskarżenie o morderstwo niż oczekiwaną przeze mnie nadzieję.

Postanowiłem nic nie mówić. Skrzywiła się, chwyciła za brzuch (wielki jak w samej końcówce ciąży) i tyłem wróciła na łóżko. Oparła się o nie ciężko.

– Muszę tam iść, Christine – powiedziałem, mając na myśli las. – Muszę sprawdzić, czy się udało.

Westchnęła, przygryzła wargę i spytała znacznie natarczywiej, niż było to konieczne: – Czy co się udało?

Zdziwiłem się, że o to pyta; przecież wszystko wcześniej obgadaliśmy. Jeszcze dziwniejszy był ton jej głosu, jakbym zaskoczył ją tym, że zrealizowałem swój plan. Raz jej już tłumaczyłem, że naszą jedyną nadzieją jest pokonanie Izolantów albo przynajmniej osłabienie ich na tyle, żeby nie przeszkadzali nam w opuszczeniu Ashborough. Sądząc jednak z tego, jak się zachowywała, o wszystkim zapomniała.

Spojrzałem na nią, nie kryjąc zdumienia.

– Zakażona krew – odparłem ostrożnie. – Hantawirus. Powinien ich już wykończyć.

– To właśnie zrobiłeś?

Oskarżycielski ton kazał mi zwątpić, czy na pewno poinformowałem ją o swoich zamiarach. Może to dlatego tak się wściekała. Byłem wprawdzie absolutnie przekonany, że o tym rozmawialiśmy, ale nie umiałem przypomnieć sobie momentu samej rozmowy. To mnie przerażało. Pamiętałem tylko, że krótko po tym, jak złapałem Izolanta za włosy na głowie i wstrzyknąłem mu zatrutą krew, wróciłem do domu i rozmawialiśmy z Christine w salonie, a potem straciłem przytomność i śniłem najgorszy, najbardziej surrealistyczny koszmar w życiu.

– Tak, to właśnie zrobiłem – odparłem bez namysłu. – Otrułem ich. A teraz idź po bagaże. Może uda nam się dziś wyjechać.

– Powodzenia – powiedziała oschle i posłała mi wymuszony uśmiech.

– Dzięki.

Dopiero po wyjściu z łazienki pomyślałem o Jessice i serce na chwilę przestało mi bić.

Obejrzałem się przez ramię. Wszędzie panowała martwa cisza, przedpokój aż wibrował od napięcia. Nagle poczułem się tak, jakbym został sam na świecie.

– Christine?

– Tak? – odezwała się z sypialni.

– Gdzie Jessica?

– U siebie.

Zajrzałem do pokoju Jessiki. Zamknięte żaluzje odcinały większość światła. Lalki stały w rzędzie na komodzie; paru brakowało, pewnie trafiły do torby, która stała obok łóżka.

Nie było również misia.

Jessica leżała w łóżku, cicha, nieruchoma, jak w śpiączce. Podeszedłem do niej, pogłaskałem ją palcem po czole i pocałowałem delikatnie w policzek.

– Nie bój się – szepnąłem. – Zabiorę cię stąd.

Zszedłem na parter, do kuchni. Napilem się wody, ale nie miałem apetytu i postanowiłem nic w sobie nie wmuszać. Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, niedługo zobaczę sceny, przy których pełny żołądek nie byłby wskazany. Nagle zmroziło mnie przecucie, że może załatwienie sprawy w ten sposób wcale nie było najlepszym pomysłem.

Ale... Oprócz lodowatej zgrozy czułem także płomień entuzjazmu, który chronił mnie przed tym wewnętrznym zimnem i kazał mi walczyć do końca, jakby gdzieś z poddasza spłynęła na mnie siła, która mną pokieruje.

Nie mogłem teraz zrezygnować. Włożyłem buty i wyszedłem z domu.

## ROZDZIAŁ 42.

Powietrze było lodowate, za to sam dzień – najbardziej słoneczny w całym roku. Nie miałem pojęcia, jaki jest dzień tygodnia. Kiedy ostatni raz się tym interesowałem (czyli w bliżej nieokreślonej przeszłości), mieliśmy grudzień, około piętnastego. Rany, czyli teraz mogło być Boże Narodzenie. Albo nawet Nowy Rok.

Wchodząc do lasu, spojrzałem w dół. Byłem ciekawy, czy moje stopy dotykają ziemi.

We śnie, w którym zabiłem Page’a, wydawało mi się, że unoszę się tuż nad powierzchnią gruntu. Miałem wtedy wrażenie, że las wyciąga po mnie ręce, ponagla mnie, jakby łączyła mnie z nim jakaś nadzwyczajna więź. Teraz jednak widziałem, że mocno stąпам po ziemi, chociaż czułem przy tym podobne upojenie jak wtedy we śnie.

Wybrałem najłatwiejszą ścieżkę, tę samą, którą poprowadził mnie Phillip w tamtym pamiętnym dniu. Otoczenie wyglądało znajomo, wszystkie szczegóły rozpoznawałem, jakbym czytał drugi raz tę samą książkę. Witwały mnie te same miejsca, drzewa, wzgórza, zarośla; delikatna pokrywa śniegu skrzypiała mi pod butami, przydepnięte gałązki i igły wbijały się głębiej w puch. Im bardziej oddalałem się od domu, tym bardziej miękki stawał się grunt. Trzask i chrobotanie zmieniły się w mlaskanie rozwodnionego błočka. W końcu gęstwina zrzędała, drzewa się rozstały i znalazłem się na polanie, gdzie w wilgotnym powietrzu snuły się pasma mgły.

Kamienny krąg jest tuż–tuż, na lewo stąd. Dosłownie dwa kroki. Wejdz tam z tą samą pewnością siebie, która cię tu przywiodła. Niech las prowadzi

cię i chroni... Nie trać wiary, Michael. Najgorsze masz już za sobą. Pogódź się z tym, co znajdziesz. Saga dobiega końca.

Pod warunkiem że Wielki Plan to przewidział...

Szedłem dalej. Mgła zgęstniała i podniosła się na wysokość mojego pasa. Do tej pory uważałem umiejętności Izolantów za coś zupełnie naturalnego, skutek ich niezwykłej siły fizycznej i instynktownej woli przetrwania w surowym klimacie. Tymczasem byli przecież inteligentni, i to w stopniu wystarczającym do podporządkowania sobie przedstawicieli słabszej rasy – ludzkich mieszkańców Ashborough. W tym także niżej podpisanego.

Z pozoru wydawali się zmutowanymi ludźmi.

Ale może wcale nimi nie byli?

Opar otulał mnie coraz ciasniej, gdy rozważałem tę możliwość. W tej mgle i w tym lesie krył się jakiś świadomy byt, czułem to. Widziałem. I nagle stało się dla mnie oczywiste, że to jemu Izolanci zawdzięczają swoje istnienie i nieprzeciętną żywotność. Mikroorganizm, który odkryłem, nie wziął się znikąd. Nie musiałem szukać odpowiedzi dalej niż w swoim śnie, w którym olbrzymi złotooki demon wynurzył się z leśnej głuszy i zgwałcił moją żonę.

Rogata bestia... Objawiła mi się, żebym zrozumiał, że to ona spreparowała mikroba i zaszczepiła go wybranym przez siebie osobnikom, aby stworzyć nową rasę.

Gdyby był zwyczajną bakterią, rozniósłby się daleko poza granice Ashborough.

Miasteczko i okalające je lasy stanowiły wygodną barierę dla jego ekspansji. To był kolejny przykład ich woli przetrwania. A może przejaw skuteczności demona, których ich stworzył?

Rozsądek podpowiadał, że Izolanci wcale nie są zwyczajnymi prymitywami. Rządziła nimi inna, wyższa siła. Blask w ich ślepiach był czymś innym niż, jak sądziłem, skutkiem niezbyt skomplikowanej reakcji chemicznej.

Kiedy już zacząłem myśleć o nich w ten sposób, ich talenty psychiczne również wydały mi się oczywiste. Nie było cienia wątpliwości, że potrafią manipulować swoimi wrogami. Kontrolowali całe miasteczko, rządzili nim niepodzielnie, i nie były to rządy oparte wyłącznie na sile i zastraszeniu. Wpływali bezpośrednio na umysły mieszkańców: mnie kazali uwierzyć, że jeśli porozmawiam z Christine, zginie, a jej zasugerowali, że regularnie odwiedza ginekologa. Na dobrą sprawę wcale nie musiała być w ciąży! Prawdziwą władzę dawała im nie siła i groźby, lecz zdolność tworzenia iluzji (choć ich agresywne usposobienie było oczywiste i nie należało go lekceważyć). Nie wiedziałem już, jak odróżnić prawdę od fikcji.

Mgła podniosła się jeszcze wyżej i spowiła mnie dokumentnie. Wydawała mi się w niewytłumaczalny sposób żywa, kiedy pulsowała wokół mnie i wirowała jak wzbity ponad morskie dno muł. W jej uścisku czułem się malutki, nic nieznaczący i ślepy; miałem wrażenie, że brnę prosto w pułapkę, z której nie będzie już ucieczki. Próbowałem sobie wmówić, że hantawirus zrobił swoje i nie mam się czego bać.

Nie masz się czego bać? Naprawdę myślisz, że wirus zadziałał na demona?

Przecież to był tylko sen... prawda?

Nigdy przedtem nie miałem tylu pytań, na które nie znałem odpowiedzi.

Drzewa się przeredziły, mgła rozwiała i zobaczyłem przed sobą kamienny krąg.

Wszedłem do środka, rozglądając się na wszystkie strony. Z początku panowała całkowita cisza, ale już po chwili zmaćił ją śmiech: gardłowy,

ochrypli, szyderczy. Sparaliżował mnie; serce prawie przestało mi bić, płuca ledwie wciągały powietrze. Mgła otoczyła mnie idealnym kręgiem, jakbym znalazł się na scenie. Przez moment stałem nieruchomo, po czym postąpiłem krok w stronę centralnie położonego głazu. Znowu usłyszałem śmiech, tym razem głośniejszy i dobiegający z innego kierunku – a właściwie ze wszystkich kierunków jednocześnie, także z góry i z dołu. Wypełniał całą przestrzeń.

Mgła znów zaczęła się podnosić. Zgęstniała w chmurę o wymiarach półtora na pięć metrów i przybierała znajomy kształt: demona z mojego snu. W środku obłoku formowała się głowa z dwojgiem płonących złotem oczu i dziurą w miejscu pyska, z którego dobiegł kolejny wybuch śmiechu. Złoty blask rozświetlił mgłę, demon materializował się coraz szybciej. Miał ciemną skórę. Mięśnie rysowały się wyraźnie na wijących się bezładnie ramionach i nogach.

Złote żyły pulsowały w całym ciele i rozświetlały od środka czaszkę, uwypuklając sześć rogów i zaplecione włosy. Sterczący z paszczy gruby, czarny język ociekał jadem, który syczał, skapnąwszy na ziemię. Potwór był już prawie kompletny, jak w moim śnie; na moich oczach żółte szpony wyrosły mu z palców, kiedy sięgnął w dół, aby ująć w dłonie zdeformowane prącie, które buchało kłębami mgły jak kocioł parą.

Bestia zadarła łeb i z jej piersi wydobył się ryk, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałem. Leśne owady ucichły, a huraganowy podmuch zatrzęsł gałęziami wszystkich drzew. Ziemia zadrżała.

Byłem przerażony i gotowy na śmierć. Stwór spojrział na mnie z góry rozjarzonymi ślepiami i obnażył zęby. Formujące się z mgły wargi nabrzmiały jak balony, odsłaniając zielono–czarne kikuty zębów w zaczerwienionych dziąsłach. Wiatr jeszcze się wzmógł; pierwsze konary zaczęły pękać z trzaskiem.



Nagle potwór się rozwiął, równie szybko jak przed chwilą się zmaterializował. Mgła wirowała w podmuchach wiatru, coraz szybciej i coraz gwałtowniej. Wichura wymiotła z kręgu cały śnieg i liście. Otworzył się właz prowadzący do legowiska Izolantów. Mgła, która jeszcze przed chwilą była demonem, zakreśliła się nad otworem, tworząc potężny wir, i została wessana do środka.

Przypływ adrenaliny pozwolił mi zwalczyć zmęczenie i na uginających się nogach podszedłem do włazu. Potwór z mgły zniknął, ale wiatr wcale nie zelżał. Szarpał mną i ciskał mi w twarz piach i mokry śnieg. Stałem nad wejściem i spojrzałem na tworzące krąg kamienie, niewzruszone i przerażające jak zawsze. Zakreśliło mi się w głowie od ich widoku; schyliłem się, łapiąc rozpaczliwie oddech, a w końcu uklęknałem nad otworem i zajrzałem w mroczną czeluść.

Zacząłem schodzić, posuwałem się tunelem ani zbyt szybko, ani zbyt wolno, cały czas w dół, w ciemność. Nic nie widziałem. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli przypadkiem skreślę w któryś z bocznych korytarzy, mogę już nie znaleźć drogi powrotnej. Dlatego ze wszystkich sił starałem się nie zboczyć ze ścieżki; oddychałem równo, miarowo, szedłem spokojnym krokiem i macałem przed sobą rękami. Woda i błoto chlupotały mi pod nogami, sterczące z sufitu korzenie wplątały mi się we włosy. Raz pośliznąłem się i upadłem w zimne błocko, ale pozbierałem się szybko i ruszyłem dalej.

Szedłem prawie kwadrans w całkowitych ciemnościach i zaczynałem się już bać, że nigdy nie trafię do wielkiej komory, że skreśliłem w niewłaściwą odnogę tunelu i zmierzam do wyjścia wyprowadzającego na jakieś pole uprawne. W końcu jednak w oddali zamajaczyło mi słabe światło i zacząłem rozeznawać szczegóły ziemnych ścian korytarza. Nie zabłądziłem.

Główna pieczara mieszkalna znajdowała się dokładnie przede mną. Skręciłem i znalazłem się dziesięć metrów od wejścia do niej.

Zwolniłem kroku.

Tutaj także zaległa lodowata cisza. Poruszały się tylko płomienie pochodni.

Podszedłem jeszcze bliżej.

I nagle je usłyszałem – jęki bólu i cierpienia. Znieruchomiałem, nasłuchując, i stałem tak przez dobrych kilka minut, zbierając się na odwagę. Kiedy wreszcie wszedłem do legowiska, zobaczyłem ich. Wszystkich.

Tworzyli nieskończoną zbieraninę wynędzniałych ciał, jedną wielką żalostną masę.

Wielu już nie żyło, wielu dopiero dogorywało, ale nigdzie nie dostrzegłem błysku złotych ślepi.

Z triumfalnym uśmiechem przeszedłem wśród nich, napawając się swoim dziełem.

Dokonałem masowej egzekucji, mordując na całej rasie, która teraz miała się stać pokarmem dla robactwa. Nigdy w życiu nie czułem takiej siły i władzy. Wygrałem. Pobiłem skurczybyków.

Zawróciłem. Byłem cały obolały, spływałem potem, komary cięły mnie bez litości.

Wracałem do wyjścia, brodząc w ciałach i starając się na żadne nie nadepnąć, gdy nagle coś złapało mnie za kostkę. Pazury przecięły mi skórę. Krzyknąłem z bólu. Chory Izolant trzymał mnie za nogę; toczył pianę z pyska, krew i śluz płynęły mu z nosa. Rozpoznałem go po zygzakowatej bliznie na policzku: Fenal. Jego ślepie zalśniły przez moment, a potem wyblakły i zszarzały. Umarł na moich oczach. Rozluźnił chwyt. Z obrzydzeniem odkopnąłem jego łapę.

Chciał, żebyś mu pomógł, Michael.

Ostatni raz powiodłem wzrokiem dookoła dumny ze swojego dzieła.

W oddali, w jednej z niezliczonych wnęk mieszkalnych dostrzegłem błyszczącą parę ślepi. Pałały intensywnym blaskiem, przyszpilały mnie spojrzeniem. W ich świetle zobaczyłem dłoń z wyprostowanym palcem, wyciągniętą w moją stronę w oskarżycielskim geście.

Zacząłem rozważać mało prawdopodobną możliwość, że jeden lub więcej stworów okazały się odporne na wirus, gdy ogłuszający skowyt, taki sam jak niedawno słyszałem w lesie, rozdarł ciszę na strzępy i strącił mnie z powrotem do piekła, z którego na krótko zdołałem się wyrwać.

## ROZDZIAŁ 43.

S tałem na skraju lasu i patrzyłem na swój dom. Wiatr zerwał kolejne dwie deski z górnych okien. Panująca w środku ciemność zdawała się mnie obserwować, jakby czekała na mój ruch.

Powrót zajął mi sporo czasu; całe ciało miałem obolałe i nieprzyjemnie sztywne, mięśnie jak w atrofii, oddech urywany. Zastanawiałem się, czy tak właśnie wygląda zawał widziany od strony pacjenta. Po wyjściu z podziemi (co zajęło mi blisko godzinę) odpocząłem chwilę przed wyruszeniem w drogę powrotną i teraz powoli zapadał już zmierzch. W świetle zachodzącego słońca rzucałem na ścianę domu wydłużony cień, który zdawał się mnie przedrzeźniać, gdy szedłem przez trawnik. Nie wiedziałem, czy wystarczy mi energii, aby naprawdę porzucić to miejsce. Zaśmiałem się głośno, jak wariat, na myśl o tym, że po wszystkim, co przeżyłem, nie ucieknę tylko dlatego, że zabraknie mi siły w nogach.

Wszedłem do domu przez poczekalnię i powlokłem się do kuchni, zostawiając błotnisty ślad. W środku było ciemno, wilgotno i zimno. Moje kroki dźwięczały niesamowicie na kafelkach. Brzmiało to jak burczenie schorowanego żołądka.

– Christine?

Złowieszcza cisza wchłonęła mój głos jak gąbka wodę. Zaklekotały targane wiatrem deski na oknach salonu. Przy drzwiach frontowych stały dwie torby, pewnie bagaż Jessiki i Christine szykujących się do opuszczenia Ashborough. Na ich widok zaświecił mi promyczek nadziei. Poczulem przypływ sił. Nadal miałem o co walczyć.

– Christine? – zawołałem przy schodach.

Nikt mi nie odpowiedział.

Wystraszyłem się. Serce zaczęło mi bić w żywszym rytmie. Gdzie one się podziały?

Co teraz robią? Może śpią, pomyślałem bez przekonania. Pomału, krok za krokiem, wszedłem na piętro; ponura cisza przyprawiała mnie o gęsią skórę. Spacer na górę był krótki i przerażający. Czułem się jak skazaniec, który ma zejść ze statku po wystawionej za burtę desce, gdy w wodzie roi się od rekinów.

Na górze natychmiast rzucił mi się w oczy krwawy ślad prowadzący w głąb korytarza, do zamkniętych drzwi naszej sypialni. Długo się w niego wpatrywałem, czując przygniatające brzemie strachu i obłędu. Wyobraziłem sobie, że jestem małą chałupką na drodze niepowstrzymanej lawiny błotnej. Nie wiedziałem, jak długo wytrzymam jej napór.

Stałem przed drzwiami sypialni. Krwi było tu więcej, w dodatku była rozmazana, jakby ktoś w nią wszedł. Zacisnąłem spoconą dłoń na klamce i przytknąłem ucho do drzwi.

Usłyszałem cichy jęk. Skomlenie.

Przekręciłem klamkę i pchnąłem drzwi.

Najpierw zobaczyłem Jessicę. Siedziała na krześle pod ścianą, przy zabitym deskami oknie. Przekrzywiła główkę i wpatrywała się tępo w łóżko. Oczy miała zimne i niewidzące, od razu więc domyśliłem się, że jej obecny stan jest sprawką Izolantów: wyglądała tak samo jak w piwnicy domu starej pani Zellis.

Cześć, Michael!

Źródłem tych słów była ostatnia drobinka przytomności umysłu, której moja świadomość rozpaczliwie się uczepiła. Podpowiadała mi, że muszę przygotować się na znacznie gorszy widok i najlepiej zrobię, gasząc od razu

pożar obłądu w swojej głowie, bo nie powinienem się spodziewać, że okoliczności zewnętrzne mi w tym pomogą.

Otworzyłem drzwi na oścież i zobaczyłem moją żonę, kobietę, którą poprowadziłem do ołtarza i której ślubowałem miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że jej nie opuszczę aż do śmierci. Leżała na łóżku naga, w kałuży krwi, z głową opartą pod niewygodnym kątem o wezgłowie i szeroko rozłożonymi nogami. Jej rozrzucone na boki ręce zaciskały się i rozluźniały spazmatycznie, mnąc zakrwawioną pościel. Nie miała już wielkiego brzucha. Gdzieś w pokoju musiało się znajdować dziecko. Nasze dziecko.

Ruszyłem w jej stronę. Zobaczyłem krew na ramie łóżka, na podłodze, na ścianach...

Była wszędzie.

Wrzasnąłem przeraźliwie.

Mój krzyk poniósł się echem po domu przy Harlan Road 17, domu nawiedzanego przez żyjące duchy. Nagle zdałem sobie sprawę, że nikt i nic nie powstrzyma pieniacego się w nim zła, które będzie trwało mimo wszelkich przeszkód. Było to równie pewne i oczywiste jak moje wrzaski. Obłąd... Tak, w końcu obłąd zwyciężył. Czułem to. Wyskoczył na mnie, siekąc ogniem z obu luf, a ja miałem przed oczami złotoookiego leśnego demona, którego obecność wyzwała wszystko co najlepsze u jego potomstwa i wszystko co najgorsze u wrogów, prostych mieszkańców Ashborough, którzy przybyli tu w poszukiwaniu uroków wiejskiego życia. Konsekwencje tej przeprowadzki okazały się nadzwyczaj krwawe.

Oczywiście Christine usłyszała mój krzyk. Patrzyłem na nią kompletnie osłupiały.

Nasze oczy się spotkały; moje były pełne łez, jej – pełne krwi. Umarła, nie ciałem, ale duchem i umysłem z pewnością. Istota, która zajęła jej

miejsce, była przeszczęśliwa, że może mi to zakomunikować. Opętany stwór, który dawniej był moją żoną, uśmiechnął się spierzchniętymi wargami, zlizął krew z zębów, uniósł biodra i obiema rękami ucisnął sobie brzuch. Łożysko wystrzeliło z pochwy z ohydnyim odgłosem, rozdarte, fioletowe, ociekające krwią i wodami płodowymi. Wykrzyknąłem imię Jessiki, która trwała w katatonii, a potem odwróciłem się i zwymiotowałem, nie mogąc znieść odrażającego odoru krwi i kału. Odruch wymiotny szarpał mi żołądek. Znowu spojrzałem na Christine.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi do łazienki.

Wyszło z niej moje nowo narodzone dziecko. Wyszło o własnych siłach.

Pół człowiek, pół Izolant, okryty mokrą sierścią, z twarzą skażoną izolanckimi genami tylko w jednym aspekcie: jego oczy lśniły złotym blaskiem. Skręcił w moim kierunku. Miał tylko pół metra wzrostu i gadzie stopy, zostawiające maziowaty trop na podłodze.

Wyciągnąłem do niego ręce – nie chciałem go przygarnąć, tylko uderzyć. Żółte szpony ociekały krwią i płynem owodniowym. Próbowałem się cofnąć, ale najpierw wczepił się w moją nogę pazurami, a potem wbił w nią drobne, mocne ząbki. Kopałem go i okładałem pięściami, próbując strząsnąć. Pokój eksplodował moim krzykiem i jego lamentem i w tej samej chwili Jessica nagle się ożywiła. Zobaczyłem maciupeńkie, słabe światełko na końcu czarnego tunelu, które jednak zgasło błyskawicznie, gdy tylko uświadomiłem sobie, że wcale nie otrząsnęła się z katatonii i nie zamierza mi pomóc. Przeciwnie! Doskoczyła do mnie z rozcapierzonymi rękami, parskając jak rozzłoszczony kot. Chwyciła mnie za nogi i podcięła, gdy bezskutecznie opędziałem się od małego potwora. Usiadłem z impetem na deskach; całe powietrze nagle uciekło mi z płuc. Potworek odskoczył ode mnie, oparł się o drzwi łazienki, żeby złapać równowagę, i spojrzał na mnie

spode łba, z pretensją w złotych oczach. Cofnąłem się pod ścianę, wpatrując się w trzy ciała towarzyszące mi w sypialni.

Oto nowa, niekoniecznie lepsza rodzina Cayle'ów.

Christine pełzała po łóżku jak wąż, dosłownie skąpana we krwi. Dyszała głośno, jej twarz wykrzywiała się w najdziwniejszych grymasach, z ust ściekała piana. Jessica przyglądała koszulkę nocną, która podwinęła jej się na wysokość piersi, i wskoczyła na łóżko, do mamy. Zachichotała po dziewczęcemu i zlizwała krew z palców, podobnie zresztą jak potworek, który po chwili dołączył do rodziny.

– Jessica... – wykrztusiłem. – Kochanie, nie...

Prychnęła śmiechem i rzuciła się w przesiąkniętą krwią pościel. Christine pogłaskała ją po głowie. Blond loczki splamiła ciemna krew.

– Christine, na Boga! Co ty wyprawiasz?! Jesteś zahipnotyzowana! Obudź się! Otrząśnij z tego!

Siedziałem pod ścianą, oglądałem rozgrywającą się przede mną makabreskę i wmawiałem sobie, że wystarczy im uświadomić, że padły ofiarą hipnozy, manipulacji umysłowej, i że kiedy to zrozumieją, tak jak to się stało w piwnicy domu starej pani Zellis, będziemy mogli uciec gdzie pieprz rośnie, korzystając z niedyspozycji Izolantów.

Ale zaczynało już do mnie docierać, że nie będzie żadnego rodzinnego exodusu państwa Cayle'ów. Przed oczami stanęły mi ohydne, potworne sceny.

Zobaczyłem rogatego potwora z lasu, który przesłał mi wiadomość, kiedy leżałem nieprzytomny. Dał mi do zrozumienia, że nie wygram tej wojny. Cokolwiek zrobię, żeby pognębić jego potomstwo, on i tak wróci, silniejszy niż przedtem, i przywróci mu dawną świetność.

Przypomniałem sobie, jak wyglądał z gigantyczną erekcją. Jak posiadał moją żonę.



Przypomniałem sobie rozmowę z Christine sprzed pięciu miesięcy, w kuchni, kiedy powiedziała mi, że jest w ciąży. „Michael, używałeś przecież gumek, do cholery!” Zrozumiałem, że potwór zdążył już wtedy dokonać na niej gwałtu. W żyłach drepczącego po łóżku z wyszczerzonymi zębami dziecka nie płynęła moja krew. Miało geny swojego prawdziwego ojca, mieszkańca lasu. Wyrośnie na hybrydę podobną do starej pani Zellis i w przyszłości, być może, zajmie jej miejsce jako duchowy przywódca Ashborough.

Spróbowałem wstać, gdy nagle poraziła mnie świadomość, że w wypadku Jessiki i Christine w grę wchodzi coś znacznie poważniejszego niż zwykła hipnoza czy prosta manipulacja. Spojrzałem, jak taplają się we krwi na łóżku i z czułością głaszczą nowo narodzonego potwora, i znów osunąłem się na podłogę.

Jak na komendę uśmiechnęły się do mnie.

Miały złote, świecące oczy.

Zostałem pokonany. Mogłem tylko tkwić tam i patrzeć na dowód triumfu zła. Byłem absolutnie bezradny, mogłem już tylko się poddać. Zwinąłem się w kłębek, chciałem być jak najmniejszy. Płakałem histerycznie i modliłem się, żeby na zawsze zniknąć z tego świata.

I wkrótce zniknąłem.

# EPILOG.

*K*iedy wiele godzin później doszedłem do siebie, Christine, Jessiki i małego potwora nigdzie nie było. Nie szukałem ich. Wiedziałem, że nie ma ich w domu... Pewnie intuicja. A może po prostu mnie to nie interesowało?

*Zszedłem na parter. Torby nadal stały przy wejściu. Mógłbym wziąć jedną z nich i po prostu wyjść z domu, przekonać się, jak daleko pozwolą mi się oddalić, zanim załatwią mnie tak jak Farrisa. Wiedziałem już, że próba ucieczki oznacza pewną śmierć, ale nawet jeśli perspektywa rychłego zgonu stała mi się obojętna, nie chciałem im dawać satysfakcji płynącej z zabicia mnie. Wziąłem prysznic i poszedłem spać. Spałem bardzo, bardzo długo.*

*Po przebudzeniu poszedłem do biblioteki, zebrałem wszystko, czego mogłem potrzebować, zgarnąłem całe jedzenie z domu i zamknąłem się tutaj, w piwnicy, gdzie do dziś siedzę. Od zniknięcia mojej rodziny upłynęły może ze dwa tygodnie.*

§ § §

*Zamierzałem zrelacjonować wydarzenia, które rozegrały się przy Harlan Road pod numerem 17, i wydaje mi się, że nagrywając swoje wspomnienia, osiągnąłem cel. Mam szczerą nadzieję, że nagrania trafią do rąk słuchacza pozbawionego uprzedzeń, chociaż wiem, że jeśli taki przybędzie do Ashborough, trudno mu będzie wyjechać.*

*Tak czy inaczej, moja rola się skończyła. Pozostała mi jeszcze tylko jedna decyzja, drogi słuchaczu. Jeżeli nie znajdziesz mnie nigdzie w pobliżu,*

oznacza to, że poszedłem szukać Christine i Jessiki i mogłem paść ofiarą demona. Wątpię jednak, żeby pozwolił mi się wymknąć po tym, jak wymordowałem tylu jego potomków. Spodziewam się raczej, że będzie chciał przedłużyć moje cierpienia, co czyni bardzo skutecznie, zostawiając mnie w spokoju tutaj, w moim domu. Inna możliwość jest taka, że naprawdę uciekłem z Ashborough, chociaż to akurat wydaje mi się niezwykle mało prawdopodobne.

Drugim wyjściem jest samobójstwo, do którego na wszelki wypadek poczyniłem stosowne przygotowania. Na stole przede mną leży strzykawka z krwią zakażoną hantawirusem. Jeżeli przy dyktafonie znajdziesz moje ciało, będziesz wiedział, jaką decyzję podjąłem. Życzę ci więcej szczęścia w próbach wymknięcia się Izolantom.

Żegnam cię teraz, drogi słuchaczu. Dziękuję za poświęcony mi czas i uwagę. Za jedno i drugie jestem ci szczerze wdzięczny.

*Dobranoc.*

Ciemna piwnica.

Chrapliwy oddech.

Szuranie nóg po betonowej posadzce. Nerwowe bębnienie palców o blat stołu. Woń wilgoci.

Gdzieś na górze bije zegar. Przeciąg targa płomieniem świecy.

Ręka wyciąga się do leżącego na stole dyktafonu.

Niepewny palec szuka przycisku stopu. Wciska go.

Przez dziesięć sekund słyhać tylko ciężki, głośny oddech. Ręka sięga po strzykawkę...

# PODZIĘKOWANIA.

Wymienieni poniżej (w przypadkowej kolejności) ludzie zasłużyli na moją wdzięczność za okazane mi wsparcie, zachętę i inspirację.

Rodzina: Sherrie Laimo, Anna Rose Laimo, Emma Grace Laimo, mama i tata Laimo, Bob i Larry Laimo (dzięki za wykupienie tyłu egzemplarzy Atmosphere, Bob), Samantha i John Huxtable, Mary Ann i Pat Ballaro oraz cała ekipa z Mercury Beach–Maid.

Przyjaciele i współpracownicy: Don D’Auria, Shane Staley, Gary A. Braunbeck, Tom Piccirilli, Gerard Houarner, Linda Addison, Matt Schwartz, Brian Hopkins, Gord Rollo, Gene O’Neill, Judi Rohrig, Brian Keene, Edo van Belkom, Joe Nassise, Douglas Clegg, Dallas Mayr, Gordon Linzner, Shannon Gronley i Eko Kreal z Jeans To Go, Perry Tepper, John Everson, Greg F. Gifune, Charlee Jacob, Michael Arnzen, Jack Fisher, Garrett Peck i Clive Barker, który poprosił mnie o dedykację w mojej książce.

Korzystałem z wyników badań publikowanych na stronach [www.mayoclinic.com](http://www.mayoclinic.com) oraz [www.microbeworld.com](http://www.microbeworld.com).

Książkę pisałem na Long Island Rail Road oraz w kawiarni Barnes&Noble w Melville, w stanie Nowy Jork.

**Demoniczny rytuał.**

**Krwawa ofiara.**

**Koszmar, przed którym jest tylko jedna droga uciezki...**

Doktor Michael Cayle razem z żoną i córeczką wyprowadza się z Manhattanu i obejmuje prywatną praktykę w cichym miasteczku wśród malowniczych lasów.

Wszystko wydaje się tu spokojne i cudowne. Wydaje się...

Tymczasem mieszkańcy opowiadają szeptem legendy, które budzą dreszcz grozy. Wkrótce Michael będzie musiał w nie uwierzyć. Pozna przerażający sekret złowrogich złotych oczu, które śledzą go z głębi ciemności...



MICHAEL LAIMO to młody amerykański autor horrorów nominowanych do najbardziej prestiżowych nagród. Napisał kilka powieści i kilkadziesiąt opowiadań. Część z nich została przeniesiona na ekran.

Na podstawie *Głębi ciemności* również powstaje film.

*Na polskim rynku jest wielka luka, jeśli chodzi o literacki horror.*

*Michael Laimo jest trafnym wyborem, by zaprezentować polskim czytelnikom, jak powinna wyglądać współczesna powieść grozy.*

*Nie powiela cudzych pomysłów, tylko tworzy własne przerażające wizje.*

*To jeden z najciekawszych młodych pisarzy grozy na świecie.*

Przemysław Marczewski  
Gildia.pl

Patronat medialny



GILDIA.PL



Cena det. zł 27,80

www.wydawnictwoamber.pl

